

EOIN
COLFER



ARTEMIS FOWL

ARKTYCZNA
PRZYGODA



Pełna humoru,
trzymająca tempo
filmowa przygoda.

„Financial Times”

COLFER EOIN

Artemis Fowl #2 Arktyczna

przygoda

EOIN COLFER

ARKTYCZNA PRZYGODA

ARTEMIS Fowl:

OCENA PSYCHOLOGICZNA

Lata dorastania.

Fragment

Jeszcze przed ukończeniem trzynastu lat badany osobnik Artemis Fowl odznaczał się intelektem największym od czasów Wolfganga Amadeusza Mozarta. W meczu szachowym rozegranym przez Internet pokonał mistrza Europy Evana Kashoggi, opatentował dwadzieścia siedem wynalazków i zdobył pierwszą nagrodę w konkursie architektonicznym na projekt nowego gmachu opery w Dublinie. Napisał także program komputerowy, dzięki któremu udało mu się odprowadzić na swoje konto miliony dolarów ze szwajcarskich banków, sfalszował tuzin płócien impresjonistów oraz wyłudził od Małego Ludu znaczną ilość złota.

Pytanie brzmi: po co to wszystko? Po co Artemis angażował się w nielegalne przedsięwzięcia? Odpowiedzi niech dostarczy rzut oka na postać jego ojca.

Artemis Fowl senior, którego przestępcze imperium rozciągało się ongiś od doków Dublina po zaułki Tokio, ostatnimi czasy powziął ambitny zamiar zostania praworządnym biznesmenem. W tym celu zakupił statek handlowy, załadował nań 250 tysięcy puszek coca-coli i wziął kurs na Murmańsk w północnej Rosji, gdzie zamierzał ubić interes, z którego mógłby ciągnąć zyski przez wiele dziesięcioleci.

Niestety, rosyjska mafia doszła do wniosku, że nie życzy sobie, by irlandzki potentat wyrwał dla siebie część jej rynku. „Gwiazdę Fowlów” zatopiono w Zatoce Kolskiej, a Artemis Fowl starszy został uznany za zaginionego, prawdopodobnie zmarłego.

Zasoby finansowe imperium, na którego czele stanął Artemis junior, zostały zatem mocno uszczuplone. Aby odzyskać rodzinną fortunę, chłopiec wkroczył na drogę przestępstwa, co w ciągu zaledwie dwóch lat przyniosło mu ponad piętnaście milionów funtów. Ogromna ta kwota posłużyła głównie sfinansowaniu wypraw ratunkowych w Rosji. Artemis po prostu nie chciał uwierzyć, że jego ojciec nie żyje,

choć każdy mijający dzień zdawał się to potwierdzać.

Chłopiec unikał kolegów i niechętnie chodził do szkoły, wolał bowiem poświęcać czas na planowanie kolejnych zbrodni. Toteż gdy w czternastym roku życia doznał poważnego urazu psychicznego, biorąc udział w powstaniu goblinów, uznaliśmy, iż wyszło mu to na dobre. Przynajmniej spędził trochę czasu na świeżym powietrzu i zawarł kilka znajomości.

Szkoda tylko, że większość nowych znajomych próbowała go zabić.

Dr psych. Z. Argon raport sporządzony na zlecenie Akademii SKRZAT

Prolog

Murmańsk, północna Rosja, przed dwoma laty.

Dwaj Rosjanie kulili się przy płonącym koksowniku, daremnie usiłując odpędzić chłód Arktyki. Zapewniam was – Półwysep Kolski we wrześniu i później to nic przyjemnego, a już na pewno nie Murmańsk! W Murmańsku nawet niedźwiedzie polarne noszą szaliki. Zimniej bywa jedynie w Norylsku.

Mężczyźni grzejący się przy piecyku byli żołnierzami mafii i zazwyczaj spędzali wieczory w kradzionych samochodach BMW. Potężniejszy, nazwiskiem Michaił Wasikin, odchylił mankiet futrzanej szuby i sprawdził czas na podrabianym roleksie.

–Na pewno zamarznie – mruknął, kręcąc bezelem. – I co ja wtedy zrobię?

–Przestań narzekać – rzekł drugi mężczyzna, którego przezywano Komar. – To przez ciebie tkwimy na tym zimnie.

–Przepraszam, że co? – znieruchomiał Wasikin.

–Rozkaz był prosty – zatopić „Gwiazdę Fowlów”. Miałeś tylko wysadzić luk towarowy. Bóg jeden wie, że to wielki statek. Wystarczyło przedziurawić luk i łajba poszłaby na dno jak kamień. Ale nie, wielki Wasikin musiał walnąć w rufę i nawet nie miał zapasowej rakiety, żeby dokończyć robotę. To dlatego teraz szukamy rozbitków.

–Przecież statek zatonął, no nie?

–To co z tego? – wzruszył ramionami Komar. – Tonął powoli i pasażerowie mieli mnóstwo czasu, żeby czegoś się chwycić. Słynny snajper Wasikin! Moja babcia lepiej strzela.

Zanim spór zdążył się przerodzić w regularną bójkę, do mężczyzn zbliżył się niedźwiedziowaty Jakut Lubchin, człowiek mafii w dokach.

–Co słyhać? – zapytał. Wasikin splunął za falochron.

–A jak myślisz? Znalazłeś coś?

–Zdechłe ryby i potrzaskane skrzynie – odparł Jakut, wręczając żołnierzom parujące kubki. – Nic żywego. Minęło już ponad osiem godzin. Moi ludzie przeczesali teren aż do Zielonego Przylądka.

Komar pociągnął z kubka spory łyk, lecz natychmiast splunął z obrzydzeniem.

–Co to za świństwo? Smoła? Lubchin zachichotał.

–Gorąca cola. Z „Gwiazdy Fowlów”. Na brzegu lądują całe skrzynie tego napoju. Rzeczywiście, istna Zatoka Kolska.

–Ostrzegam cię – powiedział Wasikin, wylewając płyn na śnieg. – Ta pogoda całkiem odbiera mi poczucie humoru. Skończ z tymi okropnymi dowcipami. Wystarczy, że muszę słuchać gadania Komara.

–Już niedługo – mruknął jego partner. – Przeszukamy teren ostatni raz i odwołujemy akcję. Nikt nie przeżyje ośmiu godzin w takiej zimnej wodzie.

–Nie masz czegoś mocniejszego? – zapytał Wasikin, wyciągając do Lubchina rękę z pustym kubkiem. – Kielicha na przeziębienie? Wiem, że zawsze nosisz manierkę w zanadrzu.

Jakut sięgnął do tylnej kieszeni, lecz w tej chwili z radiotelefonu na jego pasku rozległy się trzy głośnie trzaski.

–Trzy piknięcia. To sygnał!

–Sygnał czego?

Lubchin pośpiesznie ruszył nabrzeżem, wołając przez ramię:

–Trzy piknięcia przez radio! To znaczy, że oddział K9 kogoś znalazł!

Rozbitek nie był Rosjaninem, na co wyraźnie wskazywał jego strój. Wszystko, od garnituru dobrej marki po skórzany płaszcz, wyglądało na kupione w Europie Zachodniej, być może nawet w Ameryce. Ubranie, uszyte z materiału najwyższej jakości, leżało na nim jak ulał.

Jednak choć odzież mężczyzny zachowała się w niezłym stanie, nie dało się tego powiedzieć o nim samym. Bose stopy i dłonie pokrywały plamy odmrożeń, jedna noga zwisała bezwładnie poniżej kolana, a straszliwie poparzona twarz przypominała maskę.

Ekipa poszukiwawcza, która znalazła rozbitka w rozpadlinie lodowca trzy kliki na południe od portu, przyniosła go stamtąd na plandece. Zmarznięci ludzie, skupieni ciasno wokół pojmanego, przytupywali ze wszystkich sił, starając się nie odmrozić nóg. Wasikin przebił się łokciami przez tłumek i ukląkł przy nieprzytomnym.

–Straci tę nogę, to pewne – zauważył, uważnie mu się przyglądając. – I kilka palców. Gęba też nie wygląda najlepiej.

–Dziękujemy za diagnozę, panie doktorze – zadrwił oschle Komar. – Wiadomo, kto to jest?

Wasikin szybko, złodziejskim sposobem, obmacał rozbitka, szukając przede wszystkim portfela i zegarka.

–Nic nie ma. Dziwne. Taki bogacz powinien mieć przy sobie jakieś osobiste drobiazgi, nie sądzisz?

–Sądzę – przytaknął Komar i zwrócił się do otaczających go ludzi: – Daję wam dziesięć sekund, potem będą kłopoty. Walutę można zatrzymać, resztę oddać!

Marynarze zawahali się. Mówiący nie był zbyt rosy, ale należał do mafii, do jednego z syndykatów rosyjskiej przestępczości zorganizowanej.

Skórzany portfel pozęglował nad głowami zebranych i upadł w fałdę plandeki. Po chwili dołączył do niego czasomierz Cartiera, złote cacko wysadzone diamentami, równowartość pięcioletniego wynagrodzenia przeciętnego Rosjanina.

–Mądra decyzja – powiedział Komar, zgarniając skarby.

–No? – zapytał Wasikin. – Zatrzymujemy go? Komar wyjął z safianowego portfela platynową kartę Visa i przeczytał nazwisko.

–O tak, zatrzymujemy go – odparł i wyciągnął telefon komórkowy. Był wyraźnie podekscytowany, stan nader dlań nietypowy. – Zatrzymujemy i starannie okrywamy kocami. Przy naszym pechu gotów dostać zapalenia płuc, a możesz mi wierzyć, nie chcielibyśmy, żeby coś mu się stało. Ten facet to nasza przepustka do sukcesu.

Wasikin ciężko wstał.

–Do kogo dzwonisz? Kto to jest? Komar wybrał numer z podręcznego spisu.

–Dzwonię do Brzytwy. A co, myślałeś, że do kogo?

Wasikin pobladł. Telefonowanie do szefa uchodziło za niebezpieczne. Brzytwa znany był z tego, że strzelał do posłańców przynoszących złe wieści.

–To dobra nowina? Chcesz mu zakomunikować coś dobrego?

Komar podsunął kartę Visa pod nos partnera.

–Przeczytaj.

Wasikin wpatrzył się w napis.

–Nie czytam w *angijski*. Co tu jest napisane? Co to za nazwisko?

Komar mu powiedział.

Na twarz Michaiła wypełził szeroki uśmiech.

–Dzwoń.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Więzi Rodzinne

Utrata męża odcisnęła głębokie piętno na psychice Angeliny Fowl. Po jego zaginięciu matka Artemisa zamknęła się w swoim pokoju i stanowczo odmówiła wychodzenia na zewnątrz. Pociechę znajdowała jedynie w wyobraźni, przedkładając wspomnienia z przeszłości nad realia prawdziwego życia. Prawdę mówiąc, wątpliwe, czy kiedykolwiek odzyskałaby dawną formę, gdyby nie umowa, którą Artemis Fowl junior zawarł z wróżką Holly Niedużą, kupując zdrowie psychiczne matki za połowę złota, wyłudzonego od elfiej policji. Angelina Fowl wyzdrowiała, a młody dziedzic Fowlów, mogąc nareszcie skupić się na poszukiwaniu ojca, jął inwestować spore kęsy rodzinnej fortuny w wyprawy do Rosji, wywiad i krążenie po Internecie.

Aczkolwiek Artemis junior odziedziczył po przodkach podwójną dawkę przebiegłości, z chwilą ozdrowienia matki, damy pięknej i wysoce przyzwoitej, realizacja wymyślnych planów przestępczych zaczęła go kosztować znacznie więcej zachodu. Tymczasem, jeśli miał dalej finansować poszukiwania ojca, zdobycie pieniędzy stało się wręcz niezbędne...

Angelina, wytrącona z równowagi obsesją syna i przerażona wpływem dwuletniej działalności przestępczej na jego młody umysł, zapisała swego trzynastolatka na terapię do szkolnego psychologa.

Żal mi go. To znaczy, mówię o psychologu...

Szkoła dla młodych dżentelmenów św.

Bartleby'ego.

Hrabstwo Wicklow, Irlandia.

Dzień dzisiejszy.

Doktor Po odchylił się na wyściełanym fotelu i rzucił okiem na leżącą przed nim kartkę.

–No cóż, paniczku Fowl, chyba musimy pogadać?

Artemis westchnął głęboko, odgarniając ciemne włosy z szerokiego, bladego czoła. Kiedyż ci ludzie rozumieją, że umysł taki jak jego, Artemisa, nie poddaje się

analizie? Przeczytał więcej podręczników psychologii niż siedzący przed nim terapeuta, w tym również artykuł, który ten zamieścił w „The Psychologists’ Journal” pod pseudonimem F. Roy Dean Schlippe.

–Jak pan sobie życzy, doktorze. Porozmawiajmy o pańskim fotelu. To mebel wiktoriański?

Po z czułością potarł skórzaną poręcz.

–Tak, zgadza się. Właściwie to pamiątka rodzinna. Dziadek nabył go na aukcji u Sotheby’ego. Podobno stał kiedyś w Pałacu. Królowa bardzo go lubiła.

Artemis wykrzywił usta w sztucznym uśmiechu.

–Doprawdy, panie doktorze? Zazwyczaj w Pałacu nie tolerują podróbek.

Palce Po zacisnęły się na wytartej skórze.

–Podróbek? Zapewniam cię, paniczu Fowl, że fotel jest jak najbardziej autentyczny.

Artemis pochylił się, by przyrzeć się z bliska.

–Świetnie zrobione, przyznaję. Ale proszę, niech pan spojrzy.

Wzrok Po podążył za palcem chłopca.

–Te pinezki tapicerskie. Widzi pan krzyżyki na główkach? Maszynowa robota. Najwyżej lata dwudzieste naszego wieku. Pański dziadek dał się nabrać. Ale jakie to w końcu ma znaczenie? Fotel to fotel. Zwykły przedmiot, nieprawdaż, doktorze?

Po gryzmolił coś wściekle, usiłując ukryć zmieszanie.

–Tak, tak, Artemisie, bardzo chytrze. Wszystko się zgadza, mam to w aktach. Znowu te gierki. Czy możemy teraz zająć się twoją osobą?

Artemis Fowl drugi wyrównał kanty na spodniach.

–Istnieje pewien problem, doktorze.

–Tak? Jaki, można wiedzieć?

–Problem polega na tym, że znam wszystkie książkowe odpowiedzi na pytania, które zechce mi pan zadać.

Doktor Po notował coś przez całą minutę, po czym powiedział:

–Rzeczywiście, mamy problem, Artemisie. Ale nie taki, jak myślisz.

Artemis niemal się uśmiechnął. Przewidział, że doktor zechce doń zastosować kolejną teorię. Jakie zaburzenia przejawić dzisiaj? Może rozszczepienie jaźni? Albo patologiczną skłonność do kłamstwa?

–Problem polega na tym, że nikogo nie szanujesz dostatecznie, by uznać go za równego sobie.

Ta wypowiedź zbiła Artemisa z tropu. Czyżby ten lekarz był mądrzejszy od innych?

–Bzdura. Istnieje wiele osób, które wysoce poważam.

–Naprawdę? Kogo na przykład? – zapytał Po, nie podnosząc wzroku znad notatek.

Artemis zastanowił się przez chwilę.

–Alberta Einsteina. Jego teorie na ogół były poprawne. I Archimedes, tego matematyka greckiego.

–A z ludzi, których znasz?

Artemis głęboko się zamyślił, ale nikt nie przychodził mu do głowy.

–No co? Brak przykładów?

–Skoro pan najwyraźniej zna wszystkie odpowiedzi – rzekł Artemis, wzruszając ramionami – to może pan mi powie?

Po otworzył na ekranie laptopa nowe okno.

–Niebywałe. Ilekroć to czytam...

–Mój życiorys, jak mniemam?

–Owszem. Wiele wyjaśnia.

–Co takiego? – zapytał Artemis, mimo woli zaciekawiony.

Doktor Po wydrukował stronicę.

–Po pierwsze, twój współpracownik Butler. Ochroniarz, jak widzę. Niezbyt odpowiednie towarzystwo dla wrażliwego chłopca. Po drugie, mama. Cudowna kobieta, moim zdaniem, ale zupełnie nie kontroluje twoich poczynań. No i ojciec. Według tego, co tu piszą, nawet kiedy żył, stanowił marny wzór do naśladowania.

Uwaga ta ubodła Artemisa do żywego, nie miał jednak zamiaru dać niczego po sobie poznać.

–Doktorze – oznajmił – w pańskich aktach jest błąd. Mój ojciec żyje. Zaginął, ale żyje.

–Doprawdy? – Po znowu zerknął w komputer. – A mnie się zdawało, że jest nieobecny już od prawie dwóch lat. Sąd uznał go za zmarłego.

Głos Artemisa brzmiał beznamiętnie, choć jego serce waliło jak młotem.

–Nie obchodzi mnie, co mówi sąd albo Czerwony Krzyż. Ojciec żyje i zamierzam go odnaleźć.

Po nabazgrał kolejną uwagę.

–Dobrze, powiedzmy, że twój ojciec wróci; co wtedy? Pójdiesz w jego ślady? Zostaniesz przestępcą, tak jak on? A może już nim jesteś?

–Mój ojciec nie był żadnym przestępcą – odparł rozdrażniony Artemis. – Lokował wszystkie nasze aktywa w legalne przedsięwzięcia. Interes w Murmańsku był czysty jak łąka.

–Unikasz odpowiedzi. Artemisie.

Ale Artemis miał już dosyć tego tematu. Pora odegrać małą komedię.

–Skądże, panie doktorze! – zachnął się, oburzony. – Po prostu jest to dla mnie bolesna sprawa. Może cierpię na depresję?

–Niewykluczone – zainteresował się Po, wyczuwając przełom w rozmowie. – Tak myślisz?

Artemis ukrył twarz w dłoniach.

–Chodzi o mamę – wyszeptał.

–O mamę? – powtórzył Po, usiłując nie okazywać podniecenia. Tylko w tym roku pół tuzina terapeutów ze św. Bartleby'ego odeszło na emeryturę za sprawą Artemisa. Prawdę mówiąc, również Po był już gotów pakować manatki. Ale teraz...

–Mama... ona...

Po przesunął się na brzeg swego podrabianego wiktoriańskiego fotela.

–Tak? Matka?

–Zmusza mnie do tej idiotycznej terapii, chociaż wszyscy tutejsi tak zwani „psycholodzy” to co najwyżej kupa niedowarzonych naiwniaków ze stopniami naukowymi.

–Cóż, Artemisie – westchnął zniechęcony Po. – Jak sobie życzysz. Pamiętaj jednak, że jeśli będziesz uciekał od swoich problemów, nigdy nie zaznasz spokoju.

Lecz dalsza analiza została Artemisowi oszczędzona, gdyż w tym momencie poczuł wibrację swojej komórki. Ktoś dzwonił na kodowany, bezpieczny numer – numer, który znała tylko jedna osoba. Chłopiec wyjął aparat z kieszeni i otworzył maleńką klapkę.

–Tak?

W słuchawce zadźwięczał głos Butlera.

–To ja.

–Naturalnie. Niestety, jestem trochę zajęty.

–Dostaliśmy wiadomość.

–Tak? Skąd?

–Dokładnie nie wiem. Ale dotyczy „Gwiazdy Fowlów”.

Po plecach Artemisa przebiegł ostry dreszcz.

–Gdzie jesteś?

–Pod główną bramą.

–Dobra robota. Już idę. – Doktor Po zdarł z nosa okulary.

–Sesja jeszcze się nie skończyła, młody człowieku. Wiem, że nie zechcesz tego przyznać, ale dzisiaj zrobiliśmy pewne postępy. Jeśli teraz wyjdiesz, będę musiał powiadomić dziekana.

Jednak mówił na próżno. Artemis był już myślami gdzie indziej. Po skórze przebiegało mu znajome, delikatne mrowienie. Coś się zaczynało. Czuł to wyraźnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Patrol z Chixem

Niższa Kraina, Zachodni Brzeg, Oaza City.

Zgodnie z tradycyjnym wyobrażeniem skrzat to mały duszek w zielonym ubranku. Oczywiście, tak wyobrażają go sobie ludzie. Wróżki mają własne stereotypy. Dla większości członków Ludu funkcjonariusze SKRZAT to wściekłe gnomy lub napompowane na siłowni elfy, rekrutowane wprost ze szkolnych drużyn rugby.

Kapitan Holly Nieduża nie pasowała do żadnego z tych opisów. Prawdę mówiąc, to ostatnia istota, którą uznalibyście za członka SKRZAT. Gdybyście mieli odgadnąć, czym się zajmuje, to na widok jej kociej sylwetki i sprężystych mięśni doszlibyście do wniosku, że to gimnastyczka, może grotolazka. A bardziej spostrzegawczy z was oprócz ładnej buzi dostrzegliby także determinację Holly, jej spojrzenie, tak ogniste, że zapaliłoby świecę z odległości dziesięciu kroków, oraz uliczny spryt, dzięki któremu wróżka zaliczała się do najbardziej skutecznych oficerów policji.

Rzecz jasna, formalnie rzecz biorąc, Holly nie należała już do Korpusu Rozpoznawczego – od czasu sprawy Artemisa Fowla, kiedy to została porwana i wymieniona za okup, jej pozycja jako pierwszej kobiety w SKRZAT stała się bardzo niepewna. Jeżeli nie siedziała teraz w domu, podlewając paprotki, to wyłącznie dzięki protestom komendanta Bulwy, który zagroził rezygnacją ze stanowiska, gdyby Holly zawieszono w pełnieniu obowiązków. W przeciwieństwie do sceptyków z Wydziału Spraw Wewnętrznych Bulwa doskonale wiedział, że porwanie nie było winą Holly i że ofiar w ludziach uniknięto tylko dzięki jej inteligencji.

Ale członkowie Rady niezbyt przejmowali się czymś takim. Znacznie bardziej dotknęła ich utrata złota wróżek; ich zdaniem kapitan Nieduża kosztowała Lud niezłą sumkę z funduszu okupowego SKRZAT. Toteż Holly z przyjemnością poleciałaby na powierzchnię i skręciła Artemisowi Fowlowi kark, żeby odzyskać zagrabiony skarb. Niestety, sprawa była beznadziejna – święta Księga wróżek wyraźnie mówiła, że jeśli człowiekowi raz uda się odebrać wróżkom złoto, może je zatrzymać na zawsze.

Nie mogąc pozbawić Holly odznaki, Wydział Wewnętrzny uparł się, by zlecono jej jakieś wyrobnicze zadanie, przy którym nie powodowałaby więcej szkód. Służby porządkowe nadawały się do tego idealnie. Holly została zatem przeniesiona do Cła i Akczyzy, gdzie musiała dyżurować w stacjonarnej kapsule, przyssanej do skały przy windzie ciśnieniowej u wylotu nieużywanego szybu. Kariera elficzki znalazła się w ślepych zaułku.

Co powiedziawszy, należy przyznać, że w SKR przemysł urósł do rangi poważnej

bolączki. Nie chodziło nawet o kontrabandę jako taką, gdyż przemycano głównie nieszkodliwą tandetę – ciemne okulary znanych firm, płyty DVD lub automaty do cappuccino. Problem polegał na sposobie pozyskiwania tych artykułów.

Rynek przemytniczy został opanowany przez goblinską triadę B'wa Kell, która podczas wypadów na powierzchnię Ziemi poczyniała sobie coraz bezczelniej. Przebąkiwano nawet, że gobliny, chcąc zwiększyć opłacalność procederu, zbudowały własny prom towarowy.

Problem polegał jednak na tym, że gobliny to stwory nader tępe. Wystarczyło, by jeden z nich zapomniał włączyć tarczę ochronną, a satelitarny obraz goblina natychmiast pojawiłby się we wszystkich stacjach telewizyjnych świata. I wówczas Niższa Kraina, jedyny obszar planety wciąż wolny od Błotnych Ludzi, zostałaby odkryta. Zważywszy na naturę człowieka, nie trzeba by wówczas długo czekać na zanieczyszczenie środowiska, kopalnie odkrywkowe i rabunkową gospodarkę.

W praktyce oznaczało to jednak, że wszyscy nieszczęśnicy, którzy narazili się zwierzchności SKR, musieli całymi miesiącami pełnić służbę wartowniczą i czuwać przy nasłuchu; dlatego też Holly tkwiła jak przykuta do skały przy wlocie szybu, którego nikt nie używał.

Szyb ten, mający numer E37, kończył się w Paryżu, a stolica Francji, jako obszar najwyższego ryzyka, w klasyfikacji SKR otrzymała czerwony znacznik. Wizy w tym kierunku wydawano rzadko, zezwalając jedynie na podróże służbowe. Żaden cywil od dziesięcioleci nie korzystał z E37, pomimo to jednak przez siedem dni w tygodniu dyżurowała tu całodobowa ochrona. Czyli trzy pary funkcjonariuszy zmieniające się co osiem godzin.

Holly jako partner dostał się Chix Gryzoń, który podobnie jak większość chochlików uważał się za zielonoskóry dar boży dla dam i zamiast czynić, co doń należało, przede wszystkim usiłował wyrzeć na niej wrażenie.

Ten wieczór nie stanowił wyjątku.

–Pani kapitan dobrze dziś wygląda – zagał Chix. – Zrobiła pani coś z włosami?

Holly wyregulowała ostrość ekranu, zastanawiając się jednocześnie, co właściwie mogłaby zrobić z rudymi włosami, ostrzyżonymi na jeża.

–Skupcie się, szeregowy. W każdej chwili możemy znaleźć się w ogniu.

–Wątpię, pani kapitan. Cicho tu jak w grobie. Uwielbiam takie zadania. Łatwe i przyjemne. Zwykły patrol.

Holly spojrzała na widok rozciągający się poniżej. Gryzoń miał rację. Z chwilą

zamknięcia szybu dla ludności ongiś kwitnące przedmieście zamieniło się w miastowidmo. Czasem tylko obok kapsuły przechodził ciężkim krokiem plądrujący okolicę troll. A kiedy trolle przejmowały jakiś teren, wiadomo było, że poza nimi wszyscy go opuścili.

–Tylko pani kapitan i ja. Noc jest jeszcze młoda...

–Dajcie sobie spokój, Gryzoń. Lepiej zajmijcie się robotą. A może stopień szeregowego to dla was za wysoko?

–Nie, Holly, skądże, znaczy, chciałem powiedzieć, nie... sir.

Chochliki. Wszystkie takie same. Dajcie takiemu skrzydła, a zaczyna uważać, że żadna mu się nie oprze.

Holly zagryzła wargę. Na ten niepotrzebny posterunek szło stanowczo zbyt dużo złota podatników! Władze powinny dawno z niego zrezygnować, ale nie chciały. Strażnice takie jak ta świetnie się nadawały na miejsce zesłania niewygodnych funkcjonariuszy, których chciano usunąć z pola widzenia opinii publicznej.

Mimo to Holly postanowiła wypełniać swoje obowiązki najlepiej, jak umiała. Nie zamierzała dostarczać trybunałowi Spraw Wewnętrznych dodatkowej amunicji przeciwko sobie.

Wyświetliła na ekranie raport ze stanu kapsuły. Wskaźniki pneumatycznych ssawek świeciły na zielono. Mieli dość paliwa, by utrzymać pojazd w zawieszeniu przez cztery długie tygodnie.

Teraz należało wykonać obraz termiczny.

–Chix, chcę, żebyście oblecieli teren. Zrobimy termikę.

Gryzoń wyszczerzył zęby w uśmiechu. Chochliki uwielbiały latać.

–Tak jest, pani kapitan – odparł, przypinając do piersi rurkę termoskanera.

Holly otworzyła luk w kapsule i Gryzoń gładko wyfrunął na zewnątrz, natychmiast wznosząc się do strefy cienia. Rurka na jego piersi zalała znajdujący się poniżej obszar promieniowaniem podczerwonym. Oczom Holly, wywołującej w komputerze program termoskanera, ukazał się obraz pełen niewyraźnych kształtów w różnych odcieniach szarości. Na tym tle zobaczyłaby każdą żyjącą istotę, nawet ukrytą za grubą warstwą skały. Ale dostrzegła jedynie kilka klnących żab i zadek trolla, znikającego poza granicą ekranu.

W głośniku zatrzeszczał głos Gryzonia:

–Hej, pani kapitan, mam zejść niżej i lepiej się przyjrzeć?

Przenośne skanery miały tę wadę, że ich promienie słabły proporcjonalnie do odległości.

–Okej, Chix. Jeszcze jeden przelot. Pamiętaj, bądź ostrożny.

–Nie martw się, Holly. Dla ciebie pan Chix postara się wrócić w jednym kawałku.

Holly zaczerpnęła tchu, aby udzielić mu miazdzącej riposty, ale słowa zamarły jej w gardle. Na ekranie coś się poruszało.

–Chix! Widziałeś to?

–Tak jest, pani kapitan. Coś widzę, ale nie wiem co. Holly powiększyła odpowiedni kawałek ekranu.

Na drugim poziomie przemieszczały się dwa kształty. Szare.

–Chix, zostań na pozycji. Skanuj dalej.

Szare? Jak to możliwe, żeby szare istoty się ruszały? Szare to martwe. Pozbawione ciepła, zimne jak grób. Niemniej...

–Stan gotowości, szeregowy Gryzoń. Możliwe, że mamy do czynienia z nieprzyjacielem.

Holly połączyła się z Komendą Policji. Centaur Ogierek, techniczny geniusz SKRZAT, który miał dyżur w boksie operacyjnym, na pewno odbierał obraz z kamery w kapsule.

–Ogierek, widzisz to?

–Owszem – odparł centaur. – Właśnie wyświetlam obraz od was na głównym ekranie.

–Jak sądzisz, co to za kształty? Szare i ruchome? Nigdy nie widziałam nic takiego.

–Ani ja.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, przerywana stukaniem klawiszy.

–Są dwa możliwe wyjaśnienia – ponownie odezwał się Ogierek. – Jedno to awaria sprzętu. To mogą być fantomowe obrazy z innej transmisji. Jak zakłócenia w radiu.

–A drugie?

–Takie kretyńskie, że aż boję się mówić.

–Tak? No to bądź tak uprzejmy i jednak wyduś to z siebie.

–Może to zabrzmie śmiesznie, ale niewykluczone, że ktoś znalazł sposób, by przechytrzyć mój system.

Holly pobladła. Skoro Ogierek dopuszczał taką możliwość, to niemal z pewnością była to prawda. Pośpiesznie rozłączyła się z centaurem i skupiła uwagę na poczynaniach szeregowego Gryzonia.

–Chix! Uciekaj stamtąd! W górę! W górę! Chochlik wszakże był zbyt zajęty imponowaniem ślicznej pani kapitan, by uświadomić sobie powagę sytuacji.

–Spoko, Holly. Jestem chochlik. W chochlika nikt nie trafi.

Wtedy właśnie pocisk wystrzelony z wylotu szybu wybił w skrzydle Chixa otwór wielkości pięści.

Wsuwając do kabury miotacz neutrino 2000, Holly nieprzerwanie wydawała rozkazy przez mikrofon w kasku.

–Kod 14, powtarzam, kod 14. Ranna wróżka. Ranna wróżka. Jesteśmy pod ostrzałem. E37. Przyślijcie czarowników sanitariuszy oraz wsparcie.

Wysunęła się przez właz i opadła na klepisko tunelu, po czym dała susa za posąg Paproci, pierwszego króla elfów. Chix leżał na kupie gruzu po drugiej stronie alei. Marnie wyglądał. Wgniecenie w kasku, spowodowane upadkiem na sterczący, zrujnowany murek, zapewne całkowicie unieruchomiło jego system komunikacyjny.

Jeśli miała go ocalić, musiała dotrzeć doń jak najszybciej. Moce uzdrawiające chochlików były bardzo ograniczone. Wystarczały, by usunąć brodawkę, lecz wyleczenie otwartej rany przekraczało ich możliwości.

–Przełączam cię do komendanta – zadzwieczał w jej uchu głos Ogierka. – Bądź w gotowości.

Na falach eteru zawarczał szorstki ton Bulwy. Najwyraźniej komendant był w nie najlepszym humorze. Jak zwykle zresztą.

–Kapitan Nieduża, chcę, żebyście zostali na pozycji, dopóki nie dotrze do was wsparcie.

–Odmawiam, komendancie. Chix oberwał i muszę się do niego dostać.

–Holly, kapitan Wodorost będzie tam za kilka minut. Zostań na pozycji, powtarzam,

zostań na pozycji.

Za przyłbicą kasku Holly zgrzytnęła zębami z bezsilnej złości. O mały włos nie wykopano jej z SKR, a teraz to. Żeby ocalić Chixa, musiała złamać wyraźny rozkaz.

Bulwa jakby wyczuł jej wahanie.

–Holly, posłuchaj mnie. Czymkolwiek strzelali do Chixa, udało im się przebić na wylot jego skrzydło. To oznacza, że twoja służbowa kamizelka jest bezużyteczna. Więc siedź na tyłku i czekaj na kapitana Wodorosta.

Kapitan Wodorost. Chyba największy chojrak w SKR, sławny z tego, że na uroczystości ukończenia Akademii wybrał dla siebie imię Kłopot. Niemniej, wykonując trudne zadanie, Holly nie chciałaby mieć za plecami żadnego innego funkcjonariusza.

–Sorry, sir, ale nie mogę czekać. Chix dostał w skrzydło. Wie pan, co to znaczy.

Rana skrzydła to dla chochlika nie to samo co dla ptaka. Skrzydła stanowiły najważniejszy narząd chochlików i przechodziło przez nie siedem ważnych tętnic. Postrzał, jaki otrzymał Chix, z pewnością uszkodził co najmniej trzy.

Z piersi komendanta Bulwy wyrwało się westchnienie, które przez radio zabrzmiało jak zwiększony szum.

–No dobrze, Holly. Ale kryj się. Nie chciałbym stracić żadnego z was.

Holly wyciągnęła z kabury neutrino 2000 i ustawiła przełącznik na trzeci stopień rażenia. W spotkaniu ze snajperami nie zamierzała ryzykować. Zakładając, że są to gobliny należące do triady B'wa Kell, strzał tej mocy ogłuszy je przynajmniej na osiem godzin.

Sprężyła się do skoku i jak błyskawica wypadła z za posągu, w który natychmiast uderzył grad pocisków, odłupując zeń kawałki kamienia.

Holly rzuciła się ku rannemu partnerowi. Wokół jej głowy latały kule, brzęcząc niczym naddźwiękowe pszczoły. Na ogół przemieszczanie rannego jest zakazane, lecz pod takim ostrzałem Holly nie miała wyjścia. Chwyła Gryzonia za naramienniki i wciągnęła go za zardzewiały wrak promu dostawczego.

Chix, który długo na nią czekał, uśmiechnął się słabo.

–Przyszłaś do mnie, pani kapitan. Wiedziałem, że przyjdiesz.

Usiłując nie dać po sobie poznać, jak bardzo się martwi, Holly odparła:

–Oczywiście, że przyszedłam, Chix. Nie zostawiam nikogo na pastwę losu.

–Wiedziałem, że mi się nie oprzesz. Wiedziałem... – tchnął Chix i zamknął oczy.

Był bardzo ciężko ranny. Być może zbyt ciężko.

Holly skupiła się na ranie. Uzdrawiaj, pomyślała, i czarodziejska moc wezbrała w niej milionem drobnych ukłuć, szpileczek, które napłynęły do rąk i palców. Położyła na skrzydle Gryzonia obie dłonie i niebieskie iskierki natychmiast jęły przeskakiwać do otworu, igrając wokół brzegów rany, naprawiając spaloną tkankę, odtwarzając utracone krwinki. Oddech chochlika wyrównał się, a na jego policzki powrócił zdrowy zielonkawy rumieniec.

Holly westchnęła z ulgą. Chix wyzdrowieje. Mając tak uszkodzone skrzydło, nie poleci już w żadną misję, ale przeżyje. Uważnie, aby nie urazić rannego narządu, ułożyła nieprzytomnego kolegę na boku i postanowiła zająć się tajemniczymi szarymi kształtami. Podwyższywszy stopień rażenia do czterech, bez wahania ruszyła ku wejściu do szybu.

Pierwszego dnia w Akademii SKR każdego nowicjusza dopada wielki, włochaty gnom wielkości samca trolla, przyciska go do ściany i ostrzega, żeby nigdy, przenigdy podczas wymiany ognia nie wchodził do niezabezpieczonego budynku. Gnom z ogromnym naciskiem codziennie powtarza tę maksymę, aż zostanie na zawsze utrwalona w mózgu każdego kadeta. Niemniej kapitan Holly Nieduża z jednostki SKRZAT właśnie zamierzała złamać ów zakaz.

Jednym strzałem miotacza błyskawicznie wysadziła podwójne drzwi terminalu i rzuciła się pod osłonę biurka recepcji. Jeszcze czterysta lat temu budynek ten przypominał ruchliwy ul, pełen turystów stojących w kolejce po wizy naziemne. Niegdyś Paryż stanowił ogromną atrakcję turystyczną. Ale ludzie – jak się zdaje, bezpowrotnie – zawłasczyli ową europejską stolicę; jedynym miejscem, w którym wróżki wciąż czuły się w miarę bezpiecznie, był podparyski Disneyland, gdzie nikt nie zwracał uwagi na małe istoty, nawet w kolorze zielonym.

Holly uruchomiła w kasku filtr rozpoznawania ruchu i przez kwarcową szybę ochronną rozejrzała się po wnętrzu budynku. Gdyby coś się poruszyło, komputer w kasku natychmiast ubrałby to w pomarańczową aureolę. Uniosła głowę i jeszcze zdążyła ujrzeć dwie postacie, skradające się galerią w stronę lądowiska promów. Tak jest, to były gobliny. Opadły na czworaki, aby zyskać na szybkości, i wlokły za sobą poduszkowy wózek. Ponadto miały odblaskowe hełmy i foliowe kombinezony, najwyraźniej zaprojektowane w celu oszukania sensorów termicznych. Bardzo sprytne – jak na gobliny, wręcz za sprytne.

Holly ruszyła za goblinami piętro niżej. Wszędzie wokół niej zwisały na

rusztowaniach starożytne tablice reklamowe: PRZEŻYJ RÓWNONOC NA DWUTYGODNIOWEJ WYCIECZCE! TYLKO DWADZIEŚCIA GRAMÓW ŻŁOTA! DZIECI PONIŻEJ LAT DZIESIĘCIU BEZPŁATNIE!

Przeskoczyła obrotową bramkę i popędziła przez strefę bezpieczeństwa, mijając lokale sklepów bezcłowych. Gobliny schodziły już na dół, kłapiąc butami i rękawicami po znieruchomiałych ruchomych schodach. Jeden z nich, sporego, ponad metrowego wzrostu, w pośpiechu zgubił hełm; panicznie przestraszony przewracał bezręsyymi oczyma i niekiedy zwilżał źrenice szybkimi liźnięciami rozdwojonego języka.

Kapitan Nieduża w biegu oddała z miotacza kilka krótkich serii i zobaczyła, że pocisk drasnął tyłek najbliższego wroga. Jęknęła – nie udało się jej trafić nawet w poblizę splotu nerwowego. Okazało się jednak, że nie było to konieczne – foliowe skafandry mają taką wadę, że przewodzą ładunki neutrino. Przestrzelony materiał zafalował niczym staw zmacony kamieniem, a jego właściciel wyskoczył dobre dwa metry w górę i zwałił się, nieprzytomny, u podnóża schodów. Poduszkowy wózek dziko zawirował, uderzając z rozpędu w obrotowy podajnik bagażu. Z rozbitej skrzyni wypadły setki małych, walcowatych przedmiotów i potoczyły się po podłodze.

Goblin numer dwa wystrzelił kilka razy do Holly, ale chybił, częściowo dlatego, że ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania, lecz również dlatego, że strzelanie z biodra bywa skuteczne tylko w kinie. Holly usiłowała sfilmować jego broń za pomocą kamery w kasku, żeby później sprawdzić ją w bazie danych komputera, wibracje jednak były zbyt silne.

Przez płataninę korytarzy pościg przeniósł się do hali odlotów. Holly zdumiała się, słysząc pomruk komputerów naprowadzających. Przecież tu miało nie być elektryczności! Inżynierowie SKR mieli rozebrać prądnice! Komu potrzebny prąd w tym miejscu?

Ale już znała odpowiedź. Prąd był potrzebny, żeby uruchomić jednoszynowy wahadłowiec i wieżę kontrolną. Jej podejrzenia potwierdziły się, gdy weszła do hangaru. Gobliny zbudowały prom!

Nie do wiary! Ładunek elektryczny mózgu goblina nie zdołałby zasilić dziesięciowatowej żarówki! W jaki sposób udało im się zbudować latający pojazd? A przecież miała go przed sobą – tkwił w doku niczym najgorszy koszmar sprzedawcy używanych pojazdów. Żaden jego fragment nie liczył sobie poniżej dziesięciu lat, a kadłub składał się wyłącznie z nitów i spawów.

Z trudem opanowała zdumienie i skupiła się na pościgu. Goblin przystanął na chwilę, by wyciągnąć parę skrzydeł z luku towarowego, Holly jednak nie chciała ryzykować strzału. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby osłona atomowego ogniwa

promu składała się tylko z pojedynczej warstwy ołowiu.

Goblin wykorzystał jej wahanie i skoczył w tunel dojazdowy, gdzie samotna szyna prowadziła wzdłuż osmalonej ściany skalnej do potężnego szybu. Szyb ten powstał z naturalnej szczeliny, jakich wiele przecina płaszcz i skorupę Ziemi. Strumienie magmy z płynnego jądra planety strzelają nimi ku powierzchni w nieregularnych odstępach czasu. Gdyby nie te wentyle bezpieczeństwa, Ziemia rozpadłaby się na kawałki już eony temu. Jednakże SKR zdołały okiełznać tę siłę natury i uruchomić ekspresową łączność z powierzchnią. W nagłych przypadkach funkcjonariusze SKRZAT „latali” na ognistych flarach, zamknięci w jajowatych tytanowych pojazdach; natomiast amatorzy spokojniejszych podróży korzystali z promów, które wznosiły się na prądach ciepłego powietrza do portów docelowych, rozsianych po całym świecie.

Holly zwolniła kroku. Goblin nie miał gdzie uciekać – chyba że zamierzał rzucić się do szybu, a przecież nikt nie mógł być aż tak szalony. Wszystko, czego dosięgły strumienie magmy, w okamgnieniu zostało usmażone do poziomu subatomowego włącznie.

Przed Holly zamajaczył wlot do szybu, ogromny, okolony osmaloną skałą.

Uruchomiła głośnik w kasku.

–No, dobra! – zawołała, przekrzykując ryk wiatru z jądra Ziemi. – Poddaj się! Nie wejdiesz do szybu bez pomocy naukowych.

„Pomoce naukowe” w żargonie SKR oznaczały informację techniczną – w tym przypadku terminy przewidywanych erupcji flar, podawane z dokładnością do jednej dziesiątej sekundy. Zazwyczaj.

Goblin podniósł swą osobliwą broń i starannie wycelował. Szczęknęła iglica, lecz bez skutku – czymkolwiek strzelał ten karabin, tego czegoś zabrakło.

–Z bronią konwencjonalną jest taki kłopot, że amunicja kiedyś się kończy – zakpiła Holly, która, choć kolana się pod nią ugiwały, pozostała wierna odwiecznej tradycji drwin z przeciwnika.

W odpowiedzi goblin cisnął karabinem w Holly. Był to straszliwy rzut, tylko o pięć metrów za krótki. Ale spełnił zadanie i na chwilę odwrócił uwagę wróżki, dając goblinowi czas na uruchomienie skrzydeł. Archaiczny model, wyposażony w silnik wirnikowy i zepsuty tłumik, wypełnił tunel przeciągłym rykiem.

Lecz w tle ryku silnika rozległ się ryk jeszcze potężniejszy, który Holly знаła z tysiąca godzin wylatanych w szybach. Zbliżała się flara.

W głowie Holly zakotłowały się myśli. Jeżeli goblinom udało się podłączyć terminal

do źródła prądu, to zostały uaktywnione wszystkie procedury bezpieczeństwa, w tym...

Kapitan Nieduża odwróciła się błyskawicznie, lecz przeciwpodmuchowe wrota już się zamykały. Ognioodporna grodzień, sterowana czujnikiem temperatury, umieszczonym wewnątrz szybu, uruchamiała się samoczynnie. Podczas wybuchu flary stalowe wrota dwumetrowej grubości odcinały tunel od reszty terminalu. Holly i goblin zostali schwytani w pułapkę; wznosiła się ku nim kolumna rozżarzonej magmy. Co prawda magma jako taka nie mogła ich zabić – flara rzadko dawała rozpryski, sęk jednak w tym, że towarzyszący jej podmuch straszliwie rozgrzanego powietrza niechybnie wysuszyłby ich jak jesienne liście.

Goblin stał przy ujściu szybu, obojętny na zbliżającą się erupcję. Holly pojęła, że to nie przyływ szaleństwa skłania go do skoku w dół – nie, uciekinier był po prostu niezmiernie głupi. I rzeczywiście. Goblin machnął zawadiacko ręką i mrugnawszy do niej porozumiewawczo, rzucił się do szybu.

Prąd powietrzny szybko uniósł go poza jej pole widzenia. Ale nie dość szybko. Holly zdążyła jeszcze zobaczyć, jak siedmiometrowy jęzor lawy dopada goblina niczym zaczajony wąż i pochłania w jednej chwili.

Nie traciła czasu na próżne żale. Miała własne kłopoty – kombinezony SKR były co prawda wyposażone w spirale, odprowadzające ciepło, ale to zabezpieczenie mogło się okazać niewystarczające. Wiedziała, że za kilka sekund do tunelu wdrze się powietrze tak gorące, że popękają od niego ściany.

Spojrzała w górę. W sklepieniu tunelu widniał rząd przyśrubowanych starych zbiorników chłodziwa. Przełączyła miotacz na maksymalną moc i jęła pruć seriami po ich wypiętych brzuchach. Nie było czasu na subtelności.

Zbiorniki wygięły się i pękły, wypuszczając stęchłe powietrze i kilka kropel płynu chłodzącego. Wszystko na nic. Pewnie kapalo z nich przez całe stulecia, a goblinom nie przyszło na myśl, żeby je wymienić. Ale jeden ze zbiorników pozostał nienaruszony – czarny, podłużny, inny niż standardowe, zielone wyposażenie SKR. Holly ustawiła się bezpośrednio pod spodem i wystrzeliła.

Dziesięć tysięcy litrów wody wzbogaconej płynem chłodzącym chlusnęło jej na głowę dokładnie w tej samej chwili, gdy uderzyła w nią ognista nawałnica. Dziwne wrażenie – być jednocześnie zamrażaną i przypiekaną. Holly czuła, jak na jej ramionach powstają pęcherze, błyskawicznie rozgniatane ciśnieniem wody. Musiała uklęknąć, zabrakło jej tchu. Ale nie była w stanie odetchnąć, podobnie jak nie mogła podnieść ręki, żeby włączyć zbiornik zamontowany w kasku.

Minęła cała wieczność, zanim ryk ustał i Holly odważyła się unieść powieki. Jej

oczom ukazał się tunel pełen pary. Uruchomiła urządzenie przeciwmgielne na przyłbicy i wstała z kolan, czując, iż po jej beztarciowym kombinezonie spływa strumień wody. Zwolniła zaciski kasku i zaczerpnęła głęboki haust powietrza. Nadal nieźle rozgrzane, ale oddychać się dało.

Za jej plecami ognioodporne wrota otworzyły się z sykiem i do tunelu wkroczył kapitan Kłopot Wodorost na czele oddziału szybkiego reagowania.

–Ładny manewr, pani kapitan.

Holly nie odpowiedziała, pochłonięta oglądaniem broni, porzuconej przez unicestwionego goblina. Był to rzeczywiście paskudny model, istna świnia wśród karabinów, z półmetrowej długości lufą i gwiazdowym celownikiem. Z początku Holly pomyślała nawet, że B'wa Kell wyprodukowali własną broń. Jednak prawie od razu pojęła, że prawda jest o wiele bardziej niebezpieczna. Odrywając karabin od na poły stopionej skały, przypomniała sobie ilustrację zamieszczoną w *Historii organów ścigania* - stary laser typu Softnose, który został zakazany już dawno temu. Ale nie to było najgorsze. Zamiast wróżkowego źródła mocy broń posiadała zasilanie w postaci ludzkiej baterii alkalicznej AA.

–Kłopot! – zawołała. – Rzuć na to okiem!

–O, d'Arvit – jęknął Wodorost, sięgając do włącznika radia na kasku. – Dajcie mi priorytetową łączność z komendantem Bulwą. Mamy przemyt klasy A. Tak jest, klasy A. Potrzebuję pełnej ekipy technicznej. I niech się zgłosi Ogierek. Trzeba zamknąć cały kwadrant...

Kłopot nadal wydawał rozkazy, jednak jego głos w uszach Holly zamienił się w odległe brzęczenie. B'wa Kell handlowali z Błotnymi Ludźmi! Ludzie i gobliny współpracowali, aby wznowić produkcję nielegalnej broni! A skoro dotarły tu ludzkie środki bojowe, ile czasu potrwa, zanim w ślad za nimi zjawi się ludzka rasa?

Choć pomoc nie dotarła natychmiast, po półgodzinie wokół szybu E37 bzyczało już tyle halogenowych lamp, że zaczął on przypominać miejsce najnowszej premiery wytwórni Golem World.

Ogierek, przyklękawszy, badał goblina, który padł nieprzytomny przy ruchomych schodach. W zasadzie tylko dzięki centaurowi ludziom nie udało się dotąd odkryć podziemnych siedzib Małego Ludu. Jednak ów techniczny geniusz, stojący za większością poważnych przedsięwzięć naukowych, od prognozowania flar po metody zacierania pamięci, z każdym odkryciem stawał się coraz bardziej irytujący i opryskliwy. Krążyły pogłoski, że ma słabość tylko do pewnej pani oficer ze SKRZAT. Do jednej jedynej pani oficer ze SKRZAT.

–Dobra robota, Holly – powiedział, pocierając odblaskowy strój goblina. – Właśnie

przeżyłaś starcie z szaszłykiem.

–No, dalej, Ogierek! Jak długo będziesz odwracał uwagę od faktu, że B’wa Kell oszukali twoje sensory?

Ogierek przymierzył jeden z hełmów.

–B’wa Kell? O, nie. Nie ma mowy. Są na to za głupi. Gobliny mają za małe czaszki. Nie, to jest produkcja ludzka.

–A skąd wiesz? – parsknęła Holly. – Poznajesz po szwach?

–W żadnym razie – odrzekł Ogierek, rzucając hełm Holly, która przeczytała metkę: „Made in Germany”. – Zapewne materiał ognioodporny. Zatrzymuje ciepło w środku i nie dopuszcza go z zewnątrz. To poważna sprawa, Holly. Tu nie chodzi o kilka modnych koszulek czy o skrzynkę czekolady. Jakiś człowiek uprawia z B’wa Kell poważny przemyt.

Ogierek odsunął się na bok, pozwalając ekipie technicznej zbliżyć się do więźnia. Technicy zamierzali wszczepić nieprzytomnemu goblinowi podskórny czujnik, zawierający mikrokapsułki środka usypiającego i maleńki detonator. Komputer mógł ogłuszyć tak oznakowanego przestępcę za każdym razem, gdy SKR dochodziły do wniosku, że wszedł w kolizję z prawem.

–Chyba wiesz, kto za tym stoi, prawda? – zapytała Holly.

Ogierek przewrócił oczami.

–Niech zgadnę. Arcywróg kapitan Niedużej, panicz Artemis Fowl?

–A kto, twoim zdaniem?

–Do wyboru, do koloru. Nasz Lud w swoim czasie kontaktował się z tysiącami Błotnych Ludzi.

–Doprawdy? – odcięła się Holly. – A ilu spośród nich nie zatarto pamięci?

Udając, że się zastanawia, Ogierek poprawił aluminiową czapeczkę, którą nosił, aby powstrzymać wszelkie sondujące mózg promienie, skierowane na jego głowę.

–Trzem osobom – wymamrotał w końcu.

–Nie słyszę.

–Dobra już, dobra. Trzem osobom.

–Właśnie. Czyli Fowlowi i jego oswojonym gorylom. Za tym wszystkim stoi Artemis. Wspomnisz moje słowa.

–Byłabyś zachwycona, gdyby tak było, prawda? Nareszcie mogłabyś się odegrać. Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, kiedy SKR zmierzył się z Artemisem Fowlem?

–Pamiętam. Ale to było ostatnim razem.

–Pozwolę sobie przypomnieć, że on ma już trzynaście lat – uśmiechnął się drwiąco Ogierek.

Holly oparła dłoń na pałce elektrycznej.

–Nie obchodzi mnie jego wiek! Raz mu przyłożę i zaśnie jak dziecko.

–Na twoim miejscu oszczędzałbym amunicję. Może ci się przydać. – Ogierek skinął głową w stronę wejścia.

Holly podążyła za jego wzrokiem. Komendant Juliusz Bulwa uważnie lustrował teren zabezpieczony przez SKR, a im więcej dostrzegał, tym czerwieńszy się stawał – stąd jego przydomek, Burak.

–Komendancie! – zawołała Holly. – Musi pan to zobaczyć.

Bulwa uciszył ją spojrzeniem.

–Co wy sobie myślicie?

–Przepraszam, sir?

–Nie wciskajcie mi ciemnoty! Przez cały czas byłem w boksie operacyjnym i widziałem przekaz wideo z waszego kasku!

–Och...

–„Och” to mało powiedziane, kapitan Nieduża! – Ostrzyżona na jeża czupryna Bulwy aż drżała z emocji. – To miała być misja zwiadowcza! Kilka oddziałów wsparcia siedziało na swoich wyszkolonych tyłkach, czekając na wasze wezwanie! Ale nie. Kapitan Nieduża postanowiła w pojedynkę porwać się na B’wa Kell!

–Kolega został ranny, sir. Nie było wyboru.

–A co w ogóle Gryzoń tam robił, mogę wiedzieć? Po raz pierwszy Holly spuściła wzrok.

–Wysłałam go, żeby zrobił termikę, sir. Zgodnie z przepisami.

Bulwa smutnie pokiwał głową.

–Właśnie rozmawiałem z czarownikiem sanitarnym. Gryzoń wyzdrowieje, ale z lataniem koniec. Oczywiście, staniecie przed trybunałem.

–Tak jest, sir. Jasne.

–To z pewnością formalność, ale wiecie, jaka jest Rada.

Holly wiedziała aż za dobrze, jaka jest Rada. Będzie pierwszym funkcjonariuszem w dziejach SKR, który zostanie poddany dwóm śledztwom naraz!

–A teraz, co ja tu słyszę o jakiejś klasie A? Wszelki przemysł podzielony był na kategorie, przy czym klasa A oznaczała niebezpieczne ludzkie technologie – na przykład źródła energii.

–Tędy, sir.

Bulwa podążył za Holly i Ogierkiem na sam koniec zaplecza technicznego, aż na lądowisko wahadłowców, którego część została obecnie odgradzona ograniczającą dostęp kopułą z plastiku.

Holly przecisnęła się przez matową zasłonę przy wejściu.

–Sam pan widzi, sir. To poważna sprawa. Bulwa przyjrzał się materiałowi dowodowemu.

Hangar towarowy wypełniały skrzynie alkalicznych baterii AA.

–Paluszki – powiedziała Holly, biorąc do ręki zafoliowane opakowanie. – Źródło energii, powszechnie używane wśród ludzi. Prymitywne, niewydajne i katastrofalne dla środowiska. Dwanaście skrzyń tylko tutaj, a kto wie, ile jeszcze stoi w tunelach.

Bulwa pozostał niewzruszony.

–Wybaczcie, że nie trzęsę się z wrażenia. Kilka goblinów postanowiło zagrać sobie w ludzkie gry wideo, i co z tego?

Ale wówczas Ogierek dostrzegł porzucony przez goblina laserowy karabin Softnose.

–Och, nie! – zawołał, podnosząc broń.

–Właśnie – przytaknęła Holly.

Bulwie nie spodobało się, że choćby na chwilę został wykluczony z rozmowy.

–„Och, nie”? Co wy tu urządzacie, melodramat?

–W żadnym wypadku, szefie – rzekł centaur z rzadką u niego powagą. – To śmiertelnie ponura sprawa. B’wa Kell używają ludzkich baterii do zasilania laserów Softnose. Na jedną baterię przypada zaledwie sześć strzałów, ale kiedy goblin ma pełną kieszeń baterii, to tych strzałów robi się dosyć dużo.

–Lasery Softnose? Przecież od dziesięcioleci są zabronione? Myślałem, że wszystkie poszły na złom?

–Tak przypuszczaliśmy – zgodził się Ogierek. – Mój wydział nadzorował ich przetopienie, ale nikt nie uważał tego za sprawę priorytetową. Pierwotnie były zasilane pojedynczą baterią słoneczną o trwałości około dziesięciu lat. Najwyraźniej komuś udało się wykraść kilka sztuk z magazynu spalarni.

–Chyba sporo, jeśli sądzić po tych wszystkich bateriach! Jeszcze tego brakowało, gobliny z laserami!

Projekt, wedle którego zbudowano Softnose’y, zakładał, że miotacz zostanie wyposażony w spowalniacz ograniczający prędkość laserowego promienia, co pozwoli mu wnikać w głąb celu, a nie tylko przebić jego zewnętrzną warstwę. Początkowo wymyślone na potrzeby górnictwa, lasery owe zostały szybko przechwycone przez jakiegoś chciwego producenta broni, a następnie równie szybko zakazane. Powód był oczywisty – użyte jako broń mogły zabić, a nie obezwładnić. Oczywiście, i dotychczas zdarzało się niekiedy, że pojedyncze sztuki trafiały do rąk członków gangu, ale to, co Bulwa tu zobaczył, nie wyglądało na drobny, czarnorynkowy handelek. Wręcz przeciwnie, komendant odniósł wrażenie, że szykuje się coś bardzo dużego.

–Wiecie, co najbardziej mnie w tym wszystkim martwi? – zapytał Ogierek.

–Nie mam pojęcia – odparł Bulwa z pozornym spokojem. – Błagam, powiedzcie mi zaraz, czym się tak martwicie.

Ogierek odwrócił karabin.

–Sposobem, w jaki zaadaptowano tę broń do ludzkich baterii. Bardzo sprytne. Nie ma mowy, żeby gobliny wymyśliły to samodzielnie.

–Ale po co adaptować Softnose’y? – zastanowił się komendant. – Czemu nie użyć starych baterii słonecznych?

–Są bardzo rzadkie i warte swej wagi w złocie. Handlarze antyków napędzają nimi

rozmaite stare gadżety. A poza tym, nie da się zbudować fabryki żadnych baterii, by moje sensory nie wychwyciły emisji. Znacznie prościej zwyczajnie ukraść je ludziom.

Zafrasowany Bulwa zapalił jedno ze swych grzybowych cygar, które stanowiły jego znak rozpoznawczy.

–Powiedzcie, że to już wszystko. Powiedzcie, że na tym koniec.

Wzrok Holly powędrował na tyły hangaru. Bulwa zauważył jej spojrzenie i, przeciskając się między skrzyniami, dotarł do prowizorycznego promu w doku startowym.

–Ogierek, a cóż to jest, do diabła? – zawołał, gramoląc się do pojazdu.

Centaur przeciągnął dłonią po kadłubie.

–Zdumiewające! Nie do wiary! Zbudowali wahadłowiec ze złomu! Dziwię się, że w ogóle potrafi oderwać się od ziemi.

Komendant mocno przygryzł grzybowe cygaro.

–Kiedy skończycie zachwyty nad goblinami, może mi wyjaśnicie, skąd B'wa Kell wzięli to wszystko! Myślałem, że cała przestarzała technologia lotnicza została zniszczona.

–Ja też tak myślałem. Sam wycofałem część tych rzeczy z użytku. Na przykład tego napędu bocznego używaliśmy w EI aż do zeszłego roku, kiedy kapitan Nieduża go załatwiła. Pamiętam, że sam podpisywałem rozkaz złomowania.

Bulwa poświęcił sekundę, by spiorunować Holly spojrzeniem.

–A więc teraz okazuje się, że nie tylko lasery Softnose, ale i części wahadłowca uniknęły wtórnego przetopienia. Dowiedzcie się, jak ten pojazd się tu znalazł. Rozbierzcie go na kawałki. Chcę, żebyście sprawdzili każdy drucik i każdą blaszkę na odciski palców i DNA. Wprowadźcie wszystkie numery seryjne do głównego komputera. Może znajdzie się jakiś wspólny mianownik.

–Dobry pomysł – przytaknął Ogierek. – Zaraz kogoś do tego skieruję.

–Nie, Ogierek. Zajmiecie się tym sami. Absolutny priorytet! Więc odpuśćcie sobie wasze teorie spiskowe na kilka dni i znajdźcie mi tu na dole wróżkę, która sprzedaje ten śmieć.

–Ależ, Juliuszu – zaprotestował Ogierek. – To robota dla mundurowych.

–Po pierwsze, panie cywil – warknął Bulwa, podchodząc doń o krok – nie mówcie do

mnie Juliuszu. A po drugie, powiedziałbym, że to robota dla kopytnych.

Ogierek zauważył żyłą pulsującą na skroni komendanta.

–Racja – zgodził się pośpiesznie i wyjął zza paska ręczny komputer. – Zaraz się tym zajmę.

–Byle szybko. A teraz, kapitan Nieduża, co mówi nasz zatrzymany z B’wa Kell?

–Niewiele – wzruszyła ramionami Holly. – Wciąż jest nieprzytomny. A kiedy się ocknie, przez miesiąc będzie kaszlał sadzą. Poza tym, wie pan, jak działa B’wa Kell. Żołnierzom nic się nie mówi. To facet do prostszych posług. Jaka szkoda, że Księga zabrania stosowania mesmeryzacji wobec wróżek.

–Hmm – mruknął złowieszczo Bulwa z twarzą czerwieńszą niż zadek pawiana. – Jeszcze większa szkoda, że Konwencja na Atlantydzie zabroniła używania serum prawdy. Inaczej moglibyśmy napompować nim podejrzanego, aż zacząłby śpiewać jak pijany Błotniak.

–Tu komendant głęboko odetchnął kilka razy, żeby się uspokoić, zanim wysiądzie mu serce. – A teraz koniecznie musimy się dowiedzieć, skąd pochodzą te baterie i czy w Niższej Krainie jest ich więcej.

Holly zaczerpnęła tchu.

–Mam pewną teorię, sir.

–Tylko mi nie mówcie – jęknął Bulwa. – Artemis Fowl, tak?

–A któż by inny? Wiedziała, że znów się pojawi. Wiedziała!

–Holly, znasz zasady. Pokonał nas w zeszłym roku i zabawa skończona. Tak mówi Księga.

–Tak, sir, ale to była inna zabawa. Nowa rozgrywka, nowe zasady. Jeśli Fowl dostarcza B’wa Kell alkalicznych baterii, to musimy przynajmniej to sprawdzić.

Bulwa popadł w zadumę. Gdyby za całą aferą stał Fowl, mogłoby się okazać, że sprawa ogromnie się komplikuje.

–Nie podoba mi się pomysł, żeby przesłuchiwać Fowla na jego terenie. Nie możemy też sprowadzić go tutaj. Ciśnienie pod ziemią by go zabiło.

–Możemy umieścić go w bezpiecznym środowisku – zaprotestowała Holly. – Ciśnienie w Oazie jest wyrównane, w promach też.

–No, dobra, idźcie – zgodził się w końcu komendant. – Zaproście go na małą pogawędkę. I nie zapomnijcie przyprowadzić tego dużego.

–Butlera?

–Tak jest, Butlera. Ale – zawahał się Bulwa – pamiętajcie, że przeprowadzimy dokładne badania. Dostyc awantur, Holly. Nie chcę, żebyś potraktowała to jako okazję do wyrównania rachunków.

–Nie, sir. Sprawa czysto służbowa, sir.

–Mam na to wasze słowo?

–Tak jest, sir. Gwarantuję, sir.

Bulwa zmiażdżył obcasem niedopałek cygara.

–Nie życzę sobie, żeby ktoś jeszcze został dzisiaj ranny. Nawet Artemis Fowl.

–Tak jest.

–Chyba – dodał komendant – że to będzie bezwzględnie konieczne.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zejście pod ziemię

Szkoła dla młodych dżentelmenów św. Bartleby'ego

Euroazjata Butler był służącym Artemisa od dnia jego urodzin. Po raz pierwszy towarzyszył swemu podopiecznemu, stojąc na warcie przed oddziałem położniczym Sióstr Miłosierdzia, i od tamtej pory przez ponad dziesięć lat pełnił wobec młodego dziedzica funkcję nauczyciela, mentora i opiekuna. Nigdy nie rozstawali się na dłużej niż tydzień, aż do tej chwili. Butler wiedział, że nie powinien się niepokoić – żaden ochroniarz nie może wiązać się uczuciowo z podopiecznym, gdyż wpływa to na jego ocenę sytuacji. Ale prywatnie Butler nie umiał już myśleć o dziedzicu rodu Fowlów inaczej niż jak o synu lub młodszym bracie, którego nigdy nie miał.

Butler zaparkował bentleya Arnage Red Label pod bramą szkoły. Od ferii jeszcze przybrał na objętości – kiedy Artemis był w szkole, spędzał więcej czasu w siłowni. Prawdę mówiąc, miał już dosyć machania żelastwem, lecz władze szkoły stanowczo sprzeciwiły się jego zamieszkaniu w pokoju Artemisa. A gdy ogrodnik odkrył kryjówkę ochroniarza tuż za polem golfowym, w ogóle zakazano mu wstępu na teren szkoły.

Artemis wymknął się za bramę, wciąż myśląc o tym, co powiedział doktor Po.

–Jakieś problemy, sir? – zagadnął Butler, widząc kwaśną minę chlebodawcy.

Artemis zanurzył się w obitym pąsową skórą wnętrzu bentleya i wyciągnął z barku butelkę wody.

–Nic podobnego, Butler. Po prostu kolejny szarlatan ze swoim psychobelkotem.

–Powinienem się z nim rozmówić? – Butler dołożył starań, by jego głos zabrzmiał spokojnie.

–Nie będziemy się teraz nim zajmować. Są jakieś wieści o „Gwieździe Fowlów”?

–Dziś dostaliśmy e-mail. Format MPG. Artemis skrzywił się. Jego telefon komórkowy nie obsługiwał wideoplików w tym formacie.

Butler wyciągnął ze skrytki przenośny komputer.

–Pomyślałem, że chciałbyś obejrzeć ten film, więc ściągnąłem go tutaj – rzekł przez ramię, podając komputer Artemisowi.

Chłopiec uruchomił urządzenie i otworzył płaski, barwny ekran. Z początku odniósł wrażenie, że bateria się wyczerpała, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że patrzy na śnieżną równinę, biel na bieli, gdzie tylko blade cienie sygnalizowały zasy i zagłębienia.

Poczuł w żołądku falę niepokoju. Dziwne, jak złowieszczy wydał mu się ten niewinny krajobraz.

Kamera uniosła się w górę, ukazując bure niebo o zmierzchu, a w oddali sterczący ciemny obiekt. Z głośników dobiegło rytmiczne skrzypienie kroków idącego po śniegu operatora. Daleki obiekt stał się wyraźniejszy. Był to człowiek siedzący – nieprzywiązany do krzesła. Szklanka w dłoni Artemisa zadrżała, zadzwoniły kostki lodu.

Mężczyznę spowijały strzępy niegdyś wytwornego garnituru. Jego twarz, niczym błyskawice, przecinały blizny, ponadto najwyraźniej nie miał jednej nogi. W półmroku trudno było cokolwiek dostrzec. Oddech Artemisa stał się urywany jak u maratończyka.

Na szyi mężczyzny wisiała na sznurku tekturowa tabliczka. Widniały na niej litery nagryzmołone grubym czarnym flamastrem: *Zdrawstwuj, syn*. Kamera zrobiła kilkusekundowe zbliżenie, po czym obraz zniknął.

–To wszystko?

–Tylko człowiek i napis – przytaknął Butler.

–*Zdrawstwuj, syn* - mruknął Artemis z nienagannym akcentem. Kiedy ojciec zniknął, samodzielnie nauczył się rosyjskiego.

–Mam ci przetłumaczyć? – zaproponował Butler, również władający tym językiem. Opanował go pod koniec lat osiemdziesiątych, podczas pięcioletniej służby w jednostce szpiegowskiej, lecz nie dorównywał Artemisowi elegancją wymowy.

–Nie trzeba, wiem, co to znaczy – odparł młody pracodawca. – *Zdrawstwuj, syn*. Witaj, synu.

Bentley wjechał na dwupasmówkę i przez kilka chwil w samochodzie panowało milczenie. W końcu Butler nie wytrzymał.

–Artemisie, sądzisz, że to on? Ten człowiek może być twoim ojcem?

Artemis jeszcze raz odtworzył plik wideo, zatrzymując go na ujęciu twarzy tajemniczego mężczyzny. Potem dotknął ekranu, po którym rozbiegły się tęczowe kręgi zakłóceń.

–Tak mi się wydaje, Butler. Ale jakość obrazu jest tak marna, że nie mam pewności.

Butler doskonale rozumiał, jakie uczucia targają jego podopiecznym. On także stracił kogoś na „Gwieździe Fowlów”. Podczas owego fatalnego rejsu ojcem Artemisa opiekował się wuj Butlera, Major; niestety, jego ciało odnalazło się w kostnicy w Czerskim.

Artemis ochłonął nieco.

–Butler, muszę się tym zająć.

–Oczywiście wiesz, co teraz nastąpi?

–Tak. Żądanie okupu. Ten film miał tylko nas zachęcić, przyciągnąć naszą uwagę. Muszę spieniężyć trochę złota Małego Ludu. Skontaktuj się z Larsem w Zurychu. Natychmiast.

Butler wjechał na pas szybkiego ruchu i przyśpieszył.

–Mam pewne doświadczenie w tych sprawach, paniczu Artemisie.

Artemis milczał, świadom faktu, że kariera Butlera przed jego narodzinami miała przebieg, co najmniej urozmaicony.

–Porywacze zwykle trzymają się jednego schematu – eliminują wszystkich świadków, a potem wykańczają się nawzajem, żeby uniknąć podziału okupu.

–Czyli?

–Czyli zapłacenie okupu w żaden sposób nie gwarantuje twemu ojcu bezpieczeństwa. Jeżeli oczywiście ten człowiek to twój ojciec. Bardzo możliwe, że porywacze przejmą pieniądze, po czym zabiją nas wszystkich.

Artemis wpatrzył się w obraz na ekranie.

–Naturalnie, masz rację. Muszę wymyślić jakiś plan.

Butler przełknął ślinę. Pamiętał jeszcze ostatni plan Artemisa. O mały włos wszyscy by zginęli, przy okazji rozpętując ogólnoswiatową wojnę międzygatunkową. Ochroniarz nie należał do bojaźliwych, ale wystarczył błysk w oczach Artemisa Fowla, aby po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

Terminal szybu El:Tara, Irlandia

Kapitan Holly Nieduża postanowiła zostać w pracy na drugą zmianę i wybrać się na powierzchnię. Złapała jeszcze odżywczy batonik i energizujący napój, po czym

wskoczyła do pierwszej wolnej kapsuły do Tary. Kiedy jednak wylądowała w górnym terminalu, okazało się, że szef tamtejszej służby bezpieczeństwa nie zamierza nic jej ułatwiać. Był wściekły – nie dość, że Holly wstrzymała cały ruch w szybie, aby przylecieć ekspresową kapsułą z EI, to jeszcze na podróż powrotną zarekwirowała cały wahadłowiec.

–Może jeszcze raz sprawdzi pan w systemie? – przekonywała go Holly przez zaciśnięte zęby. – Z pewnością upoważnienie z Pałacu Policji zdążyło już do was dotrzeć.

Nadąsany gnom spojrział do ręcznego komputera.

–Nie, paniusiu, nic tu nie mam.

–Słuchaj pan...

–Komendant Ziemka.

–...komendancie Ziemka. Moje zadanie jest bardzo ważne. Chodzi o bezpieczeństwo państwa. Hala przylotów musi być wolna przez najbliższe dwie godziny.

Ziemka przekonująco udał, że mdleje.

–Dwie godziny! Odbiło ci, dziewczyno? Za chwilę przylatują trzy promy z Atlantydy. Co ja im powiem? Wycieczka odwołana z powodu tajnej imprezy SKR? To środek sezonu! Nie mogę wszystkiego zamknąć ot, tak sobie! Nie ma mowy, żadną miarą!

–Dobra. – Holly wzruszyła ramionami. – Niech no tylko turyści zobaczą tych dwóch ludzi, których tu sprowadzę. Ale będzie zadyma! Gwarantuję!

–Dwóch ludzi? – przeraził się szef bezpieczeństwa. – W terminalu? Oszalałaś?

Holly kończyła się cierpliwość, a także czas.

–Widzisz to? – zapytała, pokazując insygnia na kasku. – Jestem kapitanem SKR i żaden wynajęty goryl nie będzie mi przeszkadzał w wykonaniu rozkazu.

Ziemka wyprostował się do pełnej wysokości, która wynosiła około siedemdziesięciu centymetrów.

–Aa, słyszałem o tobie. Ty jesteś ta zwariowana pani kapitan. Aleś tu narobiła zamieszania w zeszłym roku, nie ma co! Za tę obsuwę jeszcze długo będę płacił podatki w złocie.

–Wywołaj Centralę, ty biurokratyczny idioto!

–A nazywaj mnie, jak chcesz, panienko. Mamy tu swoje zasady i bez potwierdzenia z dołu palcem nie kiwnę, żeby je zmienić. A zwłaszcza z powodu jakiejś napalonej dziewczuszki, której woda sodowa uderzyła do głowy.

–Zadzwońże wreszcie na dół po potwierdzenie! Ziemka sapnął głośno.

–Właśnie uaktywniły się magmowe flary. Jakby trudniej o łączność. Może znowu spróbuję po obchodzie, a ty tymczasem posiedź sobie grzecznie w poczekalni.

Dłoń Holly powędrowała w stronę elektrycznej pałki.

–Mam nadzieję, że wiesz, co robisz?

–Co? – zaskrzeczał gnom.

–Utrudniasz działania SKR.

–Nic nie utrudniam...

–W związku z tym jestem upoważniona, żeby usunąć przeszkodę, używając takich środków przymusu, jakie uznam za konieczne.

–Grozisz mi, panienko?

Holly wyciągnęła pałkę i wprawnie obróciła ją w palcach.

–Niczym ci nie grożę. Po prostu informuję cię, jaka jest prawidłowa procedura policyjna. Jeżeli nadal będziesz mi przeszkadzał, usunę przeszkodę, to znaczy ciebie, i udam się do twego bezpośredniego zwierzchnika.

Ziemka wciąż nie był przekonany.

–Nie odważysz się.

–Jestem ta wariatka kapitan, pamiętasz? – Holly wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Gnom zastanowił się. Mało prawdopodobne, że ta policjantka go porazi, ale, z drugiej strony, z elficzkami nigdy nic nie wiadomo...

–Okej – powiedział, wyciągając z komputera zadrukowaną kartkę. – To jest całodobowa wiza. Ale jeśli nie wrócisz w terminie, wsadzę cię do aresztu, kiedy tylko się pojawisz. I wtedy to ja będę ci groził.

Holly pośpiesznie chwyciła kartkę.

–Jak sobie chcesz. Tylko pamiętaj – kiedy wrócę, hala przylotów musi być pusta.

Irlandia, w drodze ze szkoły św. Bartleby'ego do dworu Fowlów

Artemis weryfikował swoje pomysły, opowiadając je Butlerowi. Często korzystał z tej techniki, opracowując jakiś plan. Koniec końców, jeśli w ogóle ktoś był tu ekspertem w kwestii tajnych operacji, to z pewnością jego ochroniarz.

–Nie da się wyśledzić, skąd pochodzi plik MPG?

–Nie, Artemisie, już próbowałem. Do poczty elektronicznej dołączyli samoniszczący wirus. Z trudem udało mi się przegrać ją na dysk, zanim film się rozpadł.

–A film jako taki? Może da się ustalić położenie geograficzne po gwiazdach?

Butler uśmiechnął się. Młody panicz Artemis zaczynał myśleć jak zawodowy żołnierz.

–Nic z tego. Wysłałem kadr przyjacielowi w NASA, ale nawet nie wprowadził go do komputera. Za mała ostrość.

Artemis zamilkł na chwilę.

–Jak najprędzej dostać się do Rosji? Butler zabębnił palcami w kierownicę.

–To zależy.

–Od czego?

–Od tego, jak będziemy podróżować, legalnie czy nielegalnie.

–A w jaki sposób będzie szybciej?

Butler wybuchnął śmiechem, co nie zdarzało się często.

–Zazwyczaj nielegalnie jest szybciej. Ale trochę to potrwa, bez względu na to, co zrobimy. Jedno jest pewne – droga lotnicza odpada. Mafia obstawia swymi żołnierzami wszystkie lotniska.

–Jesteś pewien, że mamy do czynienia z mafią? Butler zerknął w lusterko wsteczne.

–Obawiam się, że tak. Nawet gdyby twego ojca porwał jakiś zwykły kryminalista, to mafia, dowiedziawszy się o tym, natychmiast by go przejęła.

–Tak myślałem – przytaknął Artemis. – Cóż, musimy wybrać drogę morską, a to potrwa co najmniej tydzień. Naprawdę przydałaby się nam pomoc w podróży. Jakiś środek transportu, którego mafia się nie spodziewa. Jak stoimy z dokumentami?

–Nie ma problemu. Uznałem, że podamy się za tubylców. W ten sposób wzbudzimy mniej podejrzeń. Mam już paszporty i wizy.

–Da. Za kogo się podajemy?

–Co powiesz na Stiepana Baszkira i jego wuja Konstantina?

–Doskonale. Młody geniusz szachowy i jego opiekun.

Nasi bohaterowie już wielokrotnie korzystali z tej legendy podczas poprzednich misji poszukiwawczych. Kiedyś urzędnik paszportowy, sam będący szachowym arcymistrzem, podawał ich opowieść w wątpliwość do chwili, gdy Artemis pokonał go w sześciu posunięciach. Technika owa zyskała miano Manewru Baszkira.

–Kiedy możemy jechać?

–Właściwie zaraz. Pani Fowl i Julia pojechały na tydzień do Nicei, co daje nam osiem dni. A do szkoły możemy napisać i podać im jakiś wykręt.

–Święty Bartleby zapewne chętnie się mnie pozbędzie na jakiś czas.

–Z dworu pojedziemy prosto na lotnisko – odrzutowiec Lear stoi zatankowany. Moglibyśmy polecieć do Skandynawii i tam załatwić sobie jakąś łódź. Muszę tylko zabrać kilka rzeczy z domu.

Artemis dokładnie sobie wyobrażał, jakie to rzeczy – ostre i wybuchowe – musi zabrać jego służący.

–Świetnie. Im prędzej, tym lepiej. Musimy odnaleźć porywaczy, zanim się zorientują, że ich szukamy. Poczcie elektroniczną będziemy odbierać po drodze.

Butler skręcił na zjazd prowadzący do dworu Fowlów.

–Wiesz, Artemisie – rzekł, znów zerkając w lusterko – porywamy się na rosyjską mafię. Już miałem do czynienia z tymi ludźmi. Oni nie negocjują. Może polać się krew. Jeżeli się im sprzeciwimy, ktoś na pewno ucierpi. Najprawdopodobniej my.

Artemis machinalnie kiwnął głową, wpatrzony w swoje odbicie w szybie. Musiał mieć plan – coś śmiałego i olśniewającego. Coś, czego nigdy przedtem nie próbowano. Młody Fowl niezbyt się tym martwił. Mózg nigdy jeszcze go nie zawiódł.

Port promowy w Tarze

Promowy port wrózek w Tarze stanowił imponujące przedsięwzięcie. Terminal o kubaturze trzech i pół tysiąca metrów sześciennych został ukryty pod zarośniętym pagórkem w samym środku farmy McGraneya.

McGraneyowie od wieków szanowali granice fortu wrózek, toteż od wieków szczęście ich nie odstępowało. Chorzy w ich rodzinie doznawali tajemniczych uzdrowień w ciągu jednej nocy, bezcenne dzieła sztuki wyłaniały się z ich gruntów z niesłychaną regularnością, a choroba wściekłych krów szerokim łukiem omijała ich stada.

Rozwiązawszy problem wizy, Holly w końcu dotarła do śluzy bezpieczeństwa i przeniknęła przez holograficzny kamuflaż. Na tę wyprawę zdołała zapewnić sobie Kobi DoubleDex, sprzęt latający zasilany baterią słoneczną ze wspomaganiami satelitarnymi. Model ten posiadał nowatorski, wręcz rewolucyjny, podwójny układ skrzydeł – jedno, większe, przeznaczone było do szybowania, drugie, mniejsze, do manewrów – i Holly od dawna marzyła, by go wypróbować. Niestety, z laboratoriów Kobi do SKR dotarło jak na razie tylko kilka sztuk, ponadto Ogierek niechętnie je wypożyczał, być może dlatego, że to nie on je wymyślił. Zazdrość zawodowa. Toteż Holly wykorzystała jego nieobecność w centrali i ściągnęła jeden komplet z szafy.

Unosząc się piętnaście metrów nad ziemią, pozwoliła, by jej płuca napełniło niefiltrowane powietrze z powierzchni Ziemi. Aczkolwiek pełne zanieczyszczeń, było i tak słodsze niż przetworzony produkt z tuneli. Elficzka przez kilka minut delektowała się oddychaniem, po czym znowu skupiła się na zadaniu. Musiała uprowadzić Artemisa Fowla.

Nie z domu, to pewne. Wkraczając bez zaproszenia do dworu Fowlów, z punktu widzenia prawa znalazłaby się na bardzo śliskim gruncie. Co prawda, formalnie rzecz biorąc, Artemis wyraził zgodę na obecność Holly, przetrzymując ją w zeszłym roku, jednak na tej podstawie niewielu prawników podjęłoby się jej obrony. A poza tym dwór był prawdziwą twierdzą i zdołał się już oprzeć całej grupie Odzysku SKR. Z jakiej racji miała sądzić, że akurat jej się powiedzie?

Ponadto, jeżeli Artemis istotnie handlował z B'wa Kell, to niewykluczone, że spodziewał się wizyty, co dodatkowo komplikowało sprawę. Holly niezbyt podobał się pomysł, że miałyby wejść prosto w pułapkę; już raz była więźniem we dworze Fowlów, możliwe nawet, że w jej celi jeszcze stoją meble.

Uruchomiła zainstalowany w kasku system nawigacji i wywołała obraz dworu Fowlów na ekranie przyłbicy. Obok trójwymiarowego planu domu zamigotało łagodne, szkarłatne światełko. Z ust Holly wyrwał się jęk – dwór został oznakowany przez SKR na czerwono! Oznaczało to, że musiała wysłuchać wideo-ostrzeżenia, nagranych na wypadek, gdyby istniał na świecie funkcjonariusz, który nigdy nie słyszał o Artemisie Fowlu.

Na ekranie zajaśniała twarzyczka kapral Liii Rzęski. Oczywiście, jakżeby mogli wybrać kogo innego! Lalkowata buźka SKR! Seksizm w centrali policji istniał i miał się dobrze. Krążyła nawet plotka, że wyniki testów Rzęski zostały podrasowane ze

względu na jej pokrewieństwo z królewskim rodem Paproci.

„Dwór Fowlów – oznajmiła główka Liii, trzepocząc rzęskami – który wybraliście, ma kod czerwony, najwyższy w naszej klasyfikacji. Nie próbujcie nawet przelatywać nad budynkiem, gdyż Artemis Fowl uważany jest za aktywnego wroga naszego Ludu”.

Obok Rzęski pojawiło się zdjęcie Fowla z cyfrowo powiększonym marsem na obliczu.

„Pod żadnym pozorem nie wolno również zbliżać się do współpracownika Fowla, znanego jako Butler. Człowiek ten zazwyczaj jest uzbrojony i uchodzi za niezwykle niebezpiecznego”.

Na ekranie ukazała się twarz Butlera. Informacja, że jest „uzbrojony i niebezpieczny”, bynajmniej nie oddawała mu sprawiedliwości – był to jedyny człowiek w historii rasy ludzkiej, który zmierzył się z trollem i zwyciężył.

Holly przekazała do komputera współrzędne dworu i pozwoliła skrzydłom przejść na automatyczne sterowanie. Pod nią błyskawicznie przesuwał się ludzki krajobraz. W ciągu zaledwie roku, który upłynął od jej ostatniej wizyty, zaraza Błotniaków poczyniła spore postępy; na każdym większym skrawku ziemi stały ich okopane siedziby, fabryki zaś wylewały truciznę do każdego kilometra rzeki.

Wreszcie słońce opadło za horyzont i Holly mogła unieść przyłbicę kasku. Czas zaczął działać na jej korzyść. Miała całą noc, żeby wymyślić jakiś plan. Uświadomiła sobie, że brak jej sarkastycznych uwag Ogierka, które, choć irytujące, na ogół okazywały się trafne i niejednokrotnie ratowały jej skórę. Spróbowała się z nim połączyć, ale ze względu na utrzymującą się aktywność flar w słuchawkach rozbrzmiewał jedynie szum.

W oddali zamajaczył dwór Fowlów, górujący nad całą okolicą. Holly zeskanowała termiczny obraz budynku, lecz nie znalazła w nim nic oprócz owadów i niewielkich gryzoni. Pająki i myszy – to jej odpowiadało. Wylądowała na głowie szczególnie odrażającego kamiennego gargulca i przygotowała się na dłuższe czekanie.

Dwór Fowlów

Dwór Fowlów, zbudowany w XV wieku przez lorda Hugona Fowla wedle zaleceń Normanów, którzy nigdy nie pozwalali wrogowi się podkraść, dominował nad całą niziną okolicą. Przez następne stulecia zamek rozbudowywano i przerabiano, aż stał się obszerną ziemiańską rezydencją, niemniej zawsze przywiązywano wielką wagę do bezpieczeństwa jego mieszkańców. Obecnie dwór otoczony był metrowej grubości murem, wyposażonym w najnowocześniejszy system alarmowy.

Skręciwszy z szosy, Butler otworzył pilotem bramę posiadłości, przy okazji zerkając na zamyśloną twarz pracodawcy. Czasem miał wrażenie, że pomimo ogromnej liczby kontaktów, informatorów i pracowników Artemis Fowl był najbardziej samotnym chłopcem, jakiego znał.

–Może weźmy ze sobą kilka tych elfich miotaczy – zaproponował.

Podczas zeszłorocznego oblężenia Butler odebrał broń całemu oddziałowi Odzysku SKR.

–Dobra myśl – zgodził się Artemis. – Ale trzeba wyjąć z nich baterie atomowe, a samą broń włożyć do torby ze starymi grami i książkami dla dzieci. Gdyby nas złapali, możemy udawać, że to zabawki.

–Tak jest, sir. Świetny pomysł.

Bentley z lekkim chrzęstem sunął żwirowym podjazdem, omiatając reflektorami teren. W głównym budynku paliło się kilka świateł, które zostały losowo podłączone do zapalników czasowych.

Butler rozpiął pas i zwinnie wysiadł z samochodu.

–Jakieś specjalne zamówienia, Artemisie?

–Przynieś mi ze spiżarni trochę kawioru. Nie masz pojęcia, jakim paskudztwem karmią nas w świętym Bartleby'm za dziesięć tysięcy za semestr.

Butler znów się uśmiechnął – nastolatek proszący o kawior! Nigdy się do tego nie przyzwyczai.

Jednak gdy znalazł się w połowie drogi do niedawno przerabianych drzwi wejściowych, uśmiech zamarł mu na ustach. Poczł drżenie w sercu. Doskonale znał to uczucie – matka zwykła mówić, że śmierć go przeskoczyła. Było to coś w rodzaju szóstego zmysłu, sygnału prosto z trzewi. Gdzieś w pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo, niewidzialne, lecz mimo to namacalnie obecne.

Holly z odległości mili dostrzegła snop światła na niebie. W jej sytuacji system Optix nie na wiele się przydał; przez przednią szybę samochodu nie dało się nic dostrzec, gdyż szkło było przyciemnione, a wewnątrz panował głęboki mrok. Lecz na widok pojazdu Fowla jej tętno przyspieszyło.

Auto jechało krętą aleją, migając między rzędami wierzb i kasztanowców. Holly instynktownie się skuliła; choć przed oczami ludzi osłaniała ją tarcza, ze służącym Artemisa nigdy nic nie wiadomo. W zeszłym roku Artemis rozebrał kilka kasków, wyprodukowanych przez wróżki, po czym z ich szczątków skonstruował noktowizor, dzięki któremu Butler zdołał odkryć i unieszkodliwić cały specoddział Odzysku SKR. Mało prawdopodobne, by sługa miał go teraz przy sobie, ale – jak na własną zgubę odkrył Kłopot Wodorost i jego chłopcy – niedoceniecie Artemisa i jego sługi zdecydowanie się nie opłacało.

Holly nastawiła neutrino 2000 nieco powyżej zalecanego poziomu ogłuszania. To co, że kilka szarych komórek Butlera się usmaży – ona, Holly, nie zamierza płakać z tego powodu.

Samochód z chrzęstem zatrzymał się na żwirowym podejździe. Z jego wnętrza wynurzył się Butler. Holly poczuła, że jej szczęki się zaciskają. Kiedyś, dawno temu, ocaliła mu życie, uzdrawiając go po śmiertelnej potyczce z trollem. Nie była jednak pewna, czy zrobiłaby to ponownie.

Wstrzymując oddech, nastawiła DoubleDexy na powolny lot w dół i bezszelestnie opadłszy kilka pięter, znalazła się na poziomie piersi służącego. Nawet oślepiiony słońcem krasnal nie chybiłby takiego celu.

Butler nie mógł wykryć jej obecności. To było niemożliwe. Lecz coś sprawiło, że się zawahał, przystanął i zaczął węszyć. Doprawdy, ten Błotny Człowiek przypominał psa. Nie, nie psa – wilka. Dużego wilka, uzbrojonego w pistolet.

Holly skierowała obiektyw kasku na broń Butlera, kamera zaś od razu przekazała obraz do komputerowej bazy danych wróżek. Po chwili w rogu ekranu ukazał się trójwymiarowy schemat pistoletu, powoli obracający się wokół osi.

–Sig sauer – powiedział głos Ogierka, zapisany w pamięci dyskowej. – Dziewięć milimetrów. Magazynek mieści trzynaście sztuk amunicji. Duże pociski – jeśli dostaniecie takim w głowę, to nawet magia nic nie pomoże. Poza tym raczej nic wam nie grozi, pod warunkiem, że macie na sobie powierzchniowy kombinezon z mikrofibry mojego pomysłu, zalecany przez regulamin. Chociaż jako palanty ze SKRZAT pewnie zapomnieliście go włożyć.

Holly skrzywiła się. Im bardziej Ogierek miał rację, tym bardziej działał jej na nerwy. Rzeczywiście, wskoczyła do pierwszej wolnej kapsuły, nie zadając sobie trudu, by

przebrać się w kombinezon powierzchniowy.

Choć nadal unosiła się metr nad ziemią, jej oczy znalazły się na poziomie głowy Butlera. Zwolniła pneumatyczne zatraski przyłbicy i aż zadygotała, słysząc syk uciekającego gazu.

Butler także usłyszał dźwięk i skierował się w stronę jego źródła.

–Wróżko – powiedział. – Wiem, że tam jesteś. Wyłącz tarczę, bo zacznę strzelać.

Nie to miała na myśli Holly, myśląc o uzyskaniu przewagi taktycznej. Jej przyłbica była otwarta, a palec służącego już zginał się na spuście. Odetchnęła głęboko i wyłączyła tarczę.

–Cześć, Butler – rzekła najspokojniej, jak umiała. Butler uniósł wyżej pistolet.

–Cześć, pani kapitan – odparł. – Zejdź niżej i nie próbuj swoich...

–*Odłóż broń* – powiedziała Holly głosem nasyconym hipnotyczną mocą mesmeryzacji.

Lufa pistoletu zadrżała – Butler usiłował się opierać.

–Odłóż to, Butler. Nie zmuszaj mnie, bym usmażyła ci mózg.

Na powiece Butlera zaczęła pulsować żyła.

Niezwykłe, pomyślała Holly, nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałam.

–Nie opieraj się, Błotniaku. Poddaj się mocy. Butler otworzył usta, usiłując coś powiedzieć.

Musiał ostrzec Artemisa! Holly wzmocniła oddziaływanie, wręcz zalewając nim głowę człowieka.

–*Odłóż to, powiedziałam!*

Kropla potu spłynęła po policzku ochroniarza.

–*ODŁÓŻ TO!*

Butler w końcu usłuchał, powoli i niechętnie.

–Świetnie, Błotniaku – uśmiechnęła się Holly. – A teraz do samochodu. Zachowuj się, jakby nic się nie stało.

Nogi służącego posłuchały rozkazu wbrew sygnałom rozpaczliwie wysyłanym przez jego mózg.

Holly uruchomiła tarczę. Szykowała się niezła zabawa!

Artemis układał list na swoim laptopie.

Drogi doktorze Guiney – pisał. – Wskutek nietaktownego przesłuchania, jakiemu Wasz psycholog poddał mojego Artusia, musiałam odebrać go ze szkoły i wysłać do kliniki Mont Gaspard w Szwajcarii na cykl sesji terapeutycznych u prawdziwego fachowca. Rozważam także podjęcie kroków prawnych. Nie radzę Panu kontaktować się ze mną, gdyż to mogłoby mnie zirytować jeszcze bardziej, a w stanie irytacji zazwyczaj wzywam prawnika.

Z poważaniem Angelina Fowl

Artemis wysłał wiadomość, pozwalając sobie na luksus lekkiego uśmiechu. Z przyjemnością ujrzałyby minę dyrektora Guineya, gdy ten przeczyta pocztę elektroniczną. Niestety, miniaturowa kamera, którą Artemis zainstalował w biurze pryncypała, transmitowała obraz na odległość zaledwie kilometra.

Butler otworzył drzwi od strony kierowcy i po chwili wśliznął się na siedzenie.

Artemis schował telefon do pokrowca.

–Kapitan Nieduża, jak mniemam. Może zechciałabyś przestać wibrować i przesłać na widzialne spektrum?

Migotliwe drobinki powoli ułożyły się w obraz Holly. W jej dłoni zaśnił karabin. Zgadnijcie, w kogo był wycelowany.

–Doprawdy, Holly, czy to konieczne?

–Cóż, zastanówmy się – parsknęła Holly. – Masz na sumieniu porwanie, naruszenie nietykalności cielesnej, wymuszenie, znowę w celu dokonania zabójstwa... Powiedziałabym, że konieczne.

–Kapitan Nieduża, bardzo proszę – rzekł Artemis z uśmiechem. – Byłem młody i samolubny. Możesz mi nie wierzyć, ale sam mam wątpliwości co do tamtego przedsięwzięcia.

–Jednak nie dość duże, by zwrócić nam złoto?

–Nie – przyznał Artemis. – Nie do tego stopnia.

–Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Artemis złożył dłonie pod brodą.

–Pomyślmy. Miałem kilka wskazówek. Po pierwsze, Butler nie sprawdził, czy pod samochodem nie ma bomby, a zazwyczaj tak robi. Po drugie, wrócił bez rzeczy, o które go prosiłem. Po trzecie, przez kilka sekund nie domykał drzwi, na co nie pozwoliłby sobie żaden dobry ochroniarz. A po czwarte, dostrzegłem lekką mgiełkę, gdy wsiadałaś do auta.

–Spostrzegawczy z ciebie Błotniaczek, nie ma co! – zadrwiła Holly.

–Staram się. A teraz, kapitan Nieduża, bądź łaskawa mi powiedzieć, czemu zawdzięczam twoją wizytę?

–Jakbyś nie wiedział! Artemis myślał przez chwilę.

–Ciekawe. Zgaduję, że coś się stało. Najwyraźniej coś, za co, twoim zdaniem, jestem odpowiedzialny. – Jego brew uniosła się o milimetr. Jak na Artemisa Fowla był to przejaw wielkiego wzburzenia. – Jacyś ludzie handlują z Małym Ludem.

–Imponująca domyślność – rzekła Holly. – Albo byłaby taka, gdybyśmy oboje nie wiedzieli, że to twoja sprawka. Jeżeli nie wydobędziemy z ciebie prawdy, z pewnością pliki w twoim komputerze wiele nam wyjaśnią.

Artemis stanowczo zatrzaskał pokrywę laptopa.

–Pani kapitan, zdaję sobie sprawę, że nie darzysz mnie sympatią, ale teraz nie mam czasu na zabawy. Muszę mieć kilka dni na załatwienie swoich spraw.

–Nic z tego, Fowl. Parę osób pod ziemią chciałoby z tobą pogadać.

Artemis wzruszył ramionami.

–Trudno. Po tym, co zrobiłem, pewnie nie mogę liczyć na żadne względy.

–Właśnie. Nie możesz.

–No cóż – westchnął chłopak. – Wygląda na to, że nie mam wyjścia.

–Tak jest, Fowl. Nie masz.

–Jedziemy? – ton Artemisa był potulny, lecz w jego głowie aż wrzało od pomysłów. Może współpraca z wrózkami to nie taka zła myśl? W końcu miały pewne możliwości...

–Czemu nie – odparła Holly i zwróciła się do Butlera: – *Jedź na południe. Trzymaj się bocznych dróg.*

–Zapewne do Tary. Zawsze się zastanawiałem, gdzie właściwie mieści się wylot

szybu El.

**–To zastanawiaj się dalej, Błotny Chłopaczku – mruknęła Holly. – A teraz zaśnij.
Wszystkie te twoje dedukcje bardzo mnie męczą.**

ROZDZIAŁ CZWARTY

Fowl gra fair

Cela nr 4.

areszt tymczasowy w Komendzie Policji.

Oaza City.

Niższa Kraina

Artemis przebudził się w pomieszczeniu przesłuchań SKR. Mogłoby znajdować się wszędzie na świecie – te same niewygodne meble i rutynowe procedury.

Bulwa natychmiast się na niego rzucił.

–Dobra, Fowl, zacznij gadać.

Artemis rozejrzał się. Naprzeciw, po drugiej stronie niskiego stolika z plastikowym blatem, siedzieli Holly i Bulwa. Żarówka o dużej mocy świeciła mu prosto w twarz.

–Doprawdy, komendancie, to wszystko? Spodziewałem się po was czegoś lepszego.

–Mamy coś lepszego. Ale nie dla przestępców takich jak ty.

Artemis zauważył, że jest przykuty do krzesła.

–Chyba nie gniewacie się już o zeszły rok? W końcu wygrałem. To powinno zakończyć nasze porachunki, przynajmniej tak mówi wasza Księga.

Bulwa pochylił się do przodu, aż koniuszek jego cygara znalazł się o kilka centymetrów od nosa Artemisa.

–Sprowadziliśmy cię tutaj w całkiem innej sprawie, Błotny Chłopaczku. Więc nie odgrywaj niewiniątka.

Artemis pozostał niewzruszony.

–Którym gliniarzem jesteś? Dobrym czy złym? Bulwa roześmiał się serdecznie, zakreślając w powietrzu ósemki końcem cygara.

–Dobry glina, zły glina? Przykro mi, Dorotko, ale nie jesteśmy już w Kansas – komendant uwielbiał cytować *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Troje jego krewnych

załapało się do obsady filmu.

Z cienia wynurzyła się jakaś postać. Miała ogon, cztery nogi, dwoje rąk i trzymała dwa przedmioty, które wyglądały jak zwyczajne przepychaczki do zlewu.

–Dobra, Błotniaczku, rozluźnij się, a może nie będzie bolało – przemówił centaur, po czym przyłożył przyssawki do oczu Artemisa, który natychmiast stracił przytomność. – Środek usypiający znajduje się w gumie – wyjaśnił. – Przenika przez pory skóry. Na ogół nie mają pojęcia, co się dzieje. A teraz spróbujcie powiedzieć, że nie jestem najmądrzejszym osobnikiem we wszechświecie.

–No, nie wiem – rzekł Bulwa z niewinną miną. – Ta mała chochliczka Koboï jest całkiem bystra.

Ogierek gniewnie tupnął kopytem.

–Koboï? Koboï? Te jej skrzydełka są wprost idiotyczne. Jeśli chcecie wiedzieć, ostatnio coś za często korzystamy z technologii Koboï. Niedobrze, kiedy jedna firma dostaje wszystkie zlecenia SKR.

–Chyba że jest to twoja firma, rzecz jasna.

–Mówię poważnie, Juliuszu. Znam Opal Koboï jeszcze z uniwersytetu. Jest niezrównoważona. Mikroprocesory Koboï znajdują się we wszystkich pistoletach neutrino. Gdyby jej laboratoria zawiodły, zostaną nam tylko armaty DNA w centrali i kilka skrzynek elektrycznej broni ogłuszającej.

–Koboï właśnie unowocześniła wszystkie nasze pistolety i pojazdy. Trzykrotnie więcej mocy, połowa emisji cieplnej. Lepsze wyniki niż ostatnio w waszym laboratorium, Ogierek – parsknął lekceważąco Bulwa.

Ogierek wpiął do komputera zestaw kabli światłowodowych.

–No cóż, gdyby Rada przyznała mi przyzwoity budżet...

–Ogierek, przestań jęczeć. Widziałem, ile dostałeś na tę maszynę. Lepiej, żeby potrafiła coś więcej poza przepychaniem rur.

Wielce zirytowany Ogierek machnął ogonem.

–To Retimager. Zastanawiam się, czy nie sprzedać go prywatnie.

–A cóż on właściwie robi?

Ogierek uruchomił ekran plazmowy na ścianie aresztu.

–Widzisz te ciemne koła? To siatkówki tego człowieka. Każdy obraz, jaki widział, zostawił na nich maleńki ślad, jakby negatyw fotografii. Możemy wprowadzić do komputera dowolny wizerunek i poszukać jego odpowiednika na siatkówce.

Ale Bulwa bynajmniej nie padł na kolana z wrażenia.

–No, no, bardzo przydatne.

Ogierek przywołał z bazy danych Retimagera obraz goblina.

–Każdy zgodny element to jedno trafienie. Norma to około dwustu trafień. Ogólny kształt głowy, zarys twarzy i temu podobne. Jeśli wynik przekroczy normę, będzie to oznaczało, że chłopak musiał już widzieć tego goblina.

Na ekranie rozbłysły cyfry 1-8-6.

–Goblin negatywnie. Spróbujemy z Softnose'em. Lecz liczba trafień znów była poniżej dwustu.

–Kolejny negatywny wynik. Przykro mi, pani kapitan, ale panicz Fowl jest niewinny. Nie ma co mówić o handlu z B'wa Kell, on nawet nie widział żadnego goblina na oczy!

–Mogli mu zrobić zatarcie pamięci.

–Na tym polega uroda tego cacka. – Ogierek zdjął przyssawki z oczu Artemisa. – Zatarcia nic nie dają. Retimager działa na podstawie konkretnych danych fizycznych. Musieliby wyszorować mu siatkówki.

–Znalazłeś coś w jego komputerze?

–Mnóstwo – odparł Ogierek. – Ale nic obciążającego. Żadnej wzmianki o goblinach ani bateriach.

–A ten duży? Może to on był pośrednikiem?

–Retimager już go sprawdził. Z zerowym skutkiem. Szkoda gadać, SKR zatrzymały niewłaściwych Błotnych Ludzi. Zatrzyjcie im pamięć i odeślijcie ich do domu.

Holly przytaknęła, ale komendant się zawahał.

–Czekajcie chwilę. Muszę pomyśleć.

–O czym? – zapytała Holly. – Im dalej Artemis Fowl będzie się znajdował od naszych spraw, tym lepiej.

–Ale może... Skoro już tu są... Holly opadła szczęka.

–Komendancie, pan nie wie, co mówi! Pan nie zna Fowla! Dajmy mu punkt zaczepienia, a sprawi nam więcej kłopotów niż wszystkie gobliny razem wzięte!

–Mógłby nam pomóc w sprawie handlu z Błotnymi Ludźmi.

–Stanowczo protestuję, komendancie. Ludziom nie można ufać.

Czerwień twarzy Bulwy rozjaśniłaby najczarniejsze ciemności.

–Kapitan Nieduża, sądzicie, że mnie się to podoba? Uważacie, że cieszy mnie perspektywa płaszczenia się przed tym Błotniakiem? Otóż nie! Wolałbym łykać żywe robaki niż prosić o pomoc Artemisa Fowla! Ale ktoś dostarcza energii do broni B'wa Kell i musimy się dowiedzieć, kto to taki! Więc do roboty, Holly! Gramy o większą stawkę niż twoja mała wendeta!

Holly ugryzła się w język. Po tym wszystkim, co komendant dla niej zrobił, nie mogła mu się sprzeciwić, ale proszenie o pomoc Artemisa Fowla nie było dobrym wyjściem w żadnej sytuacji. Ani przez chwilę nie wątpiła, że chłopiec znajdzie rozwiązanie ich problemu – tylko jakim kosztem?

Bulwa odetchnął głęboko.

–Dobra, Ogierek, ocućcie go. I dajcie mu translator. Mówienie po błotniacku przyprawia mnie o ból głowy.

Artemis potarł opuchniętą skórę pod oczami.

–Środek usypiający w ssawkach? – zapytał, zerkając na Ogierka. – Mikroigły?

Centaur nie krył uznania.

–Bystry jesteś jak na Błotniaka.

Artemis dotknął półokrągłej wypukłości nad uchem.

–Translator?

Ogierek zerknął na komendanta.

–Od mówienia językami niektórych boli głowa.

–Rozumiem. – Artemis poprawił szkolny krawat. – A więc, w czym mogę państwu pomóc?

–Skąd ta myśl, że potrzebujemy twojej pomocy, człowieku? – burknął Bulwa, żując niedopałek cygara.

Chłopiec uśmiechnął się cierpko.

–Komendancie, podejrzewam, że gdybyście mnie nie potrzebowali, właśnie dochodziłbym do przytomności we własnym łóżku, w ogóle nie pamiętając o naszym spotkaniu.

Ogierek zakrył ręką uśmiechniętą twarz.

–Masz szczęście, że nie obudziłeś się w celi – mruknęła Holly.

–Wciąż czuje pani gorycz, pani kapitan? Nie możemy zacząć wszystkiego od nowa?

Za odpowiedź wystarczyło Artemisowi wściekłe spojrzenie Holly.

–No, trudno – westchnął. – Niech zgadnę. Jacyś ludzie handlują z Niższą Krainą. I potrzebny wam Butler, żeby wyśledzić tych handlarzy. Dobrze mówię?

–Mniej więcej – przyznał Bulwa. – Okej, Ogierek, wprowadź Błotniaka w sprawę.

Centaur załadował plik z centralnego serwera SKR. Na plazmowym ekranie rozbłysły kolejne doniesienia *Network News*, prezentowane przez podstarzałego elfa z plerezą wielkości fali oceanicznej pod Honolulu.

„Doniesienie z centrum Oazy – zagruchał reporter. – SKR przechwyciły transport przemycanych z Hollywood płyt optycznych wartości około pięciuset gramów złota. Policja podejrzewa, iż przestępstwa dokonała triada goblinów B’wa Kell”.

–Będzie gorzej – rzekł ponuro Bulwa.

–Gorzej? – uśmiechnął się Artemis.

Reporter znów pojawił się na ekranie, tym razem na tle płomieni buchających z okien stojącego z tyłu budynku. Jego plereza wyglądała na trochę osmaloną.

„Dziś B’wa Kell podpaliły hurtownię należącą do Laboratoriów Kobi, pokazując w ten sposób, kto rządzi na Wschodnim Brzegu. Podobno chochliczka o złotym dotyku odmówiła zapłacenia im haraczu”.

Zamiast płomieni na ekranie ukazał się rozwścieczony tłum.

„Dziś przed Komendą Policji miał miejsce burzliwy wiec ludności protestującej przeciwko nieskuteczności sił porządkowych w walce z gobliniskim zagrożeniem. Przystępcze działania B’wa Kell zmusiły wiele prastarych domów kupieckich do

wycofania się z interesów. Największe straty poniosły Laboratoria Kobi, które tylko w ostatnim miesiącu sześciokrotnie ucierpiały wskutek aktów sabotażu”.

Ogierek zatrzymał film. Tłum nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

–Musisz zrozumieć jedno, Fowl. Gobliny są tępe. Nie chcę ich przez to obrazić. Po prostu stwierdzam fakt, dowiedziony naukowo. Ich mózgi są nie większe od szczurzych.

Artemis pokiwał głową.

–Więc kto ich organizuje?

–Nie wiemy. – Bulwa rozdeptał cygaro. – Ale robi się coraz gorzej. B’wa Kell przeszli od drobnej przestępczości do otwartej wojny z policją. Wczoraj wieczorem przejęliśmy dostawę baterii z powierzchni – baterii, które stanowią źródło zasilania zakazanych miotaczy laserowych Softnose.

–I kapitan Nieduża uznała, że ze strony Błotnych Ludzi to ja kręcę tym interesem?

–Dziwisz się? – mruknęła Holly.

Artemis zignorował zaczepkę.

–A skąd wiecie, że gobliny po prostu nie obrabiają ludzkich hurtowni? W końcu składy baterii rzadko kiedy są pilnie strzeżone.

–Zrozum – zaśmiał się Ogierek. – Gobliny naprawdę są głupie. Dam ci przykład. Jeden z generałów B’wa Kell, osobnik z samej góry, został przyłapany, gdy podpisywał się własnym nazwiskiem na podrabianych czekach kredytowych. Nie, ktokolwiek za tym stoi, musi mieć wśród ludzi kogoś, kto pilnuje transakcji.

–I chcielibyście, żebym się dowiedział, kim jest ten człowiek – powiedział Artemis. – A co ważniejsze, ile on wie.

Mówiąc te słowa, ledwie panował nad podnieceniem. Mógł obrócić tę sytuację na swoją korzyść, wykorzystać moc Małego Ludu, która w negocjacjach z gangsterami byłaby bardzo przydatna. W jego mózgu zaczął się lęgnąć zarys planu.

Bulwa niechętnie przytaknął.

–Tak jest. Nie mogę zaryzykować wysłania na górę moich agentów. Kto wie, jakie technologie przehandlowały gobliny. Moi funkcjonariusze trafiliby prosto w pułapkę. A wy, jako ludzie, po prostu wtopicie się w tło.

–Butler się wtopi? – uśmiechnął się Artemis. – Szczerze wątpię.

–Przynajmniej nie ma czterech nóg i ogona – zauważył Ogierek.

–Rzeczywiście. Poza tym, nie ulega wątpliwości, że jeśli ktokolwiek potrafi wysledzić waszego handlarza, to tym kimś z pewnością jest Butler. Ale...

Zaczyna się – pomyślała Holly – Artemis Fowl nie robi nic za darmo.

–Ale? – odpowiedział Bulwa.

–Ale jeśli mam wam pomóc, muszę dostać coś w zamian.

–Co mianowicie? – zapytał Bulwa nieufnie.

–Transport do Rosji – odparł Artemis. – Konkretnie, za krąg polarny. I pomoc w odbiciu zakładnika.

–Północna Rosja to fatalne miejsce – zmarszczył brew Bulwa. – Z powodu promieniowania nasze tarcze tam nie działają.

–To są moje warunki – rzekł Artemis. – Człowiek, którego zamierzam uratować, to mój ojciec. Właściwie już może być za późno. Naprawdę nie mam czasu na negocjacje.

Błotny Chłopiec wydawał się mówić szczerze. Nawet serce Holly na chwilę zmiękło. Ale z Artemisem nigdy nic nie wiadomo – może właśnie knuł coś podstępnie? Wreszcie Bulwa podjął mężną decyzję.

–Stoi – powiedział, wyciągając rękę.

Elf i człowiek uścisnęli sobie dłonie. Zaiste, była to historyczna chwila.

–Dobrze – odetchnął komendant. – Ogierek, obudźcie tego dużego i zróbcie szybki przegląd wahadłowca goblinów.

–A co ze mną? – zapytała Holly. – Z powrotem na służbę wartowniczą?

Gdyby Bulwa nie był komendantem, z pewnością zarechotałby z uciechy.

–O nie, pani kapitan. Jesteście najlepszym pilotem, jakiego mamy. Jedziecie do Paryża.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Córeczka tatusia

Laboratoria Koboi, Wschodni Brzeg, Oaza City

Laboratoria Koboi zostały wyciosane w skale na Wschodnim Brzegu Oaza City. Wysokie na osiem pięter, ze wszystkich stron otoczone kilometrową warstwą granitu, były dostępne tylko od frontu. Ostatnio kierownictwo jeszcze zwiększyło środki bezpieczeństwa – i któż mógł mieć im to za złe? Wszystko wskazywało na to, że firma Koboi stała się głównym celem podpalaczy B'wa Kell. Rada posunęła się wręcz do tego, że udzieliła jej zezwolenia na broń specjalną – gdyby padły Laboratoria Koboi, cały system obronny Oaza City padłby razem z nimi.

Każdy goblin B'wa Kell, usiłujący szturmem wziąć siedzibę Koboi, znalazłby się pod ostrzałem armat ogłuszających, sterowanych kodem DNA, które potrafiły rozpoznać genotyp intruza, zanim doń wypaliły.

W budynku nie było żadnych martwych pól ani dogodnych kryjówek. System działał niezawodnie.

Ale gobliny nie musiały się martwić. To nie z ich powodu wzmocniono zabezpieczenia laboratorium. Chodziło o to, by nie dopuścić doń wężących w niewłaściwym momencie funkcjonariuszy SKR – albowiem to Opal Koboi finansowała gobliniską triadę! Ataki na firmę zostały pomyślane jako zasłona dymna, mająca odwrócić podejrzenia od jej machinacji. To maleńka chochliczka, między innymi, była odpowiedzialna za przemyt baterii i zwiększoną aktywność B'wa Kell. Dlaczego jednak osoba o niemalże nieograniczonym bogactwie zadawała się z gangiem tunelowych goblinów?

Właściwie po Opal nigdy nie spodziewano się wiele. Jej rodzice, zamożne chochliki ze Wzgórza Pryncypialności, byliby całkiem zadowoleni, gdyby zwyczajnie skończyła prywatną szkołę, uzyskała jakieś humanistyczne magisterium i wyszła za odpowiedniego wiceprezesa.

W gruncie rzeczy, zdaniem jej ojca, Feralla Koboi, wymarzona córka powinna być umiarkowanie inteligentna, dość ładna i oczywiście posłuszna. Ale Opal nie miała żadnej z wymienionych cech. Przeciwnie, w wieku dziesięciu miesięcy umiała już samodzielnie chodzić, zanim skończyła półtora roku, opanowała ponad pięćset słów, a przed swymi drugimi urodzinami rozebrała pierwszy twardy dysk.

Wyrosła na istotę przemądrzałą, upartą i piękną – niebezpieczna kombinacja. Ileż to razy Ferall odbywał z nią poważne rozmowy, nalegając, by zostawiła interesy

chochlikom płci męskiej. Stracił już rachubę, zresztą Opal w końcu odmówiła dalszych spotkań. Jej otwarta wrogość bardzo go martwiła.

Słusznie się martwił. Wstąpiwszy na wyższą uczelnię, jego córka przede wszystkim zrezygnowała z historii sztuki na rzecz zdominowanego przez mężczyzn Bractwa Inżynierów. Ledwie otrzymała upragniony certyfikat, a już założyła pracownię, jawnie konkurującą z interesem ojca. W ślad za tym poszły liczne patenty – na energooszczędny tłumik silnikowy, na trójwymiarowy system rozrywkowy, a zwłaszcza na skrzydła DoubleDex, które stały się specjalnością Opal.

Doprowadziwszy ojcowskie przedsiębiorstwo do ruiny, Opal nabyła w nim udziały po śmiesznie niskich cenach, po czym dokonała fuzji obu zakładów, tworząc firmę pod nazwą Laboratoria Kobi. W ciągu pięciu lat Laboratoria zawarły więcej kontraktów zbrojeniowych niż jakakolwiek inna firma, a po latach dziesięciu Opal Kobi miała więcej patentów na różne urządzenia niż jakikolwiek inny mieszkaniec podziemi. Oczywiście, z wyjątkiem centaury Ogierka.

Ale nienasycona Opal Kobi marzyła o władzy, jakiej nie posiadała żadna wróżka od czasów monarchii. Na szczęście знаła kogoś, kto mógł jej pomóc w spełnieniu owych ambicji – rozgoryczonego niepowodzeniem oficera SKR, kolegę z czasów szkolnych. Niejakiego Wrzośca Pałkę...

Wrzosiec miał wiele powodów, by nie znosić SKR. Przede wszystkim, dowództwo Sił dopuściło, by publiczne upokorzenie, jakiego doznał z ręki Juliusza Bulwy, pozostało niepomszczone. I jakby tego nie było dość, po katastrofalnej wpadce w sprawie Artemisa Fowla pozbawiono go komendanckich żołędzi...

Zaprosiwszy Pałkę na obiad w jednej z ekskluzywniejszych restauracji Oazy, Opal z łatwością wlała serum prawdy do jego drinka, i ku swej uciechu odkryła, że w rozkosznie pokrętnym umyśle ekspolicjanta powstał już plan obalenia SKR, bardzo zresztą zmyślny. Pałka potrzebował jedynie współnika, kogoś dysponującego dużą ilością złota i bezpiecznym lokalem. Opal z radością zapewniła mu jedno i drugie.

Kiedy Pałka wpadł do laboratoriów, Opal, zwinięta w latającym fotelu niczym kot, podglądała wydarzenia w Komendzie Policji. Przy okazji modernizacji urządzeń policyjnych jej inżynierowie umieścili w Centrali sieć kamer szpiegowskich, nadających na tej samej częstotliwości co własne kamery Sił Krasnoludzkich. Instalacja ta, zasilana przez wycieki ciepła ze światłowodów, była całkowicie niewykrywalna.

–No? – zapytał Pałka, jak zwykle obcesowo.

Kobi nawet nie raczyła się odwrócić. Wiedziała, że jej gościem jest Wrzosiec; tylko on miał wszczepiony w knykięć mikroprocesor, dający mu dostęp do jej prywatnego

gabinetu.

–Straciliśmy ostatni transport baterii – odparła. – Rutynowa kontrola SKR. Co robić, pech.

–D’Arvit! – zaklął Pałka. – Ale trudno, jakoś to przeboleję. Zapasy w magazynach wystarczą aż nadto. W SKR pewnie uważają, że to tylko zwykłe baterie.

Opal westchnęła głęboko.

–Niestety, gobliny miały broń...

–O nie! Nie mów...

–Softnose’y.

Pałka walnął pięścią w stół.

–Kretyni! Tyle razy ich ostrzegałem, żeby nie używali tych miotaczy. Teraz Juliusz się domyśli, że coś się kroi.

–Może i tak – rzekła Opal pojednawczo. – Ale nie zdoła nas powstrzymać. Jest bezsilny. Zanim się zorientują, o co chodzi, będzie już po wszystkim.

Pałka nie uśmiechnął się. Uśmiech nie gościł na jego twarzy już od roku, przeciwnie, minę miał coraz kwaśniejszą.

–Dobrze. Niedługo przyjdzie kolej na mnie. A może... – zamyślił się – a może powinniśmy byli sami produkować te baterie?

–Nie. Budowa fabryki opóźniłaby akcję o dwa lata, a przecież nie ma gwarancji, że Ogierek by jej nie wykrył. Nie mieliśmy wyjścia.

Opal odwróciła się wreszcie i spojrzała na współnika.

–Wyglądasz okropnie! Używasz tej maści, którą ci dałam?

Pałka delikatnie potarł czołko, upstrzone paskudnymi pęcherzami.

–Niestety. Twoja maść zawiera kortyzon, na który jestem uczulony.

Schorzenie Pałki istotnie było niezwykle, być może nawet wyjątkowe. Podczas oblężenia dworu Fowlów w zeszłym roku został usypiony przez komendanta Bulwę. Traf chciał, że użyty środek usypiający wszedł w reakcję z jakąś zakazaną substancją, pobudzającą procesy mózgowe, którą Pałka zażył na próbę. Jego czoło zaczęło przypominać stopioną smołę, doskwierała mu także powieka. Brzydki i

zdegradowany – fatalna kombinacja.

–Powinieneś dać sobie przekłuć te bąble. Twój wygląd jest trudny do zniesienia.

Czasem Opal Kobi zapominała, z kim ma do czynienia. Wrzosiec Pałka nie był zwykłym biurowym popychadłem. Teraz wyciągnął wykonany na zamówienie miotacz Redboy i spokojnie władował dwie serie w poduszkę fotela. Mebel zawirował po pstrokatych kafelkach i zatrzymał się, rzucając Opal na stos twardych dysków.

Upokorzony policjant chwycił chochliczkę pod spiczasty podbródek.

–Lepiej się przyzwyczajaj do tego widoku, kochanie. Wkrótce moja twarz pojawi się na wszystkich ekranach pod powierzchnią planety, a może również i ponad nią.

Wróżka zacisnęła małą piąstkę. Nie zwykła tolerować niesubordynacji, nie mówiąc już o przemocy bezpośredniej. Powstrzymał ją jedynie błysk szaleństwa, widoczny w oczach Pałki. Najwyraźniej narkotyk kosztował go nie tylko zdrowie i urodę, ale także jasność umysłu.

Nagle Pałka znów stał się sobą i jakby nigdy nic, uprzejmię pomógł jej wstać z podłogi.

–A teraz, moja droga, raport sytuacyjny. B’wa Kell są żądni krwi.

Opal wygładziła kombinezon.

–Kapitan Nieduża eskortuje człowieka Artemisa Fowla do E37 – powiedziała.

–Fowl tutaj? – zdumiał się Pałka. – Oczywiście! Powiniennem być zgadnąć, że będą go podejrzewać! Świetnie się składa! Nasz ludzki niewolnik Luc Carrere się nim zajmie. Zamesmeryzowałem go. Na szczęście wciąż jeszcze posiadam tę umiejętność.

Kobi pociągnęła usta krwistoczerwoną szminką.

–Jeśli dopadną Carrere’a, będą kłopoty.

–Nie martw się – uspokoił ją Pałka. – Tyle razy poddawałem go mesmeryzacji, że jego umysł jest czystszy niż wytarty dysk. Nie mógłby nic powiedzieć, nawet gdyby chciał. Zresztą, kiedy już wykona dla nas brudną robotę, francuska policja z chęcią zamknie go w wyściełanej celi.

Opal zachichotała. Jak na kogoś, kto nigdy się nie uśmiechał, Pałka miał rozkoszne poczucie humoru.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Fotookazja

Szyb E37, Oaza City

Nieoczekiwani sojusznicy polecili do Paryża promem goblinów. Holly nie była zachwycona – po pierwsze, kazano jej współpracować z Artemisem Fowlem, wrogiem publicznym numer jeden, po drugie, gobliniński pojazd trzymał się kupy na słowo honoru.

–Hej, Ogierek? Słyszysz mnie? – zawołała, włożywszy zestaw komunikacyjny na spiczaste ucho.

–Jestem, pani kapitan.

–Powtórz mi jeszcze raz, z łaski swojej, czemu muszę lecieć tym starym tłukiem.

Piloci SKRZAT określali podejrzane promy mianem tłuków z powodu ich przerażającej skłonności do obijania się o ściany szybu.

–Lecisz tym starym tłukiem, pani kapitan, gdyż gobliny zbudowały go na terenie lądowiska, którego wszystkie oryginalne rampy zostały rozebrane wieki temu. Dostarczenie nowego statku zajęłoby kilka dni. Niestety więc musisz się zadowolić tym, co jest.

Holly zanurzyła się w otulającym ciele fotelu. Dźwignie silników odrzutowych niemal same weszły jej w ręce. Na chwilę odzyskała dobry humor – wszak była pilotem, najlepszym na roku w Akademii. W ocenie końcowej dowódca dywizjonu Vinyaya napisała: „Kadet Nieduża potrafiłaby przeprowadzić kapsułę promu przez szparę między zębami”. Komplement nie był całkiem niewinny – podczas pierwszego lotu Holly utraciła kontrolę nad statkiem i z trudem wylądowała awaryjnie dwa metry przed nosem Vinyai.

Zatem przez pięć sekund Holly była szczęśliwa. A potem przypomniała sobie, kim są jej pasażerowie.

–Zastanawiam się – zagaił Artemis, wsuwając się w fotel drugiego pilota – czy mogłabyś mi powiedzieć, jak daleko od Murmańska znajduje się wasz terminal w Rosji?

–Cywile, odsunąć się za żółtą linię – warknęła Holly pod nosem, ignorując pytanie.

Jednak Artemis nie ustępował.

–To dla mnie ważne. Usiłuję wymyślić plan ratunkowy.

Holly uśmiechnęła się krzywo.

–Sytuacja jest tak pełna ironii, że mogłabym napisać o tym wiersz. Porywacz prosi o pomoc w sprawie porwania!

Artemis potarł skronie.

–Holly, jestem przestępcą. To mi wychodzi najlepiej. Kiedy cię uprowadziłem, myślałem jedynie o okupie. Ani przez chwilę nie zamierzałem narazić cię na niebezpieczeństwo.

–Ach, tak? – zdziwiła się uprzejmie Holly. – Oczywiście, nie licząc biobomb i trolli?

–Istotnie – zgodził się Artemis. – Czasem plany sporządzone na papierze nie dają się gładko przełożyć na rzeczywistość. – Chłopiec zawahał się, szukając pod wypielęgnowanymi paznokciami nieistniejącego brudu. – Dorosłem, pani kapitan. Chodzi o życie mojego ojca. Muszę zdobyć jak najwięcej informacji, zanim stawię czoło mafii.

Holly trochę złagodniała. W końcu niełatwo wychowywać się bez ojca. Coś o tym wiedziała – jej własny ojciec odszedł, gdy miała zaledwie sześćdziesiąt lat. Ponad dwadzieścia lat temu.

–No, dobrze, Błotny Chłopczyku, słuchaj uważnie. Nie będę powtarzać dwa razy.

Artemis wyprostował się, nawet Butler wetknął głowę do kokpitu. Zawsze umiał wywęszyć wojenną historię.

–W miarę jak rozwijała się ludzka technologia, w ciągu ostatnich dwustu lat SKR zostały zmuszone do zamknięcia ponad sześćdziesięciu terminali. Z północnej Rosji wycofaliśmy się w latach sześćdziesiątych – cały Półwysep Kolski to teren katastrofy jądrowej, a nasz Lud nie ma odporności na promieniowanie. Prawdę mówiąc, tam akurat niewiele musieliśmy zamykać, zaledwie jeden terminal trzeciej kategorii i kilka projektorów osłonowych. Nasz Lud niezbyt lubi Arktykę, trochę w niej za mroźno, toteż wszyscy z radością się wynieśli. A więc, odpowiadając na twoje pytanie, informuję, że mamy jedynie terminal bezzałogowy, położony około dwudziestu klików od Murmańska i praktycznie pozbawiony urządzeń naziemnych...

Dobiegający z głośnika głos Ogierka przerwał rozmowę, która stawała się niebezpiecznie salonowa.

–Okej, pani kapitan! Masz wolną drogę do tunelu startowego. Po ostatniej flarze zostało tam trochę spalenizny, więc leć ostrożnie.

Holly przyciągnęła mikrofon do ust.

–Ogierek, odbiór. Przygotujcie kombinezony przeciwpromienne na nasz powrót. Musimy się śpieszyć.

–Tylko uważaj z odrzutem – zachichotał centaur. – Artemis leci szybem właściwie pierwszy raz, bo po drodze w tę stronę on i Butler byli zmesmeryzowani. Nie chcielibyśmy, żeby się przestraszył.

Holly dodała gazu mocniej, niż to było konieczne.

–Co to, to nie – zachichotała. – W żadnym razie nie wolno nam go przestraszyć.

W tej sytuacji Artemis postanowił zapiąć uprząż. Doskonały pomysł, jak się okazało.

Kapitan Nieduża rozpędziła prowizoryczny prom po magnetycznej szynie, wiodącej do szybu. Stateczniki drżały, śląc wzdłuż kadłuba kaskady iskier. Trzeba zmienić ustawienie wewnętrznego żyroskopu, pomyślała Holly, bo inaczej Błotni Ludzie zwymiotują do kabiny.

Jej kciuki zawisły nad przyciskami turbodoładowania.

–Dobra. Zobaczymy, na co stać tę balię.

–Nie próbuj bić żadnych rekordów – ostrzegł Ogierek z głośnika. – Ten statek nie został zbudowany do wielkich szybkości. Widywałem już krasnale o bardziej aerodynamicznych kształtach.

Holly stęknęła. Czy latanie powoli ma jakiś sens? Żadnego. A skoro przy okazji paru Błotniaków się przerazi, tym lepiej.

Dotarli do wylotu tunelu startowego. Przed nimi rozpościerał się szymb. Artemisowi z wrażenia zaparło dech. Widok był zaiste porażający – Mount Everest wrzucony do tej dziury nawet nie otarłby się o ściany. Ciemnoczerwone światło z głębi ziemi pulsowało na ścianach niczym odbłask ogni piekielnych, a nieustające trzaski pękających skał odbijały się od poszycia kapsuły jak fizyczne ciosy.

Holly uruchomiła wszystkie cztery silniki i statek pokoziołkował w głąb otchłani. Wszelkie troski znikły niczym mgiełki snujące się po kokpicie. To była kwestia ambicji – im niżej pilotowi udało się opaść, nie wychodząc z lotu nurkowego, za tym większego chojraka uchodził. Nawet śmierć, jaką poniósł w płomieniach funkcjonariusz Odzysku SKR Bom Armurek, nie zniechęciła pozostałych pilotów do zabawy w nurkowanie do jądra. Ostatni rekord należał do Holly – zbliżyła się do płynnej powierzchni plazmy na odległość pięciuset metrów. Niestety, wyczyn ten kosztował ją dwa miesiące zawieszenia w obowiązkach oraz sporą grzywnę.

Ale nie dzisiaj. W tym tłuku nie pobije żadnego rekordu. Z napiętymi od przeciążenia policzkami Holly pociągnęła ku sobie drążki sterownicze i wyprowadziła dziób do pionu. Niemalą przyjemność sprawiło jej wyraźne westchnienie ulgi, jakie wydobyło się z ust obu ludzi.

–Dobra, Ogierek, lecimy. Jaka sytuacja na górze? Wyraźnie usłyszała stukanie klawiatury.

–Przykro mi, Holly, ale nie mam połączenia z urządzeniami zewnętrznymi. Zbyt duże promieniowanie po ostatniej flarze. Jesteś zdana na siebie.

Holly zerknęła na dwóch bladych Błotniaków w kabinie.

Zdana na siebie, pomyślała. Żeby tylko.

Paryż

Skoro więc człowiekiem, który pomagał Pałce uzbroić B'wa Kell, nie był Artemis, to kto? Jakiś tyran lub dyktator? A może niezadowolony generał, mający nieograniczony dostęp do baterii? Jak by to powiedzieć... nie. Niezupełnie.

Za sprzedaż baterii B'wa Kell odpowiadał niejaki Luc Carrere. Zupełnie na to nie wyglądał – tak naprawdę nawet o tym nie wiedział. Luc był drobnym francuskim detektywem prywatnym, powszechnie znanym z nieskuteczności. W kręgach zawodowców uważano wręcz, że nie umiałby wyśledzić piłeczki golfowej w beczce sera mozzarella.

Pałka postanowił wykorzystać Luca z trzech powodów. Po pierwsze, z kartotek Ogierka wynikało, że Carrere cieszy się opinią kombinatora, który pomimo skłonności do partactwa nieomylnie znajduje to, co klient chce kupić. Po drugie, Luc odznaczał się chciwością i nigdy nie umiał się oprzeć pokusie łatwego zarobku. Po trzecie zaś, był głupi, a każda wróżka wie, że słaby rozum łatwiej poddaje się mesmeryzacji.

Odnalazłszy akta Carrere'a w bazie danych Ogierka, Pałka niemal się uśmiechnął. Oczywiście, wolałby nie mieć w łańcuchu zbrodni ludzkiego ogniwa. Ale łańcuch składający się tylko z goblinów to łańcuch kretynów.

Nawiązanie kontaktu z Błotnym Człowiekiem nie przyszło Pałce lekko. Wrzosiec, choć niezrównoważony, doskonale pojmował, że jeśli ludzie zwęszą nowe rynki pod powierzchnią Ziemi, ruszą na podbój jej jądra niczym rój czerwonych mięsożernych mrówek. A Pałka nie był jeszcze gotów stawić im czoła – jeszcze nie teraz. Mógł się z nimi zmierzyć, tylko mając za sobą całą potęgę SKR.

A więc na razie Pałka wysłał Lucowi Carrere'owi małą paczuszkę. Bezpieczną, gobliniską ekstrapocztą...

Pewnego lipcowego wieczora Luc Carrere wszedł znużony do swego biura i zobaczył na stole niewielki pakunek. Nic szczególnego – po prostu przesyłka z firmy kurierskiej. Albo coś, co bardzo ją przypominało.

Rozciął taśmę. W pudełku, na wyściółce ze zwiniętych stufrankowych banknotów, leżało małe płaskie urządzenie, podobne do odtwarzacza CD, lecz wykonane z dziwnego, czarnego metalu, który wydawał się pochłaniać światło. Luc omal nie krzyknął do recepcji, by sekretarka nie łączyła żadnych rozmów. Nie miał jednak recepcji i nie miał sekretarki. Toteż po prostu jął wpychać pieniądze za wytłuszczoną koszulę, jakby miały za chwilę zniknąć.

Nagle urządzenie otworzyło się z trzaskiem niczym mały, odslaniając mikroekran i

głośniki. Na monitorze ukazało się mroczne oblicze i choć Luc dostrzegł jedynie parę zaczerwienionych oczu, sam ich widok sprawił, że przeszył go dreszcz.

Dziwne, ale gdy twarz przemówiła, Luc pozbył się lęków gładko jak wąż zrzucający starą skórę. Czegóż miał się bać? Ta istota najwyraźniej zaliczała się do jego oddanych przyjaciół. Cóż za cudowny głos, jakby jednoosobowy chór anielski.

–Luc Carrere?

Luc niemal rozplakał się ze wzruszenia. Czysta poezja.

–Oui. To ja.

–Bonsoir. Widzisz pieniądze, Luc? To wszystko twoje.

Sto kilometrów poniżej Pałka niemal się uśmiechnął. Poszło łatwiej, niż przypuszczał. Obawiał się, że niewielkie resztki mocy, jakie zachował w mózgu, nie wystarczą, by zamesmeryzować człowieka. Ale ten konkretny Błotniak najwyraźniej miał siłę woli głodnego wieprza, stojącego przed korytem pełnym otrąb.

Luc porwał garść banknotów.

–Te pieniądze są dla mnie? Co mam za to zrobić?

–Nic. To twoje pieniądze. Rób z nimi, co chcesz. Nawet Luc Carrere wiedział, że nie ma nic takiego, jak pieniądze za darmo, ale ten głos... Głos w głośnikach brzmiał jak prawda objawiona.

–Będzie tego więcej. Dużo więcej.

Luc przerwał bieżącą czynność, czyli całowanie banknotu tysiącfrankowego.

–Więcej? Ile?

Oczy na ekranie rozgorzały szkarłatem.

–Ile zapragniesz. Lecz jeśli chcesz je dostać, musisz wyświadczyć mi przysługę.

Luc błyskawicznie złapał się na haczyk.

–Jasne. Jaką przysługę?

Głos wydobywający się z urządzenia był czysty jak woda źródłana.

–To proste i nie ma w tym nic nielegalnego. Potrzebuję baterii, Luc. Tysiący baterii. Być może milionów. Jak sądzisz, potrafisz je dla mnie zdobyć?

Luc zastanawiał się przez mniej więcej dwie sekundy. Banknoty łaskotały go w podbródek. Tak się składało, że miał nad rzeką znajomego, który wysyłał na Bliski Wschód mnóstwo elektroniki, w tym i baterii. Detektyw był pewien, że potrafi sprawić, by niektóre transporty zboczyły z trasy.

–Baterie. *Oui, certainement. Załatwione.*

Trwało to przez kilka miesięcy. Interes rozwijał się świetnie – Luc Carrere zabierał znajomemu wszystkie ogniwa elektryczne, jakich udało mu się dopaść, pakował je do skrzynek, składował w swoim mieszkaniu, a rano na ich miejscu leżał stosik nowych banknotów. Oczywiście, franki były fałszywe, prosto z drukarki Koboï, lecz Luc nie dostrzegał różnicy. Ale też, prawdę mówiąc, nie dostrzegłby jej nikt poza mennicą państwową.

Od czasu do czasu głos z ekranu zgłaszał specjalne zapotrzebowanie, na przykład na kombinezony ognioodporne. Luc tak się wprawił, że umiał załatwić wszystko jednym telefonem. Po sześciu miesiącach przeniósł się z jednopokojowej pracowni do luksusowego apartamentu na poddaszu w St. Germain. Rzecz jasna, Interpol i Suret podjęły przeciwko niemu niezależne śledztwa, ale on o tym nie wiedział. Wiedział jedynie, że po raz pierwszy w swoim marnym życiu naprawdę jest na fali.

Pewnego ranka na marmurowym blacie nowo nabytego biurka zastał paczkę większą, jakby masywniejszą niż zazwyczaj. Nie zmartwił się – pewnie zawierała jeszcze więcej pieniędzy.

Pod pokrywą ukazała się aluminiowa kasetka i drugi komunikator. Oczy już na niego czekały.

–*Bonjour, Luc. Ca va?*

–*Bien* - odparł Luc, zmesmeryzowany od pierwszej sylaby.

–*Dziś mam dla ciebie zadanie specjalne. Jeśli ci się uda, już nigdy więcej nie będziesz musiał martwić się o pieniądze. Sprzęt jest w kasecie.*

–Co to? – zapytał nerwowo detektyw. Urządzenie wyglądem przypominało broń, a moc oddziaływania Pałki nie była dostatecznie duża, by stłumić naturę paryżanina, nawet z pomocą mesmeryzacji. Być może Luc uchodził za krętacza, ale nie był zabójcą.

–*To po prostu specjalny aparat fotograficzny. Robi zdjęcie, kiedy się pociągnie za ten kawałek, który wygląda jak spust* – wyjaśnił Pałka.

–Och... – rzekł Carrere niepewnie.

–Odwiedzi cię kilku moich przyjaciół. Chciałbym, żebyś ich sfotografował. To taka nasza zabawa.

–A po czym ich poznam? – zapytał Luc. – Wielu ludzi mnie odwiedza.

–Zapytają o baterie. Wtedy zrobisz im zdjęcie.

–Dobra. Świetnie.

I rzeczywiście, Luc poczuł się świetnie. Głos nigdy nie kazałby mu zrobić nic złego. Głos był jego przyjacielem.

Port promowy EHolly przeprowadziła tłuka przez końcowy odcinek szybu. Czujnik zbliżeniowy umieszczony na dziobie statku uruchomił światła lądowiska.

–Hmm – mruknęła elficzka.

Artemis, mrużąc oczy, wyjrzał przez kwarcową szybę.

–Jakiś problem?

–Nie. Tyle że te światła nie powinny działać. Energia w tym terminalu została odcięta przeszło sto lat temu.

–Nasi przyjaciele gobliny, jak sądzę.

–Wątpię – zmarszczyła brew Holly. – Nawet do wkręcenia świetlówki potrzeba sześciu goblinów. A zrobienie instalacji w porcie lotniczym wymaga prawdziwej wiedzy. Elfickiej wiedzy.

–Intryga się zagęszcza – rzekł Artemis. Gdyby miał brodę, byłby ją pogładził. – Węszę zdradę. Zastanówmy się, kto może mieć dostęp do waszej technologii i motyw, by ją sprzedać?

Holly skierowała kapsułę ku ssawkom dokującym.

–Wkrótce się dowiemy. Tylko znajdź mi żywego handlarza, a mesmeryzacją wszystko z niego wyciągnę.

Prom znieruchomiał w doku. Rozległ się syk powietrza – to gumowa osłona stanowiska zaciskała się szczelnie wokół pancerza statku.

Butler, żądny akcji, wyskoczył z fotela, zanim zgasło światelko przy pasie bezpieczeństwa.

–Tylko nikogo nie zabij – ostrzegła Holly. – SKR nie lubią działać w ten sposób. A

poza tym, martwi Błotni Ludzie nie powiedzą nam nic o swoich kolegach. No, dobra – rzekła, wywołując na ściennym ekranie plan starego Paryża. – Jesteśmy tutaj, pod mostem, dwieście metrów od Notre-Dame. Mam na myśli katedrę, nie amerykańską drużynę futbolową. Lądowisko jest zamaskowane jako wspornik mostu. Stójcie przy wyjściu i czekajcie, aż dam wam zielone światło. Musimy zachować ostrożność – tego jeszcze brakowało, by jakiś paryżanin zobaczył, jak wynurzacie się z kamiennej ściany!

–Nie dotrzymasz nam towarzystwa? – zdziwił się Artemis.

–Mam rozkazy – rzekła Holly z niesmakiem.

–Podobno to może być pułapka. Kto wie, jakie żelastwo wycelowano w ten mur? Macie szczęście, że was nikt nie bierze pod uwagę. Po prostu irlandzcy turyści na wakacjach, doskonale tu pasujecie.

–Rzeczywiście, mamy szczęście. Jakież wskazówki? Holly wsunęła dysk do konsoli.

–Ogierek podłączył zatrzymanego goblina do Retimagera. Zdaje się, że nasz aresztant widział już tego człowieka.

Na ekranie rozbłysło policyjne zdjęcie.

–Ogierek znalazł je w bazie danych Interpolu. To Luc Carrere, adwokat pozbawiony prawa do wykonywania zawodu, trochę pracuje jako prywatny detektyw.

Wydrukowała na kartce kilka słów.

–Oto jego adres. Właśnie przeprowadził się do nowego luksusowego mieszkania. Może nic z tego nie wyniknie, ale przynajmniej macie od czego zacząć. Musicie go jakoś unieruchomić i pokazać mu to.

Holly wręczyła ochroniarzowi przedmiot podobny do zegarka dla nurków.

–Co to takiego?

–Ekran komunikacyjny. Podetknij mu go pod nos, a ja już wymesmeryzuję z niego prawdę. A to kolejny gadżet Ogierka, osobista tarcza Safetynet. Pewnie ucieszy cię wiadomość, że to prototyp i że tobie przypadnie zaszczyt wypróbowania go. Wystarczy dotknąć ekranu, a mikroreaktor generuje dwumetrową kulę trójfazowego światła. Nie chroni przed ciałami stałymi, ale wytrzyma wstrząsy i promienie laserowe.

–Hmm – mruknął Butler z powątpiewaniem. – Tu, na powierzchni Ziemi, jakoś mało używamy broni laserowej.

–Nie, to nie. Co mnie to obchodzi? Butler przyjrzał się maleńkiemu urządzeniu.

–Promień jednego metra? A co się stanie z kawałkami, które będą wystawać?

Holly żartobliwie szturchnęła olbrzyma w brzuch.

–Udzielę ci rady, wielkoludzie. Najlepiej zwiń się w kłębek.

–Postaram się o tym pamiętać – rzekł Butler, zapinając pasek na przegubie. – Tylko nie pozabijajcie się nawzajem pod moją nieobecność.

Artemis zdumiał się, co nie zdarzało się zbyt często.

–Kiedy ciebie nie będzie? Chyba nie oczekujesz, że tu zostanę?

Butler dotknął czoła.

–Nie martw się, obejrzysz wszystko dzięki kamerze tęczątkowej.

Artemis fuknął kilkakrotnie, lecz w końcu z powrotem opadł na fotel.

–Wiem, wiem. Tylko bym ci przeszkadzał, a to z kolei opóźniłoby poszukiwania mojego ojca.

–Oczywiście, jeśli nalegasz...

–Nie. Nie pora na dziecinadę.

Butler uśmiechnął się lekko. Dziecinada to ostatnia rzecz, jaką mógłby zarzucić swemu chlebodawcy, Artemisowi Fowlowi.

–Ile mam czasu?

Holly wzruszyła ramionami.

–Ile trzeba. Rzecz jasna, im prędzej się uporasz, tym lepiej dla nas wszystkich. – Zerknęła na Artemisa. – Zwłaszcza dla jego ojca.

Pomimo wszystko Butler czuł się świetnie. To było życie w swojej najbardziej pierwotnej postaci – łowy. Może nie całkiem polowanie z epoki kamiennej, zważywszy na półautomatyczny pistolet pod pachą, ale zasada ta sama – przetrwanie najsilniejszych. A Butler nie miał najmniejszych wątpliwości, kto tu jest najsilniejszy.

Poinstruowany przez Holly szybko wspiął się po drabinie dla obsługi i zaczekał przy włączniku, aż sygnalizator zmieni kolor z czerwonego na zielony i zamaskowane drzwi bezszelestnie odsuną się na bok. Ostrożnie wyszedł na zewnątrz; co prawda, tak

wcześnie rano most powinien być wyludniony, ale gdyby kogoś spotkał, jakże mógłby udawać bezdomnego w garniturze od słynnego krawca?

Na czubku wygolonej czaszki poczuł delikatny powiew. Poranek pachniał cudownie, zwłaszcza po kilku godzinach spędzonych pod ziemią. Butler z łatwością wyobraził sobie, jak się czują wróżki, wypchnięte przez ludzi z naturalnego środowiska. Sądząc po tym, co zobaczył, gdyby Lud postanowił odzyskać utracony teren, walka nie trwałaby długo. Na szczęście dla rodzaju ludzkiego wróżki były istotami pokojowymi i nie zamierzały toczyć wojen o nieruchomości.

Uznawszy, że droga wolna, Butler lekkim krokiem wyszedł na chodnik prowadzący wzdłuż rzeki i ruszył na zachód w stronę dzielnicy St. Germain. Z prawej strony wyprzedził go statek rzeczny z setką turystów na pokładzie. Służący automatycznie zasłonił twarz potężną dłonią, na wypadek gdyby któryś z nich wycelował weń obiektyw aparatu fotograficznego.

Po kamiennych schodach wyszedł na poziom ulicy. Za nim wznosiły się wieże Notre-Dame, po lewej dziobał chmury czubek słynnej wieży Eiffla. Pewnym krokiem przeszedł przez jezdnię, po drodze kłaniając się kilku zagapionym nań francuskim damom. Doskonale znał tę okolicę; spędził tu miesiąc, dochodząc do zdrowia po niebezpiecznym zadaniu, wykonanym na zlecenie francuskich służb wywiadowczych.

Spacerkiem skierował się ku rue Jacob. Na wąskiej jezdni nawet o tej wczesnej porze tłoczyły się samochody i ciężarówki. Kierowcy trąbili co sił i wychyleni z okien pojazdów dawali upust galijskiemu temperamentowi. Między samochodami przeciskały się skutery i motorynki, ładne dziewczyny mijały Butlera na chodniku. Uśmiechnął się. Paryż. Zdążył zapomnieć.

Apartament Luka Carrere'a znajdował się na rue Bonaparte, naprzeciwko kościoła. Miesięczne komorne za mieszkanie w St Germain wynosiło więcej, niż większość paryżan zarabiała w ciągu roku. Butler zamówił kawę i croissanta w cafe Bonaparte, po czym usiadł przy stoliku na zewnątrz. Tak jak sobie wyliczył, miał stąd doskonały widok na balkon monsieur Carrere'a.

Nie musiał długo czekać. Nie minęła godzina, a przysadzisty detektyw pojawił się na balkonie; przez chwilę wspierał się o misternie kutą balustradę, a przy okazji bardzo uprzejmie ukazywał twarz *en face* i z profilu.

–To nasz człowiek – w uchu Butlera zabrzmiał głos Holly. – Jest sam?

–Trudno powiedzieć – mruknął ochroniarz, osłaniając usta dłonią. Mikrofon przyklejony do jego krtani wychwytywał wszelkie wibracje i po przetłumaczeniu przekazywał je do statku.

–Chwileczkę.

Butler usłyszał stukanie w klawiaturę i nagle jego kamera tęczówkowa rozbłysła. Obraz w jednym oku ukazał się w zupełnie innym widmie.

–Ciepłoczuły obiektyw – poinformowała go Holly. – Gorące równa się czerwone, niebieskie równa się zimne. Niezbyt wielka moc, ale powinieneś móc coś zobaczyć choćby przez ścianę zewnętrzną.

Butler świeżym okiem spojrzął na mieszkanie Carrere'a. Znajdowały się w nim trzy gorące obiekty – serce detektywa, które pulsowało szkarłatem w jego różowym ciele, czajnik albo dzbanek do kawy oraz telewizor.

–Okej, wchodzę.

–Zezwalam. Ale uważaj! To wygląda na trochę zbyt łatwe.

Butler przeciął brukowaną ulicę i wszedł do czteropiętrowego apartamentowca. Zamontowano tu co prawda domofon, ale sam budynek pochodził z dziewiętnastego wieku i mocne ramię ochroniarza, przyłożone w odpowiednim punkcie, bez trudu wysadziło drzwi z zawiasów.

–Jestem w środku.

Na schodach powyżej rozległ się hałas. Ktoś schodził. Butler nie przejął się zbyt, jednak wsunął dłoń pod marynarkę i położył palce na kolbie pistoletu. Mało prawdopodobne, by musiał go użyć; nawet najbardziej rozhasane byczki omijały Butlera szerokim łukiem, być może z powodu jego bezlitosnego spojrzenia. Ponad dwumetrowy wzrost także robił swoje.

Zza rogu wyszła grupa młodzieży.

–*Excusez-moi* - rzekł Butler, z galanterią usuwając się na bok.

Dziewczęta zachichotały, chłopcy łypnęli wrogo. Jeden z nich, typ rugbisty o zrosniętych brwiach, chciał nawet wygłosić jakiś komentarz. Wtedy Butler doń mrugnął. Było to mrugnięcie osobliwe, wesołe i równocześnie w pewien sposób przerażające. Komentarz nie nastąpił.

Ochroniarz bez dalszych incydentów dotarł na czwarte piętro. Apartament Carrere'a mieścił się w narożniku. Dwie ściany samych okien – bardzo kosztowne.

Właśnie zastanawiał się nad możliwością włamania, kiedy zauważył, że drzwi są otwarte. Otwarte drzwi zazwyczaj oznaczały jedno z dwojga – albo przy życiu nie pozostał nikt, kto mógłby je zamknąć, albo spodziewano się gości. Ani jedna, ani druga możliwość nie wydała się Butlerowi szczególnie atrakcyjna.

Ostrożnie przekroczył próg. Pod ścianami apartamentu piętrzyły się stosy otwartych skrzynek, ze styropianowych osłonek wystawały paczki baterii i kombinezony ognioodporne. Po podłodze walały się pliki banknotów.

–Jesteś przyjacielem?

To przemówił Carrere z głębin ogromnego fotela. Na kolanach trzymał coś w rodzaju pistoletu.

Butler zbliżył się, nie spuszczając go z oka. Ważna zasada walki głosiła, że każdego przeciwnika należy traktować poważnie.

–Tylko spokojnie. – Detektyw podniósł broń, której kolba wyraźnie została zbudowana dla mniejszych palców, dziecięcych lub elfich. – Pytałem, czy jesteś przyjacielem.

Butler odbezpieczył pistolet.

–Nie ma potrzeby strzelać.

–Stój spokojnie – polecił Carrere. – Nie zamierzam cię zabić, chcę tylko zrobić ci zdjęcie. Tak mi kazał głos.

W słuchawce Butlera rozległ się głos Holly:

–Podejdź bliżej, muszę zobaczyć jego oczy. Butler włożył broń do kabury i zrobił krok naprzód.

–Widzisz, nikomu nie stanie się krzywda.

–Poprawię obraz – powiedziała Holly. – Może trochę zboleć.

Mała kamera w głowie służącego wydała cichy brzęk, po czym obraz czterokrotnie się powiększył – świetnie, gdyby nietowarzyszący temu ostry ból. Butler zamrugał, usiłując powstrzymać łzy.

Poniżej, w statku goblinów, Holly uważnie przyjrzała się źrenicom Luca.

–Mesmeryzowano go – orzekła. – I to wielokrotnie. Widzicie? Tęczówka jest wręcz poszarpana. Człowiek za często poddawany mesmeryzacji może nawet oślepnąć.

Artemis wpatrzył się w obraz.

–Kolejna mesmeryzacja czymś mu grozi?

–To bez znaczenia – wzruszyła ramionami Holly.

–Ten konkretny osobnik i tak jest pod wpływem czarów. Po prostu wykonuje rozkazy, jego umysł nie ma o tym pojęcia.

–Butler! Uciekaj stamtąd! Natychmiast! – krzyknął Artemis, chwytając mikrofon.

W apartamencie Butler ani drgnął. Każdy gwałtowny ruch mógł być jego ostatnim.

–Butler – powiedziała Holly. – Słuchaj uważnie. Broń, wycelowana w ciebie, to wielkokalibrowy miotacz niskiej częstotliwości. Nazywa się odbijacz i został zaprojektowany do utarczek w tunelach. Jeśli ten facet pociągnie za spust, uwolni szerokokątny promień laserowy, który będzie odbijał się od ścian, aż na coś natrafi.

–Rozumiem – mruknął Butler.

–Co powiedziałaś? – zapytał Carrere.

–Nic. Po prostu nie lubię, jak robią mi zdjęcia. W oszołomionej duszy Luca zapłonęła iskra wrodzonej chciwości.

–Podoba mi się twój zegarek. Wygląda na drogi. To rolex?

–Chyba nie chcesz mi go zabrać? – rzekł Butler, udając, że niechętnie rozstaje się z umieszczonym w zegarku ekranem komunikacyjnym. – To przecież tandeta.

–Dawaj i już!

Butler odpiął pasek przyrządu i zdjął go z przegubu.

–Jeśli dam ci zegarek, może opowiesz mi o bateriach?

–Więc to jednak ty! Uśmiech proszę! – pisnął Carrere, wpychając tłusty paluch pod maleńką osłonę spustu i naciskając co sił.

Dla Butlera sekundy zaczęły pełznąć, niemal jakby otaczała go osobista strefa zatrzymania czasu. Jego żołnierski umysł precyzyjnie postrzegał wszystkie fakty i analizował dostępne możliwości. Widział, że palec Carrere’a zgina się coraz bardziej i za chwilę broń eksploduje potężnym promieniem laserowym, który będzie się obijać po pokoju, aż obaj padną nieżywi. W tej sytuacji pistolet był bezużyteczny. Butler dysponował jedynie Safetynetem, obawiał się jednak, że dwumetrowa kula nie będzie dostatecznie duża, by pomieścić dwóch ludzi sporych rozmiarów.

A zatem w ułamku sekundy, jaki mu jeszcze pozostał, służący wymyślił nowe rozwiązanie taktyczne – skoro kula potrafi zatrzymać nadchodzącą falę uderzeniową, może zdoła także ograniczyć promieniowanie miotacza. Puknął w ekranik Safetyneta i cisnął urządzeniem w stronę Carrere’a.

Ani o nanosekundę za wcześnie. Wokół broni w ręku detektywa wykwitła sferyczna tarcza, w mgnieniu oka powstrzymując rozszerzający się promień i zapewniając pełną przed nim ochronę. Był to niezły widok, jakby pokaz fajerwerków w bańce. Tarcza unosiła się w powietrzu, a świetlne race rozbijały się o zakrzywione płaszczyzny jej wnętrza.

Carrere zastygł jak zahipnotyzowany, co Butler wykorzystał, by go rozbroić.

–Uruchamiaj silniki, Holly – mruknął do przyłączonego do krtani mikrofonu. – Zaraz będzie tu pełno funkcjonariuszy Suret. Safetynet Ogierka niestety nie redukuje hałasu.

–Zrozumiałam. A monsieur Carrere?

–Luc i ja pogadamy sobie troszeczkę – odparł Butler, rzucając oszołomionego paryżanina na dywan.

Po raz pierwszy Carrere wydawał się świadom sytuacji.

–Kim jesteś? – wymamrotał. – Co się dzieje? Butler rozerwał koszulę detektywa i położył dłoń na jego sercu. Pora na małą sztuczkę, której nauczył się od madame Wu, swej japońskiej sensei.

–Proszę się nie martwić, monsieur Carrere. Jestem lekarzem. Zdarzył się wypadek, ale wyszedł pan zeń bez szwanku.

–Wypadek? Nie pamiętam żadnego wypadku.

–To wskutek urazu. Całkiem normalne. Zbadam tylko główne narządy.

Umieściwszy kciuk na szyi Luca, Butler odszukał tętnicę.

–Zadam panu kilka pytań, żeby sprawdzić, czy nie doznał pan wstrząsu mózgu.

Luc nie sprzeciwiał się. Któż ośmieliłby się sprzeciwić dwumetrowemu Euroazjacie o mięśniach niczym posąg dłuta Michała Anioła?

–Nazywa się pan Luc Carrere? – Tak.

Butler odnotował prędkość uderzeń serca, po czym sprawdził jeszcze tętno na szyi. Pomimo dramatycznych wydarzeń było równe i mocne.

–Jest pan detektywem prywatnym?

–Wolę określenie „śledczy”.

Żadnego przyspieszenia rytmu. Ten człowiek mówił prawdę.

–Sprzedał pan kiedyś baterie jakiemuś tajemniczemu nabywcy?

–Nic podobnego – zaprotestował Luc. – Co z pana w ogóle za lekarz?

Tętno wzrosło astronomicznie. Kłamał.

–Proszę odpowiadać na pytania, monsieur Carrere – rzekł Butler surowo. – Jeszcze jedno. Robił pan interesy z goblinami?

Luca zalała fala ulgi. Ten człowiek nie był z policji – oni nie zadawali pytań o wróżki.

–Coś pan? Zwariował pan, czy co? Z goblinami? Nie mam pojęcia, o czym pan mówi!

Butler przymknął oczy, skupiając się na uderzeniach wyczuwanych pod dłonią i kciukiem. Serce Luca uspokajało się. Mówił prawdę. Nigdy nie kontaktował się z goblinami bezpośrednio. Najwyraźniej B'wa Kell nie byli aż tak głupi.

Ochroniarz wstał, przy okazji zabierając odbijacz. Z ulicy dobiegło go wycie syren.

–Hej, doktorze! – zawołał Luc. – Nie może mnie pan tak zostawić.

Butler zmierzył go zimnym wzrokiem.

–Zabrałbym pana ze sobą, ale policja pewnie będzie chciała wiedzieć, dlaczego w pańskim mieszkaniu jest pełno podrabianych banknotów.

Detektyw patrzył bezsilnie, jak ogromna postać oddala się korytarzem. Wiedział, że powinien uciekać, lecz od czasu szkolnych lekcji gimnastyki w latach siedemdziesiątych nie przebiegł nawet pięćdziesięciu metrów. A poza tym nogi miał jak z galarety. Niektórzy tak reagują na myśl o długim pobycie w więzieniu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Układanie łamigłówki

Komenda Policji, Oaza City

Bulwa potężniako wycelował w Holly palec.

–No, pani kapitan, gratuluje! Udało się wam utracić kolejny wytwór technologii SKR.

Holly przygotowała się na ten zarzut.

–Ściśle biorąc, to nie całkiem moja wina, sir. Człowiek uległ mesmeryzacji, a pan rozkazał mi nie opuszczać promu. Nie miałam wpływu na sytuację.

–Masz pięć – skomentował Ogierek. – Dobra odpowiedź. A poza tym Safetynet jest wyposażona w mechanizm samoniszcący, jak wszystkie urządzenia, które wysyłam w teren.

–Milczeć, cywilu! – warknął komendant.

Ale w jego naganie nie było prawdziwej złości. Jak pozostali, odczuł wielką ulgę – zagrożenie ze strony ludzi zostało zlikwidowane, i to bez żadnych ofiar.

Siedzieli w sali konferencyjnej, zazwyczaj zarezerwowanej na spotkania komitetów cywilnych. Na ogół raporty tej wagi składano w Centrum Operacyjnym, ale na razie SKR nie zamierzały ujawniać przed Artemisem Fowlem swego najbardziej newralgicznego punktu – centrum sterowania obroną.

Bulwa dziabnął palcem w przycisk głośnika na biurku.

–Kłopot, jesteście tam?

–Ta jest, sir.

–Dobrze. Słuchajcie, chcę, żebyście stali w pogotowiu. Poślijcie kilka oddziałów do głębokich tuneli, może uda im się wygarnąć jakiś goblini gang. Musimy jeszcze sporo wyjaśnić, na przykład, kto organizuje akcje B'wa Kell i w jakim celu?

Artemis wiedział, że nie powinien się odzywać. Im prędzej wywiąże się z danej wróżkom obietnicy, tym prędzej znajdzie się w Arktyce. Ale to, co zaszło w Paryżu, wzbudziło jego podejrzenia.

–Nie sądzicie, że wszystko jakoś zbyt zgrabnie się układa? Wszystko przebiegło

dokładnie tak, jak chcieliście. A poza tym na górze może być więcej zmesmeryzowanych osób.

Bulwa nie miał ochoty wysłuchiwać pouczeń Błotnego Chłopca – zwłaszcza tego konkretnego Chłopca.

–Słuchaj, Fowl, pomogłeś nam i jesteśmy ci wdzięczni. Paryski kontakt został zerwany. Zapewniam cię, że tym szybem nie przyjdzie już żaden nielegalny transport – zresztą, prawdę mówiąc, podwoiliśmy środki bezpieczeństwa przy wszystkich szybach, zarówno czynnych, jak i nieczynnych. Najważniejsze, że osobnik, który handluje z ludźmi, najwyraźniej nie wspomniał im o Małym Ludzie. Oczywiście, teraz rozpocznie się poważne śledztwo, ale to nasz wewnętrzny problem. Więc nie zaprzataj sobie tą sprawą młodocianej główki i skup się na wyhodowaniu zarostu.

Ogierek wtrącił się, zanim Artemis zdążył zareagować.

–W sprawie Rosji – rzekł pośpiesznie, wpychając swój okazały tors między Artemisa i komendanta. – Mam ślad!

–Wyśledziłeś, skąd przysłało e-mail? – zapytał Artemis, natychmiast przenosząc uwagę na centaura.

–Właśnie – przytaknął Ogierek, zabierając się do wygłoszenia wykładu.

–Ale pewnie po drodze założono blokadę i nie da się sprawdzić, gdzie go nadano.

Ogierek zaśmiał się w głos.

–Blokadę? Nie rozśmieszaj mnie. Wy, Błotniaki, i te wasze systemy komunikacyjne! Rany boskie, wy nadal używacie drutów! Nie, skoro poczta została wysłana, to sprawdzenie, skąd przyszła, nie stanowi najmniejszego problemu.

–No więc, skąd przyszła?

–Każdy komputer ma sygnaturę, tak charakterystyczną, jak odcisk palca – Ogierek wyraźnie się rozkręcał. – Podobnie zachowują się sieci. Podczas transmisji zostawiają ślady, które są zależne od wieku okablowania. To wszystko dzieje się na poziomie molekularnym; kiedy ładujesz gigabajty danych w mały kawałek drutu, to ten drut musi się trochę zużyć. Butler wyraźnie się zniecierpliwiał.

–Słuchaj no, Ogierek. Czas nagli. Stawką jest życie pana Fowla. Więc gadaj, o co chodzi, zanim coś rozwalę.

Centaur przede wszystkim poczuł rozbawienie. Doprawdy, czyżby ten Błotniak mówił serio? Lecz wówczas przypomniał sobie, co Butler zrobił z oddziałem Odzysku

kapitana Kłopotą Wodorosta, i uznał, że będzie lepiej szybko przejść do sedna.

–Dobrze, Błotniaku. Tylko spokojnie. – No, prawie do sedna. – Przepuściłem plik MPG przez swoje filtry. Śladowe pozostałości uranu wskazują, że przybył z północnej Rosji.

–To mi dopiero nowina!

–Jeszcze nie skończyłem – rzekł dobitnie Ogierek. – Patrzcie i ucztujcie się.

Wywołał na ekranie ściennym mapę Ziemi za kręgiem polarnym i kolejnymi uderzeniami klawiszy powiększył wybrany obszar.

–Uran oznacza, że przesyłka przyszła z Siewieromorska lub z jego okolic, mniej więcej w promieniu stu kilometrów. Dodatkowo stwierdziłem, że wykorzystano miedziane okablowanie, należące do starej sieci, powstałej na początku XX wieku i wielokrotnie łątanej. A jedynym miejscem, gdzie znajduje się taka sieć, jest Murmańsk. Proste jak dziecinna układanka.

Artemis wyprostował się na krześle.

–Sieć ta obejmuje dwieście osiemdziesiąt cztery tysiące linii naziemnych! – Ogierek zaśmiewał się do rozpuku. – Linie naziemne! Barbarzyńcy!

Butler z trzaskiem rozprostował i zgiął palce.

–A więc, dwieście osiemdziesiąt cztery tysiące linii naziemnych – ciągnął centaur. – Napisałem więc program, szukający odcinka, odpowiadającego naszemu plikowi MPG. W wyniku otrzymałem dwie możliwości. Jedna z nich to gmach sądu.

–Mało prawdopodobne. A druga? – zapytał Artemis.

–Druga linia została zarejestrowana na nazwisko Michaiła Wasikina, zamieszkałego na Prospekcje Lenina.

Artemis poczuł skurcz żołądka.

–A co wiadomo o Michaile Wasikinie? Ogierek poruszył palcami niczym pianista koncertowy.

–Przeszukałem nasze archiwum waszego wywiadu. Lubię wiedzieć, co się dzieje w tak zwanych agencjach wywiadowczych Błotnych Ludzi. A propos, Butler, znalazłem też sporo wzmianek o tobie...

Służący usiłował zachować niewinny wyraz twarzy, ale jego fizjonomia nie całkiem sprostała tak ambitnemu zadaniu.

–Michał Wasikin – mówił Ogierek – to były funkcjonariusz KGB, obecnie pracujący dla mafii. Oficjalnie mówi się na takich „byk”. To goryl, żołnierz, zajmujący niezbyt wysokie miejsce w hierarchii, ale też nie męt uliczny. Szefem Wasikina w Murmańsku jest niejaki Brzytwa. Grupa Brzytwy utrzymuje się głównie z porwań europejskich biznesmenów dla okupu. Przez ostatnie pięć lat uprowadzili Szweda i sześciu Niemców.

–Ilu porwanych odnaleziono żywych? – zapytał Artemis zdławionym głosem.

Ogierek spojrzał na statystykę.

–Żadnego – odparł. – W dwóch wypadkach zaginęli także negocjatorzy. Osiem milionów dolarów okupu trafił szlag.

Butler z trudem wydobył siedzenie z maleńkiego fotela wróżek.

–Dobra, dosyć tego gadania! Pora, by pan Wasikin poznał mego przyjaciela, pana Pięść!

Wypowiedź odrobinę melodramatyczna, pomyślał Artemis. Ale sam bym tego lepiej nie ujął.

–Zgadza się, drogi przyjacielu – powiedział głośno. – Niebawem. Nie chciałbym jednak, byś dołączył do listy zaginionych negocjatorów. Porywacze to sprytni ludzie. Musimy być sprytniejsi od nich. Na szczęście mamy atuty, których nie mieli nasi poprzednicy; wiemy, kim jest porywacz, wiemy, gdzie mieszka, a co najważniejsze, mamy do dyspozycji magię wróżek. – Tu Artemis zerknął na komendanta Bulwę. – Prawda?

–Z pewnością możecie liczyć na magię tej konkretnej wróżki, czyli moją – odparł komendant. – Nie mogę jednak zmuszać swoich ludzi, żeby udali się do Rosji. Chociaż... przydałoby mi się wsparcie... – spojrzał na Holly. – Co o tym myślicie?

–Jadę, oczywiście – oznajmiła Holly. – Jestem najlepszym pilotem, jakiego masz.

Laboratoria Koboï.

W podziemiach Laboratoriów Koboï znajdowała się strzelnica. Opal kazała ją zbudować na specjalne zamówienie. Tutaj, w zawieszonym na żyroskopach, całkowicie dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, mogła testować trójwymiarowy system projekcji. Gdyby na podłogę tego pomieszczenia ktoś spuścił słońca z wysokości piętnastu metrów, najczulszy sejsmograf świata nie wychwyciłby nawet najmniejszego drgnięcia.

Strzelnica początkowo miała służyć B'wa Kell jako miejsce treningu w strzelaniu z laserów Softnose przed rozpoczęciem właściwej operacji. Ale osobą, która spędzała najwięcej godzin na symulatorach, był Wrzosiec Pałka. Ekskomendant wykorzystywał każdą wolną chwilę, walcząc na niby ze swoim pogromcą, Juliuszem Bulwą.

Opal odnalazła go w chwili, gdy zapamiętałe walił ze swego ulubionego Softnose'a Redboya do trójwymiarowej holograficznej projekcji starego filmu szkoleniowego z Bulwą w roli głównej. Przedstawiał sobą żalosne widowisko; chochliczce nawet nie chciało się komentować jego zachowania.

–Umarł ktoś, czy co? – zapytał Pałka zaczepnie, wyjmując zatyczki z uszu.

Opal wręczyła mu ekranik wideo.

–Ten materiał przed chwilą nagrały kamery szpiegowskie. Carrere jak zwykle okazał się nieudolny. Wszyscy przeżyli i Bulwa odwołał alarm, dokładnie tak, jak przewidziałeś. A teraz zgodził się osobiście eskortować Błotnych Ludzi do północnej Rosji, za krąg polarny.

–Wiem, gdzie leży północna Rosja – fuknął Pałka i jął w zamyśleniu gładzić swe bąblowate czoło. – To może nam wyjść na korzyść. Mamy doskonałą okazję, by wyeliminować komendanta z gry. A gdy się go pozbędziemy, SKR będzie jak robak bez głowy, zwłaszcza że komunikacja z powierzchnią jest niesprawna. Znaczą, zakładam, że istotnie jest niesprawna?

–Oczywiście – odparła Opal. – Podłączyliśmy zagłuszaczkę do sensorów w szybie. Wszelkie zakłócenia w pracy nadajników naziemnych uważane są za skutek wybuchów magmy.

–Doskonale – rzekł Pałka, wykrzywając usta w grymasie, który wyglądał na niemal radosny. – Teraz chcę, żebyś unieruchomiła całą broń SKR. Po co mamy dawać Juliuszowi jakieś szanse?

Unowocześniając policyjny transport i uzbrojenie na zlecenie SKR, Laboratoria

Koboi umieściły w każdym urządzeniu kropelkę rzekomego spoiwa, które w rzeczywistości składało się z rtęci zmieszanej z nitrogliceryną i które w razie potrzeby dawało się zdetonować za pomocą sygnału radiowego odpowiedniej częstotliwości, nadanego z anteny satelitarnej Kobi. Miotacze SKR stałyby się wówczas bezużyteczne, natomiast B'wa Kell, wyposażone w tradycyjne lasery Softnose, byłyby uzbrojone po zęby.

–Załatwione – powiedziała Opal. – Jesteś pewien, że Bulwa nie wróci? Mógłby nieźle namieszać w naszym planie.

–Moja droga, nie marudź – odparł Pałka, polerując Redboya rękawem munduru. – Więcej nie ujrysz Juliusza. Teraz, kiedy wiem, gdzie się wybiera, przygotuję mu odpowiednie przyjęcie. Jestem pewien, że nasi łuskowaci przyjaciele nie odmówią mi tej przysługi.

Śmieszne, gdyż Wrzosiec Pałka właściwie nie lubił goblinów. Prawdę mówiąc, wręcz ich nie znosił. Ich gadzie obyczaje przyprawiały go o dreszcz obrzydzenia: gazowe oddechy, oczy bez powiek i wijące się, rozdwojone języki.

Ale miały coś, czego Pałka potrzebował – ślepą siłę.

B'wa Kell od stuleci krążyli wokół Oazy, niszcząc wszystko, czego nie zdołali ukraść, i obrabiając turystów, którzy w swej głupocie zbaczali z utartych szlaków. Ale nigdy dotąd nie stanowili społecznego zagrożenia – kiedy robili się zbyt bezczelni, komendant Bulwa po prostu wysyłał do tuneli oddział policji i przywoływał złoczyńców do porządku.

Pewnego wieczora Wrzosiec Pałka w przebraniu wszedł do „Drugiej Skóry”, ulubionego lokalu B'wa Kell, położył na kontuarze aktówkę pełną sztabek złota i powiedział:

–Chcę rozmawiać z triadą.

Klubowi goryle obszukali Pałkę i zawiązali mu oczy. Po zdjęciu przepaski ujrzał wilgotne pomieszczenie magazynowe o ścianach porośniętych brodatym mchem, a za stołem przed sobą trzech podstarzałych goblinów, znanych mu z akt jako Łuskoń, Pluja i Flegman – stara gwardia triady.

Pałka przewidział, iż przyniesione złoto oraz obietnica dostarczenia jego większej ilości wystarczą, by pobudzić ciekawość goblinów. Jego pierwsze słowa zostały dokładnie przemyślane.

–Ach, panowie generałowie, to zaszczyt, że witacie mnie osobiście.

Gobliny dumnie wypięły pomarszczone ze starości klatki piersiowe. Czyżby

powiedział „generałowie”?

Dalej Pałka mówił równie gładko. Obiecał, że udzieli B’wa Kell pomocy, lepiej zorganizuje triady, a co najważniejsze, uzbroi ich wojsko. Kiedy przyjdzie właściwa pora, gobliny powstaną i obalą Radę oraz jej pachołków, SKR, natomiast on, Pałka, przyrzeka, że gdy już zostanie generalnym gubernatorem, przede wszystkim zwolni wszystkie gobliny z więzienia na Wzgórzu Wyjców. Dla pewności były komendant delikatnie okraszył swe przemówienie odrobiną mesmerycznej hipnozy.

Była to dla goblinów propozycja nie do odrzucenia. Złoto, broń, wolność dla ich braci, oraz, rzecz jasna, możliwość unicestwienia nienawidzonych SKR. Nie przyszło im do głowy, że Pałka może ich zdradzić równie łatwo, jak zdradził SKR; ślepi i głupi niczym robaki, mieli taką samą zdolność przewidywania.

Pałka spotkał się z generałem Łuskoniem w tajemnej komnacie pod Laboratoriami Kobi. Był w podłym nastroju; Carrere’owi nie udało się nawet zadrasnąć nieprzyjaciół. Ale miał w odwodzie plan B... B’wa Kell zawsze chętnie zabijali, wszystko jedno kogo.

Podniecony, żądny krwi goblin dyszał niebieskim płomieniem niczym zepsuty palnik.

–Kiedy pójdziemy na wojnę, Pałka? Gadaj, kiedy? Elf trzymał się odeń z daleka. Marzył o dniu, gdy te kretyńskie stwory nie będą mu już potrzebne.

–Niebawem, generale Łuskoń. Wkrótce. Ale najpierw chcę poprosić o przysługę. Chodzi o komendanta Bulwę.

Żółte ślepia goblina zwężyły się w szparki.

–Bulwę? Paskudnego Bulwę? Możemy go zabić? Rozłupać mu czaszkę i usmażyć jego mózg?

Pałka uśmiechnął się wielkodusznie.

–Oczywiście, panie generale. Co tylko chcecie. A kiedy Bulwa zginie, miasto padnie bez walki.

Goblin zaczął podskakiwać, wręcz tańczyć z niecierpliwości.

–Gdzie on jest? Gdzie Bulwa?

–Nie wiem – przyznał Pałka. – Ale wiem, gdzie będzie za sześć godzin.

–Gdzie? Gadaj, elfie!

Pałka z trudem dźwignął na stół dużą torbę, zawierającą cztery pary skrzydeł

Doubledex produkcji firmy Kobi.

–Szyb 93. Weź to i wyślij najlepszy zespół uderzeniowy. I powiedz im, żeby ciepło się ubrali.

Szyb E

Juliusz Bulwa zwykł podróżować w wielkim stylu. I tym razem udało mu się zarekwirować prom ambasadora Atlantydy – złocenia, skórzane obicia, siedzenia miększe niż tyłek gnoma, amortyzacja, niemal całkowicie niwelująca wstrząsy. Jak należało się spodziewać, ambasador nie był zachwycony, oddając kartę startową. Trudno jednak odmówić policjantowi, który bębni palcami o trójlufowy miotacz, przypięty do biodra. Dzięki temu Błotni Ludzie i ich elficcy opiekunowie mogli obecnie wznosić się szybem E93 w komfortowych warunkach.

Artemis poczęstował się szklanką wody z chłodziarki.

–Niezwykły smak – zauważył. – Interesujący, ale dziwny.

–Czysty, to słowo, o które ci chodzi – podpowiedziała grzecznie Holly. – Nie uwierzysz, przez ile filtrów musimy przepuszczać tę wodę, by pozbyć się z niej Błotnego Człowieka.

–Skończcie te zaczepki, kapitan Nieduża – upomniał ją Bulwa. – Teraz jesteśmy po tej samej stronie. Chcę mieć spokój. Wszyscy wkładać kombinezony! Tam, na górze, nie przetrwamy bez osłony nawet pięciu minut.

Holly z trzaskiem otworzyła szafkę nad głową.

–Fowl, wystąp!

Artemis posłuchał. W kącikach jego ust igrał pobłażliwy uśmiezek.

Holly wyciągnęła ze schowka kilka sześciennych paczek.

–Jaki nosisz rozmiar? Szóstkę?

Artemis wzruszył ramionami. Nie zapoznał się dotąd z systemem miar Małego Ludu.

–Coś podobnego? Artemis Fowl czegoś nie wie? Sądziłam, że jesteś światowym ekspertem od wróżek. To przecież ty w zeszłym roku ukradłeś nam Księżę?

Artemis rozwinął pakunek. W środku znajdował się kombinezon z ultralekkiego gumowego polimeru.

–Przeciwpromienny – wyjaśniła Holly. – Za pięćdziesiąt lat komórki twego organizmu

będą mi wdzięczne, oczywiście, jeśli dożyjesz.

Artemis wciągnął kombinezon na ubranie. Guma skurczyła się i dopasowała doń jak druga skóra.

–Inteligentny materiał.

–Lateks z pamięcią. Układa się do figury, w granicach rozsądku, rzecz jasna. Niestety, jednorazowy.

Po noszeniu nadaje się tylko do ponownego przetworzenia.

Butler zbliżył się z brzękiem; wróżki wyposażyły go w taką zbrojownię, że Ogierek dał mu pas Moonbelt, który redukował wagę przyczepionego sprzętu do jednej piątej normy ziemskiej.

–A co ze mną? – zapytał, wskazując na kombinezony.

Holly zasępiła się.

–Nie mamy nic odpowiedniego. Nawet rozciągliwość lateksu ma swoje granice.

–Dajmy spokój. Byłem już w Rosji i jakoś żyję.

–Na razie. Zobaczymy, co będzie później.

–A mam jakieś wyjście? – wzruszył ramionami ochroniarz.

Holly uśmiechnęła się złośliwie.

–Nie mówiłam, że nie ma wyjścia – rzekła, wyciągając z szafki dużą puszkę z pompką, i z jakiegoś powodu owa puszka przeraziła Butlera bardziej niż bunkier pełen ładunków wybuchowych. – A teraz, nie ruszaj się – powiedziała Holly i wycelowała w służącego końcówkę przypominającą tubę gramofonu. – Może i śmierdzi to bardziej niż krasnolud samotnik, ale przynajmniej nie będziesz świecił w ciemności.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pozdrowienia dla Rosji

Murmańsk, Prospekt Lenina

Michaił Wasikin niecierpliwił się. Na prośbę Brzytwy już od dwóch lat pełnił funkcję niańki. Oczywiście, w gruncie rzeczy nie była to prośba. W przypadku prośby proszony ma wybór. A z Brzytwą się nie dyskutowało, ba, nikt nie ośmielił się zaprotestować, nawet po cichu. *Menajdżer, czyli szef*, wywodził się ze starej szkoły i jego słowo było prawem.

Instrukcje otrzymano proste – karmić i myć więźnia, a jeśli przez rok się nie ocknie, zabić i wrzucić do Zatoki Kolskiej.

Dwa tygodnie przed upływem roku Irlandczyk zniecka usiadł na łóżku i wykrzyknął jedno słowo – Angelina. Komar, który właśnie otwierał butelkę wina, tak się przeraził, że upuścił ją sobie na nogi. Pęknięte szkło rozcięło mokasyny od Ferruciego, a ponadto ciężka butelka złamała Komarowi duży palec. Kości się zrastają, lecz za kręgiem polarnym trudno o buty od modnego projektanta – toteż Michaił musiał usiąść na partnerze, by powstrzymać go przed zabiciem zakładnika.

Zaczęła się wymagająca cierpliwości gra. Porwania mają swoją tradycję i obowiązują w nich określone reguły. Najpierw wysyła się list zachęcający – w tym wypadku był to e-mail. Potem się czeka, by frajer zdążył zebrać trochę forsy, a na końcu ujawnia się pełną wysokość okupu.

A zatem mafiosi siedzieli zamknięci w mieszkaniu Michaiła na Prospekcie Lenina i czekali na telefon od Brzytwy. Nie śmieli nawet wyjść, by się przewietrzyć. Zresztą na zewnątrz czekało ich niewiele atrakcji; Murmańsk należy do tych rosyjskich miast, które wyglądają, jakby zostały wylane wprost z betoniarki, i Prospekt Lenina prezentował się jako tako jedynie pod warstwą śniegu.

Komar wyłonił się z sypialni. Jego ostre rysy wykrzywiało niedowierzanie.

–Żąda kawioru, masz pojęcie? Dałem mu porządną michę zupy rybnej, a on chce kawioru, Irlandczyk niewdzięczny!

Michaił wzniósł wzrok do nieba.

–Wolałem, kiedy spał.

Kbmar przytaknął i splunął do piecyka.

–Powiada, że prześcieradła są za szorstkie. Ma szczęście, że nie wsadziłem go do worka i nie wrzuciłem do zatoki...

Zadzwoił telefon, przerywając daremne pogrożki Komara.

–Nadeszła pora, przyjacielu – rzekł Wasikin, klepiąc Komara po ramieniu. – No, do roboty! Tak? – powiedział, podnosząc słuchawkę.

–To ja – zabrzączał głos w starych przewodach.

–Pan Brzyt...

–Zamknij się, idioto! Nigdy nie mów do mnie po nazwisku!

Michaił przełknął Ślinę. *Menajdżer* nie lubił, by kojarzono go z różnymi podejrzanymi przedsięwzięciami, co oznaczało, że nie wolno było wymieniać jego nazwiska ani czegokolwiek zapisywać. Zazwyczaj rozmawiał przez telefon, krążąc samochodem po mieście, aby nie dało się ustalić, gdzie dokładnie przebywa.

–Przepraszam, szefie.

–I słusznie – powiedział mafijny kacyk. – A teraz słuchaj i nie gadaj, bo i tak nie masz nic do powiedzenia.

–Wszystko świetnie idzie – szepnął Michaił do Komara, zakrywając słuchawkę. – Robimy, co trzeba.

–Ci Fowlowie to cwaniacy – ciągnął Brzytwa. – I nie wątpię, że ze wszystkich sił chcą wyśledzić, skąd pochodził ostatni e-mail.

–Ale ja go zabloko... – wtrącił Wasikin.

–Co ci mówiłem?

–Żebym się nie odzywał, panie Brzyt... proszę pana.

–Otóż to. Więc wyślijcie żądanie okupu i przewieźcie Fowla na miejsce zrzutu.

Michaił pobladł.

–Na miejsce zrzutu?

–Tak, na miejsce zrzutu. Nikt was tam nie będzie szukał, gwarantuję.

–Ale...

–Znowu gadasz! Człowieku, weź się w garść! Stracisz co najwyżej rok życia, nie umrzesz od tego!

Wasikin bezsilnie szukał w myślach jakiegoś wykrętu.

–Dobra, szefie. Jak pan chce.

–Otóż to. Słuchaj uważnie. To twoja wielka szansa. Nie nawal, a nieźle awansujesz w organizacji.

Twarz Wasikina rozjaśnił uśmiech. Poczuł już zew życia pełnego szampana i drogich samochodów.

–Jeśli ten facet naprawdę jest ojcem młodego Fowla, chłopak zapłaci. Jak będziesz już miał pieniądze w garści, wrzucisz ich obu do zatoki. Nie chcemy żadnych świadków, żadnej wendety w przyszłości. I dzwoń, jak będą jakieś kłopoty.

–Dobra, szefie.

–Aha, jeszcze jedno. – Tak?

–Nie dzwoń.

Na linii zapanowała cisza. Wasikin stał, gapiąc się w słuchawkę, jakby trzymał w ręku wirusa epidemii.

–No? – zapytał Komar.

–Wysyłamy drugą wiadomość.

Na twarzy partnera wykwitł szeroki uśmiech.

–Doskonale. Niedługo będzie po wszystkim.

–A potem przesuwamy ładunek do strefy zrzutu.

Szeroki uśmiech zniknął niczym lis w norze.

–Co? Teraz?

–Tak. Teraz.

Komar przemierzył nerwowo pokój.

–To szaleństwo. Kompletny obłąd. Młody Fowl dotrze tu najwcześniej za dwa dni. Nie ma potrzeby, żebyśmy przez dwie doby wdychali tę truciznę. Po co?

–Sam mu to powiedz – Michał wyciągnął dłoń ze słuchawką. – *Menajdżer* z pewnością się ucieszy, kiedy się dowie, że oszalał.

Komar opadł na wytartą kanapę i zatopił twarz w dłoniach.

–Czy to się nigdy nie skończy?

Jego wspólnik uruchomił starożytny, szesnastomegabitowy twardy dysk.

–Trudno powiedzieć – odparł, wysyłając przygotowaną wiadomość. – Ale wiem, co się stanie, jeśli nie wykonamy rozkazu *Brzytwy*.

–Chyba pójdę i pokrzyczę trochę na więźnia – westchnął Komar.

–To coś pomoże?

–Nie – przyznał Komar – ale trochę mi ulży.

Port promowy E93, Arktyka

Stacja w Arktyce nigdy nie należała do ulubionych przez wróżki atrakcji turystycznych. Owszem, góry lodowe i niedźwiedzie polarne wyglądały bardzo ładnie, ale nic nie mogło wynagrodzić konieczności oddychania radioaktywnym powietrzem.

Holly wylądowała na jedynym czynnym stanowisku. Gmach terminalu do złudzenia przypominał opuszczony magazyn. Wzdłuż ścian wiły się nieruchome pasy transmisyjne, a rury centralnego ogrzewania drżały od owadziego życia.

–Ubierajcie się, Błotniaki. Na dworze jest zimno – rzekła elficzka, otwierając zabytkową szafkę i wydając ludziom płaszcze i rękawice.

Artemisowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Baterie słoneczne terminalu już dawno zostały wyłączone, a jego ściany popękały w lodowym uścisku niczym miążdżony w kleszczach orzech.

Rzucając Butlerowi płaszcz, Holly roześmiała się:

–Wiesz co, Butler? Okropnie cuchniesz!

–Ty i te twoje żele przeciwpromienne – mruknął służący. – Mam wrażenie, że moja skóra zmieniła barwę.

–Nie martw się. Za pięćdziesiąt lat się zmyje.

–Nie rozumiem tylko, dlaczego wy też się przebieracie – powiedział Butler, zapinając

pod szyją kozacki płaszcz. – Przecież macie te fikuśne kombinezony.

–Płaszcz to kamuflaż – wyjaśniła Holly, smarując twarz i szyję żelem antyradiacyjnym. – Nie możemy uruchomić tarcz, gdyż wskutek wibracji kombinezony stałyby się nieprzydatne. To tak, jakbyśmy zanurzyli kości w rdzeniu reaktora. Więc dziś wieczór wszyscy jesteśmy ludźmi.

Artemis spochmurniał. Skoro wróżki nie mogły użyć tarcz, ocalenie jego ojca staowało pod znakiem zapytania. Plan, który wymyślił, wymagał modyfikacji.

–Mniej gadania – warknął Bulwa, naciągając na spiczaste uszy futrzaną czapę. – Idziemy całą czwórką. Chcę, żebyście byli uzbrojeni i gotowi na wszystko. Nawet ty, Fowl, oczywiście, jeśli twoje wątle nadgarstki zdołają udźwignąć broń.

Chłopiec wybrał z arsenału wróżek pistolet ręczny, wsunął do przegródki baterię i nastawił moc na trzy.

–Proszę się o mnie nie martwić, komendancie. Dużo ćwiczyłem. We dworze mamy spory zapas broni SKR.

Twarz Bulwy zrobiła się o ton czerwiejsza.

–Jak by to powiedzieć... jest duża różnica między strzelaniem do tarczy i do żywej osoby.

–Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, broń w ogóle nie będzie nam potrzebna – Artemis wyszczerzył zęby w wampirzym uśmiechu. – Pierwszy etap jest nadzwyczaj prosty, musimy tylko znaleźć stanowisko obserwacyjne w pobliżu mieszkania tego Wasikina. Przy pierwszej okazji Butler go dopadnie i pogawędzimy sobie w piątkę po przyjacielsku. Jestem pewien, że poddany waszej mesmeryzacji wszystko nam wyjawi. Ogłuszenie strażników i odbicie ojca powinno być dziecinnie łatwe.

Bulwa osłonił usta grubym szalikiem.

–A jeśli wypadki nie potoczą się zgodnie z planem?

Wzrok Artemisa był zimny i stanowczy.

–Wtedy, komendancie, będziemy musieli improwizować.

Holly poczuła dreszcz w okolicach żołądka. Uczucie to nie miało nic wspólnego z klimatem.

Terminal mieścił się piętnaście metrów pod powierzchnią lodu, więc cała grupa wyjechała windą awaryjną na górę. Wychodząc w arktyczną noc, wyglądali jak

dorośli z trojgiem dzieci – dzieci, dodajmy, szczękających niehumanicznym uzbrojeniem, ukrytym pod każdą fałdą ubrania.

Holly zerknęła na naręczny lokator GPS.

–Jesteśmy w rejonie Rosty, komendancie. Dwadzieścia klików na północ od Murmańska.

–Co Ogierek mówi na temat pogody? Nie chciałbym, by kilka kilometrów od celu złapała nas burza śnieżna.

–Nic z tego, wciąż nie ma połączenia. Pewnie flary nadal są aktywne.

–D’Arvit! – zaklął Bulwa. – Cóż, chyba musimy pójść na piechotę. Butler, wy tu jesteście ekspertem, będziecie prowadzili. Kapitan Nieduża, zamykacie pochód. I nie krępujcie się dać kopniaka w każdy ociągający się ludzki zadek.

Holly puściła oko do Artemisa.

–Nie musi mnie pan zachęcać, sir.

–Założę się, że nie – mruknął Bulwa. Na jego ustach zaigrał cień uśmiešku.

Niezwykła grupa wędrowców przedzierała się mozolnie na południowy wschód. Wreszcie w świetle księżyca zamajaczyła przed nimi linia kolejowa. Mogli teraz iść po podkładach, unikając zasp, dziur i innych pułapek, ale i tak posuwali się bardzo wolno. Północny wiatr przenikał przez ubrania, a zimno raziło odsłoniętą skórę z mocą miliona elektrycznych igieł.

Rozmawiali niewiele. Arktyka tak wpływała na żywe istoty, nawet kiedy trzy z nich miały na sobie ogrzewane kombinezony.

Wreszcie Holly przerwała milczenie. Od dłuższego czasu dręczył ją pewien problem.

–Powiedz mi, Fowl – zagadnęła zza pleców Artemisa. – Czy twój ojciec jest podobny do ciebie?

Chłopiec lekko się potknął.

–Dziwne pytanie. O co ci chodzi?

–No, ty nie należysz do przyjaciół Ludu. A jeśli człowiek, którego uratujemy, jest tym, który nas zniszczy?

Zapadła długotrwała cisza, przerywana tylko szczękaniami zębów. Holly dostrzegła, że Artemis spuścił głowę.

–Nie ma powodu do obaw, pani kapitan. Choć niektóre działania mego ojca niewątpliwie uchodzą za nielegalne, to był... jest... człowiekiem szlachetnym.

Sama myśl, że mógłby kogoś skrzywdzić, napawa go odrazą.

Holly wyszarpnęła but z zaspą.

–Skoro tak, dlaczego ty taki jesteś?

–Ja... ja popełniłem błąd.

Oddech Artemisa zawisł lodowatą płachtą nad jego ramieniem.

Holly załzawionymi oczyma wpatrywała się w kark chłopca. Czyżby Artemis Fowl naprawdę zdobył się na szczerść? Trudno w to uwierzyć. A jeszcze bardziej zdumiał ją fakt, że nie wiedziała, jak zareagować. Czy miała wyciągnąć rękę do zgody, czy zamachnąć się butem w odwecie? W końcu postanowiła powstrzymać się od oceny. Przynajmniej chwilowo.

Znajdowali się w wygładzonej przez świszczący wiatr rozpadlinie. Butler zawahał się. Szósty zmysł żołnierza gwałtownie dobijał się jego uwagi. Coś mu się tutaj nie podobało.

Uniósł pięść i Bulwa przyspieszył kroku.

–Jakieś kłopoty? – wydyszał, doganiając go. Butler wpatrzył się w śnieżne pole, wypatrując śladów.

–Nie wiem. To świetne miejsce na atak z zaskoczenia.

–Niewykluczone. Gdyby ktoś wiedział, że tu będziemy.

–A to możliwe? Ktoś mógł się o tym dowiedzieć? Bulwa parsknął, wydychając małe obłoczki pary.

–Mało prawdopodobne. Szyb leży na uboczu, a zabezpieczenia SKR są najlepsze na świecie.

I wtedy znad krawędzi wąwozu wyleciała grupa goblinów w szyku bojowym.

Butler złapał Artemisa za kołnierz i bezceremonialnie cisnął nim w zaspę. Drugą ręką już sięgał po broń.

–Nie podnoś głowy, Artemisie. Pora, żebym zarobił na utrzymanie.

Artemis już miał udzielić mu kąśliwej odpowiedzi, gdy jego usta znalazły się pod

metrową warstwą śniegu.

Cztery gobliny leciały w luźnym szyku niczym cienie na tle rozgwieżdżonego nieba. Szybko wzniosły się na wysokość trzystu metrów, nie kryjąc się ze swoją obecnością. Nie atakowały, ale i nie uciekały, zawisły wędrowcom nad głowami.

–Gobliny – stęknął Bulwa, przykładając do ramienia karabin neutronowy Fairshoot. – Zbyt głupie, by żyć. Mogłyby nas wystrzelać jak kaczki.

Butler starannie wymierzył, rozstawiając nogi dla równowagi.

–Komendancie, mamy czekać, aż zobaczymy białka ich oczu?

–Oczy goblinów nie mają białek – odparł Bulwa. – Mimo to odłóżcie broń. Kapitan Nieduża i ja ogłuszmy ich. Nikt nie będzie umierał niepotrzebnie.

Butler schował sig sauera do kabury. Z tej odległości i tak w nic by nie trafił. Ciekawe, myślał, jak Holly i Bulwa poradzą sobie podczas wymiany ognia.

W końcu mieli w swoich rękach życie Artemisa. Już nie mówiąc o jego własnym życiu.

Spojrzał w bok. Holly i komendant równomiernie naciskali spusty swoich pistoletów, jednak bez widocznych skutków. Broń była martwa jak myszy w jamie węża.

–Nie rozumiem – mamrotał Bulwa. – Przecież sam je sprawdzałem!

Oczywiście, Artemis jako pierwszy odgadł, co się stało.

–Sabotaż – oznajmił, gramoląc się z zasy i strzepując śnieg z włosów. – Nie ma innej możliwości. Dlatego B'wa Kell potrzebowali Softnose'ów. Udało im się w jakiś sposób unieruchomić wasze lasery – dodał, odrzucając bezużyteczną broń wrózek.

Ale komendant ani Butler już go nie słuchali. Nie było czasu na sprytne dedukcje; przyszła pora na działanie. Stanowili idealny cel, ciemne punkty na jaśniejącym arktycznym śniegu. Teoria ta potwierdziła się, gdy kilka salw z Softnose'ów wypaliło dziury w śniegu pod ich stopami.

Holly uruchomiła system optyczny w kasku i powiększyła obraz wroga.

–Wygląda na to, że tylko jeden ma laser, sir. W każdym razie coś z długą lufą.

–Kryć się! Szybko!

–Tam! Nawis! Pod ścianą wąwozu! – dorzucił Butler.

Chwyciwszy podopiecznego za kołnierz, uniósł go lekko niczym kociaka, po czym brnąc w kopnym śniegu, ruszył w stronę schronienia.

Milion lat temu lód stopił się odrobinę i jego powierzchnia się zapadła, potem zaś znów zamarzała. Teraz, po upływie tysiącleci, owa zmarszczka mogła ocalić im życie.

Dali nura pod osłonę, czołgając się jak najbliżej ściany lodowca. Gruby lodowy baldachim nad nimi z łatwością wytrzymałby ogień dowolnej broni konwencjonalnej.

Oślaniając Artemisa, Butler zaryzykował spojrzenie w górę.

–Za daleko, nic nie widzę. Holly?

Kapitan Nieduża wystawiła głowę poza ośnieżoną krawędź i nastawiła system na powiększanie.

–No, co oni tam robią?

Holly poczekała, aż obraz się wyostrzy.

–Dziwne – mruknęła. – Wszyscy strzelają, ale...

–Ale co, pani kapitan? – dopytywał się Bulwa. Holly puknęła w kask, by się upewnić, że obiektyw działa.

–Możliwe, że system coś zniekształca, sir, ale wydaje mi się, że chybiają celowo i strzelają wysoko nad naszymi głowami.

Butler poczuł, jak tętno rozsadza mu głowę.

–To pułapka! – ryknął, sięgając za siebie i chwytając Artemisa. – Uciekać! Wszyscy uciekać!

I wtedy właśnie kanonada goblinów obluzowała fragment lodowca, śląc w dół pięćdziesięcotonową lawinę lodu, skały i śniegu.

Prawie im się udało. Oczywiście, prawie to za mało, aby wygrać choćby kubek ryb w gnomicką ruletkę. Gdyby nie Butler, nikt z nich by nie przeżył. Coś weń wstąpiło; doznał tajemniczego przyływu energii, podobnego do tej, która daje matkom siłę, by unosić pnie drzew, zwalone na ich dzieci. Niewiele myśląc, porwał Artemisa oraz Holly i co sił cisnął ich do przodu, aż zawirowali jak kamienie na zamrzniętym stawie. Niezbyt to elegancki sposób przemieszczania się, ale znacznie, znacznie przyjemniejszy niż narażanie kości na szwank pod miażdżącymi kawałami lodu.

Po raz drugi w ciągu kilku chwil Artemis wylądował nosem w zaspie. Butler i Bulwa za jego plecami gorączkowo usiłowali wydostać się spod nawisu, lecz ich buty

ślizgały się po gładkiej powierzchni. Wtem powietrzem wstrząsnął huk lawiny, lodowiec drgnął, pękł, a grube odłamki lodu i skał zagroziły niczym kraty wyjście z kryjówki. Butler i Bulwa znaleźli się w pułapce.

Holly poderwała się na nogi i popędziła ku swemu dowódcy. Ale cóż mogła zdziałać? Rzucić się z powrotem do szczeliny?

–Cofnijcie się, kapitan Nieduża – odezwał się głos Bulwy w mikrofonie. – To rozkaz!

–Komendancie – wydyszała Holly. – Pan żyje...

–Jakoś żyję – dobiegła ją odpowiedź. – Butler stracił przytomność, poza tym jesteśmy przygwożdżeni. Ten nawis zaraz się urwie. Opiera się tylko na rumowisku. Jeżeli usuniemy te kawałki, żeby się wydostać, to...

Ale przynajmniej żyli; byli uwięzieni, lecz żywi. Plan. Potrzebny był plan.

Holly ogarnął dziwny chłód. Z tego właśnie powodu tak świetnie sprawdzała się w terenie – kapitan Nieduża w chwilach stresu potrafiła podjąć konkretne, celowe działania, często wybierając jedyne skuteczne rozwiązanie. Kiedy podczas egzaminu na stopień kapitana musiała na symulatorze walczyć z przeważającymi siłami wroga, po prostu zniszczyła projektor. Z technicznego punktu widzenia pokonała wrogów, którzy zwyczajnie zniknęli. Komisja musiała uznać jej wynik.

Teraz powiedziała do mikrofonu w kasku:

–Komendancie, proszę się przypiąć do pasa Butlera. Zamierzam wyciągnąć was obu.

–Odbiór, Holly. Potrzebny ci hak?

–Jeżeli mi pan go stamtąd rzuci...

–Uwaga!

Spomiędzy lodowych kolumn wyleciał zaostrzony hak, ciągnący za sobą cienką, mocną linkę, i wbił się w śnieg metr od butów Holly.

Holly wpięła hak w zaczep u swego pasa i upewniła się, że linka układa się równo. Tymczasem Artemis już wygrzebał się z zasy.

–Twój pomysł jest nad wyraz idiotyczny – rzekł, wytrząsając śnieg z rękawów. – Nie uda ci się wyciągnąć ich obu tak szybko, by przełamać podpierające nawis sopele, zanim lód zwali im się na głowy. We dwóch za dużo ważą. To beznadziejne.

–Nie ja będę ich ciągnąć – warknęła Holly.

–A co?

Kapitan Nieduża wskazała na kręty tor, którym zbliżał się zielony pociąg.

–To – odparła.

Gobliny zostały trzy: D’Nall, Aymon i Nyle – trzech żółtodziobów, rywalizujących o zwolnione przed chwilą stanowisko porucznika. Porucznik Poll mimowolnie zrezygnował z pracy, stając zbyt blisko wywołanej przed siebie lawiny: pięciusetkilowa tafla przezroczystego lodu zgmiotła go niczym muchę.

Unosiły się na wysokości trzystu metrów, grubo poza zasięgiem ognia karabinowego. Broń wrózek, która dosięgłaby ich bez trudu, na szczęście chwilowo nie działała, po „unowocześnieniu” przez Laboratoria Kobi.

–Ale dziurę wybiło w poruczniku! – Aymon aż gwizdnął z wrażenia. – Widziałem przez niego na wylot! I wcale nie chodzi mi o to, że marnie zmyślał.

Gobliny rzadko nawiązywały bliskie stosunki – zważywszy, ile intryg, zawiści i bezinteresownej złości nieustannie lęgåło się w szeregach B’wa Kell, posiadanie przyjaciół niespecjalnie się opłacało.

–Jak myślicie? – zapytał D’Nall, uchodzący za przystojnego, względnie, rzecz jasna. – Może któryś z was by się tam przeleciał?

–Jeszcze czego! – parsknął Aymon. – Żeby ten duży nas załatwił? Masz nas za głupków czy co?

–Duży już wypadł z gry. Sam go załatwiłem. Strzał jak marzenie.

–To mój strzał uruchomił lawinę – zaprotestował Nyle, najmłodszy w grupie. – Zawsze przywłaszczasz sobie moje trupy.

–Jakie trupy? Jeden jedyny raz w życiu zabięś śmierdzącą glistę. W dodatku przez przypadek.

–Pleciesz – nadął się Nyle. – I tak miałem zamiar ją zatłuc. Wkurzała mnie.

Aymon rozdzielił kolegów.

–Dobra, dobra, spokojna łuska. Władujemy kilka serii w tych, co się uratowali, i po krzyku.

–Niezły plan, panie geniusz – zadrwił D’Nall. – Ale nic z tego.

–A to dlaczego?

D’Nall wskazał w dół wypielęgnowanym paznokciem.

–Bo właśnie wsiadają do tego pociągu.

Po torze z północy toczyły się cztery zielone wagony, ciągnięte przez starodawną spalinową lokomotywę. W ślad za nimi płynęły wirujące kłęby wzbudzonego przez pociąg śniegu.

Ocalenie, pomyślała Holly. Czyżby? Z jakiegoś powodu sam widok rozklekotanego wehikułu przyprawiał ją o kwaśny bulgot w żołądku. Ale nie mieli wyboru.

–Majak. Chemiczny pociąg-widmo – szepnął Artemis.

Holly zerknęła nań przez ramię. Chłopiec wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle. – Co?

–Obrońcy środowiska na całym świecie nazywają go Zielonym Pociągiem. To ironiczne określenie. Przewozi odpady uranu i plutonu do ponownego przetworzenia w Kombinacie Chemicznym Majak. Jeden maszynista, zamknięty w kabinie. Nie ma strażników. Załadowany do pełna i gorętszy niż atomowa łódź podwodna.

Holly poczuła, jak uranowe macki przenikają przeciwpromienny żel na jej policzkach. Zaiste, był to trujący pojazd. Ale stanowił jedyną szansę uratowania życia komendanta.

–Coraz lepiej, nie ma co – mruknęła pod nosem.

Pociąg zbliżał się nieubłaganie z jednostajną prędkością dziesięciu klików na godzinę. Holly musiała się do niego jakoś dostać. Gdyby była sama, z łatwością dałaby sobie radę, ale skok do jadącego wagonu z dwoma rannymi facetami i jednym bezużytecznym Błotnym Chłopakiem stanowił nie lada problem.

Poświęciła sekundę, by rzucić okiem w stronę goblinów. Nadal wisiały nieruchomo na wysokości trzystu metrów. Improwizacja nie należała do ich mocnych stron – pociąg stanowił dla nich niespodziankę i wymyślenie nowej strategii zajmie im co najmniej minutę, a dziura w zmarłym koledze zmusi ich do dalszego zastanowienia.

Wciąż czuła emanujące z wagonów promieniowanie, które wciskało się w najmniejszą lukę w żelu antyradiacyjnym i kłuło ją w gałki oczne. Wyczerpanie się czarodziejskiej mocy było tylko kwestią czasu – później czekało ją życie na kredyt.

Nie miała jednak czasu o tym myśleć. Przede wszystkim musiała wydostać stąd komendanta. Żywego. Skoro B’wa Kell w swej bezczelności odważyli się zaatakować SKR, oznaczało to, że pod ziemią szykuje się coś dużego. Cokolwiek to było, Juliusz Bulwa musiał poprowadzić kontratak.

–Dobra, Błotniaku – powiedziała, odwracając się do Artemisa. – Mamy tylko jedną szansę. Łap, co popadnie, i trzymaj się mocno!

Artemis nie zdołał ukryć drżenia niepokoju.

–Nie bój się, na pewno dasz sobie radę – pocieszyła go wróżka.

–Zimno tu – obraził się Artemis. – A kiedy jest zimno, ludzie się trzęsą.

–Zuch chłopak – odparła pani kapitan i zerwała się do biegu.

W ślad za nią rozwijała się rzucona przez Bulwę linka grubości żyłki wędkarskiej, która jednak z łatwością wytrzymała ciężar dwóch słoni. Artemis ruszył co sił w obutych w mokasyny nogach.

Biegli równolegle do toru, słysząc pod stopami chrzęst zmarzniętego śniegu. Z tyłu nadjeżdżał pociąg, pchając przed sobą falę powietrza. Artemis z trudnością nadażał za Holly. Stanowczo, to nie było zajęcie dla niego. Bieganie, pot, walka? Na litość boską! On tworzył plany. Organizował. Zarządzał. Zamęt rzeczywistych potyczek wolał zostawiać ludziom takim jak Butler. Ale tym razem służący nie mógł się nim zająć. I już nigdy się nim nie zajmie, jeśli nie uda im się wskoczyć do tego pociągu!

Chłopiec z trudem łapał oddech. Wydychane powietrze zamarzało mu przed oczami, utrudniało widzenie. Pociąg już ich doganiał, a jego stalowe koła krzeszały z torów snopy iskier i kawałki lodu.

–Drugi wagon – wykrztusiła Holly. – Jest stopień. Uważaj, jak będziesz skakał.

Stopień? Artemis spojrzał za siebie – drugi wagon zbliżał się w zawrotnym tempie. Od zgiełku żelastwa niemal oślepl. To niemożliwe, niesamowite, nieznośne... Tam, poniżej stalowych drzwi! Wąska deska. Dość szeroka, by na niej stanąć. Ledwie, ledwie.

Holly lekko wylądowała na stopniu i natychmiast przywarła do ściany wagonu. W jej wykonaniu wyglądało to tak łatwo. Mały skok i była bezpieczna, poza zasięgiem miażdżących kół.

–No, Fowl! – krzyknęła. – Skacz!

Artemis starał się, naprawdę. Ale w ostatniej chwili zawadził o podkład czubkiem buta. Poleciał na twarz, dla równowagi podpierając się rękami. Na jego spotkanie toczyła się bolesna śmierć.

–Dwie lewe nogi – mruknęła Holly, chwytając za kołnierz najbardziej nielubianego Błotnego Chłopca na świecie. Siła rozpędu poniosła Artemisa do przodu i

rozpłaszczyła o drzwi wagonu jak jakąś postać z filmu rysunkowego.

Linka przyczepiona do haka stuknęła o wagon i napięła się. Jeszcze kilka sekund, a Holly opuści stopień wagonu równie szybko, jak się na nim znalazła! Rozejrzała się za czymś, czego mogłaby się złapać. Pas Moonbelt rzeczywiście znacznie redukował ciężar Butlera i Bulwy, jednak szarpnięcie mogło być dość silne, by zerwać ją ze stopnia. A wówczas nic już ich nie uratuje.

Otoczyła ramieniem szczebel stalowej drabinki prowadzącej na dach. Zwróciła przy tym uwagę, że po rozdartym na łokciu kombinezonie biegają czarodziejskie isierki, przeciwdziałając szkodliwym skutkom radiacji. Na jak długo starczy jej magii w tych warunkach? Doprawdy, te nieustanne kuracje żadnej dziewczynie nie wyszłyby na dobre. Musi dopełnić odnawiającego moc Rytuału, im prędzej, tym lepiej.

Zamierzała właśnie odpiąć hak od pasa i przyczepić go do szczebla, gdy nagle linka naprężyła się i zwała ją z nóg. Ze wszystkich sił ścisnęła drabinkę, czując, jak paznokcie wbijają się jej w dłoń. Prawdę mówiąc, pomyślała, ten plan jeszcze wymaga dopracowania. Czas dziwnie się rozciągnął, elastyczny niczym gumka; Holly przez chwilę miała wrażenie, że łokieć wyskoczy jej ze stawu. Lecz wtem pękły lodowe sople, blokujące wyjście spod nawisu, i Butler z Bulwą wyskoczyli ze swego grobowca niczym strzała wystrzelona z łuku.

W mgnieniu oka znaleźli się przy pociągu, odbili się od boku wagonu i dzięki redukcji wagi zawisli nad torami. Chwilowo – Holly wiedziała bowiem, że za kilka sekund siła niewielkiej, lecz nieubłaganej grawitacji wepchnie ich pod stalowe obręcze kół.

Artemis przywarł do szczebla obok niej.

–Mogę jakoś pomóc?

Skinęła głową w stronę kieszeni na ramieniu.

–Tam. Fiolka. Wyjmij.

Artemis oderwał rzep i wyciągnął z kieszonki maleńką butelkę z rozpylaczem.

–W porządku, mam.

–Dobra, Fowl, teraz wszystko zależy od ciebie. Na górę.

–Na górę...? – Artemis rozdziawił usta.

–Tak. To nasza jedyna nadzieja. Musimy otworzyć wagon i wciągnąć Butlera oraz komendanta do środka. Za dwa kliki tor zakręca. Jeśli pociąg choć trochę zwolni,

będzie po nich.

–Fiolka? – Artemis pokiwał głową ze zrozumieniem.

–Kwas. Do zamka. Mechanizm jest wewnątrz. Zakryj twarz i zużyj cały pojemnik. Tylko się nie ochłap.

Zważywszy na okoliczności, rozmowa ta trwała już zbyt długo. Każda sekunda była na wagę złota. Toteż Artemis nie tracił czasu na pożegnania.

Podciągnął się na wyższy szczebel drabinki i przywarł całym ciałem do ściany wagonu. Wiatr szalał wzdłuż pociągu, a każdy jego poryw niósł drobiny lodu, których ukąszenia przypominały żądła pszczoł. Jednak pomimo mrozu Artemis szczekającymi zębami ściągnął rękawice. Lepsze odmrożenie niż śmierć pod kołami.

Ruszył do góry, szczebel po szczeblu, aż wreszcie jego głowa znalazła się ponad wagonem. Tu nie miał już osłony przed wiatrem. Silny podmuch uderzył go w czoło i przemocą wdarł się do gardła. Mrużąc oczy przed zawieją, Artemis rozejrzał się po dachu. Tam! Na samym środku! Świetlik! Otoczony stalową gładzią, bez najmniejszego uchwytu w promieniu kilku metrów. Tu nawet siła nosorożca nic by nie dała. Nareszcie miał okazję użyć rozumu. Zadanie z kinetyki i pędu było bardzo proste – teoretycznie.

Trzymając się przedniej krawędzi wagonu, Artemis powoli wczołgał się na dach. Wiatr wśliznął się pod jego tułów, uniósł go o pięć centymetrów do góry i niemal oderwał od pociągu.

Chłopiec zacisnął dłonie na metalowej krawędzi. Jego palce nie bardzo nadawały się do chwytania czegokolwiek, prawdę mówiąc, przez ostatnie kilka miesięcy chwyciły jedynie telefon komórkowy. Co innego, gdyby potrzebny był ktoś, kto przepisze *Raj utracony* Milтона w czasie poniżej dwudziestu minut – wówczas Artemis świetnie by się nadawał. Ale trzymanie się dachu wagonu podczas zawiei śnieżnej?

Beznadziejna sprawa. Jednak, na szczęście, na tym właśnie polegał plan.

Czując, że za ułamek sekundy pękną mu palce, Artemis puścił krawędź wagonu i znoszony po gładkim dachu, znalazł się wprost nad wklęsłą metalową obudową świetlika.

Doskonale, byłby mruknął, gdyby miał w płucach choć centymetr sześcienny powietrza. Nieważne – zawieja i tak porwałaby jego słowa, zanim zdołałby je usłyszeć. Czas naglił; wiatr tylko czekał, by wbić w chłopca lodowate palce i rzucić go na śnieżne pola w charakterze mięsa armatniego dla goblinów.

Niezdarnie wydobyl z kieszeni fiolkę z kwasem i zmiażdżył jej czubek zębami. Kropla

kwasy niemal wpadła mu do oka, jednak nie miał czasu się tym przejmować. Właściwie, w ogóle nie miał już czasu.

Wpuścił dwie krople kwasu do otworu dużej kłódki, zamykającej świetlik. Tylko tyle mógł poświęcić. To musiało wystarczyć.

Skutek był natychmiastowy. Kwas przeżarł metal niczym rozpalona lawa, przenikająca przez warstwę lodu. Wiadomo, produkt wróżek, najlepsza technologia na świecie.

Kłódka z brzękiem odskoczyła i świetlik ustąpił pod naporem wiatru. Artemis wpadł do środka, lądując na palecie beczek. Doprawdy, w tej chwili w niczym nie przypominał dzielnego ratownika.

Kolejne szarpnięcie zrzuciło Artemisa z palety. Lądując na wznak, ujrzał przed sobą nadrukowane na beczkach trójkątne znaki ostrzegające przed promieniowaniem. Dobrze przynajmniej, że są zamknięte, pomyślał, choć niektóre pojemniki już zaczynały rdzewieć.

Przetoczył się po metalowych płytach podłogi, dotarł do drzwi i klęknął. Czy kapitan Nieduża wciąż wisi na szczeblu po drugiej stronie? A może został sam? Naprawdę sam, po raz pierwszy w życiu?

–Fowl! Otwórz wreszcie te drzwi, ty błotny bladawcze!

Cóż. Na razie samotność mu nie groziła.

Zakrywając twarz przedramieniem, zalał potrójną zasuwę kwasem wróżek. Stalowy zamek w mgnieniu oka stopił się i spłynął na podłogę niczym strumyk rtęci. Artemis odsunął na bok ciężkie drzwi.

Holly kurczowo trzymała się drabinki. W miejscu, gdzie radiacja przegryzła się przez żel, z jej twarzy unosiła się para.

Artemis chwycił ją za pas.

–Liczę do trzech!

Wróżka skinęła głową. Nie miała już siły mówić.

Artemis rozprostował dłonie. Palce, nie zawiedźcie mnie teraz! Obiecał sobie, że jeśli wyjdzie cało z tej awantury, kupi jeden z tych kretyńskich domowych zestawów gimnastycznych, które reklamowano w telewizji.

–Raz.

Zakręcił był coraz bliżej. Widział go kątem oka. Pociąg musiał zwolnić, żeby się nie wykoleić.

–Dwa.

Kapitan Nieduża całkiem opadła z sił. Wiatr łopotał nią niczym chorągiewką.

–Trzy!

Artemis pociągnął ją ku sobie co sił w chudych ramionach. Holly zamknęła oczy. Nie do wiary, że powierza swoje życie temu Błotniakowi!

Artemis wiedział coś o prawach fizyki i w obliczeniach wziął pod uwagę kierunek, pęd i ruch pociągu. Ale w przyrodzie zawsze dzieje się coś, czego nie da się przewidzieć. W tym wypadku owym czymś była niewielka przerwa między odcinkami szyn. Nie tak duża, by wykoleić lokomotywę, lecz z pewnością dość duża, by spowodować wstrząs.

Ruchome stalowe drzwi drgnęły i zatrzasnęły się z siłą pięciotonowej gilotyny. Holly chyba zdążyła znaleźć się w środku; Artemis nie mógł w pełni ocenić sytuacji, gdyż wróżka upadła wprost na niego. Oboje wylądowali na drewnianej platformie, jednakże wszystko wskazywało na to, że Holly jest w jednym kawałku. Jej głowa niewątpliwie nadal stanowiła całość z tułowiem. Niemniej straciła przytomność, zapewne z wysiłku.

Artemis czuł, że sam jest bliski omdlenia. Wskazywała na to ciemna plama, która rozprzestrzeniła się na skraju jego pola widzenia niczym złośliwy wirus komputerowy. Osunął się na bok i opadł na pierś Holly.

Zdarzenie to miało większe skutki, niż mogłoby się na pozór zdawać. Ponieważ Holly była nieprzytomna, jej czarodziejska moc zaczęła działać samoczynnie – a musicie wiedzieć, że magia bez nadzoru płynie niczym prąd elektryczny. Toteż gdy twarz Artemisa spoczęła na lewej dłoni wróżki, strużka błękitnych iskier zmieniła kierunek. I Artemis na tym skorzystał – ale nie Holly. Albowiem, choć chłopiec o tym nie wiedział, Holly potrzebowała każdej magicznej iskierki, którą dysponowała, gdyż jednak nie znalazła się w pociągu w całości.

Komendant Bulwa właśnie uruchomił w locie bęben, automatycznie zwijający linkę przyczepioną do haka, gdy coś niespodzianie dźgnęło go w oko.

Goblin D’Nall wyjął z kieszeni małe prostokątne lusterko i sprawdził, czy jego łuski nie są potargane.

–Te skrzydła Koboi są super! Myślisz, że pozwolą nam je zatrzymać?

Aymon skrzywił się. Co prawda, nie rzucało się to w oczy; jaszczurczy przodkowie goblinów nie przekazali im w spadku zbyt urozmaiconego repertuaru min.

–Zamknij się, ty ciepłokrwisty kretynie! Ciepłokrwisty. To poważna obelga dla kogoś z B'wa Kell.

D'Nall nastroszył się.

–Uważaj, kolego, bo wyrwę ci z paszczy ten rozdwojony jęzor!

–Wszyscy stracimy jęzory, jeśli te elfy nam uciekną! – odparował Aymon.

To prawda. Generałowie nie lubili niepowodzeń.

–Więc co robimy? To ja mam urodę w tym interesie. Co oznacza, że wy musicie mieć rozum.

–Strzelamy do pociągu. To proste – zaproponował Nyle.

D'Nall poprawił DoubleDexy i podleciał do najmłodszego członka oddziału.

–Idioto! – rzekł, wymierzając mu ostre uderzenie w tył głowy. – Ten cholerny pociąg jest radioaktywny, nie czujesz? Jedna zbłąkana seria i wszyscy zamienimy się w unoszony wiatrem popiół.

–Słuszna racja – przyznał Nyle. – Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.

–Dziękuję.

–Proszę bardzo.

Aymon zmniejszył obroty i zszedł na wysokość stu pięćdziesięciu metrów. Pokusa była wielka. Jedna dobrze wymierzona seria w przywartą do wagonu wrózkę, druga, żeby załatwić człowieka na dachu... Ale nie mógł ryzykować. Wystarczy, że odrobinę chybi celu, a już nigdy nie spożyje spaghetti z dżdżownic.

–Okej – oznajmił do mikrofonu w hełmie. – Plan jest taki. Przy tym promieniowaniu nieprzyjacieli za kilka chwil i tak będzie martwy. Przez jakiś czas polecimy za pociągiem, a jak będziemy mieli pewność, że nie żyją, wrócimy i powiemy generałom, że widzieliśmy ciała w beczkach, trójkątne znaki ostrzegające przed promieniowaniem. Dobrze przynajmniej, że są zamknięte, pomyślał, choć niektóre pojemniki już zaczynały rdzewieć.

Przetoczył się po metalowych płytach podłogi, dotarł do drzwi i klęknął. Czy kapitan Nieduża wciąż wisi na szczeblu po drugiej stronie? A może został sam? Naprawdę sam, po raz pierwszy w życiu?

–Fowl! Otwórz wreszcie te drzwi, ty błotny bladawcze!

Cóż. Na razie samotność mu nie groziła.

Zakrywając twarz przedramieniem, zalał potrójną zasuwę kwasem wrózek. Stalowy zamek w mgnieniu oka stopił się i spłynął na podłogę niczym strumyk rtęci. Artemis odsunął na bok ciężkie drzwi.

Holly kurczowo trzymała się drabinki. W miejscu, gdzie radiacja przegryzła się przez żel, z jej twarzy unosiła się para.

Artemis chwycił ją za pas.

–Liczę do trzech!

Wróżka skinęła głową. Nie miała już siły mówić.

Artemis rozprostował dłonie. Palce, nie zawiedźcie mnie teraz! Obiecał sobie, że jeśli wyjdzie cało z tej awantury, kupi jeden z tych kretyńskich domowych zestawów gimnastycznych, które reklamowano w telewizji.

–Raz.

Zakręt był coraz bliżej. Widział go kątem oka. Pociąg musiał zwolnić, żeby się nie wykoleić.

–Dwa.

Kapitan Nieduża całkiem opadła z sił. Wiatr łopotał nią niczym chorągiewką.

–Trzy!

Artemis pociągnął ją ku sobie co sił w chudych ramionach. Holly zamknęła oczy. Nie do wiary, że powierza swoje życie temu Błotniakowi!

Artemis wiedział coś o prawach fizyki i w obliczeniach wziął pod uwagę kierunek, pęd i ruch pociągu. Ale w przyrodzie zawsze dzieje się coś, czego nie da się przewidzieć. W tym wypadku owym czymś była niewielka przerwa między odcinkami szyn. Nie tak duża, by wykoleić lokomotywę, lecz z pewnością dość duża, by spowodować wstrząs.

Ruchome stalowe drzwi drgnęły i zatrzasnęły się z siłą pięciotonowej gilotyny. Holly chyba zdążyła znaleźć się w środku; Artemis nie mógł w pełni ocenić sytuacji, gdyż wróżka upadła wprost na niego. Oboje wylądowali na drewnianej platformie, jednakże wszystko wskazywało na to, że Holly jest w jednym kawałku. Jej głowa niewątpliwie nadal stanowiła całość z tułowiem. Niemniej straciła przytomność, zapewne z

wysiłku.

Artemis czuł, że sam jest bliski omdlenia. Wskazywała na to ciemna plama, która rozprzestrzeniała się na skraju jego pola widzenia niczym złośliwy wirus komputerowy. Osunął się na bok i opadł na pierś Holly.

Zdarzenie to miało większe skutki, niż mogłoby się na pozór zdawać. Ponieważ Holly była nieprzytomna, jej czarodziejska moc zaczęła działać samoczynnie – a musicie wiedzieć, że magia bez nadzoru płynie niczym prąd elektryczny. Toteż gdy twarz Artemisa spoczęła na lewej dłoni wróżki, strużka błękitnych iskier zmieniła kierunek. I Artemis na tym skorzystał – ale nie Holly. Albowiem, choć chłopiec o tym nie wiedział, Holly potrzebowała każdej magicznej iskierki, którą dysponowała, gdyż jednak nie znalazła się w pociągu w całości.

Komendant Bulwa właśnie uruchomił w locie bęben, automatycznie zwijający linkę przyczepioną do haka, gdy cos' niespodzianie dźgnęło go w oko.

Goblin D'Nall wyjął z kieszeni małe prostokątne lustro i sprawdził, czy jego łuski nie są potargane.

–Te skrzydła Koboi są super! Myślisz, że pozwolą nam je zatrzymać?

Aymon skrzywił się. Co prawda, nie rzucało się to w oczy; jaszczurczy przodkowie goblinów nie przekazali im w spadku zbyt urozmaiconego repertuaru min.

–Zamknij się, ty ciepłokrwisty kretynie! Ciepłokrwisty. To poważna obelga dla kogoś z B'wa Kell.

D'Nall nastroszył się.

–Uważaj, kolego, bo wyrwę ci z paszczy ten rozdwojony jęzor!

–Wszyscy stracimy jęzory, jeśli te elfy nam uciekną! – odparował Aymon.

To prawda. Generałowie nie lubili niepowodzeń.

–Więc co robimy? To ja mam urodę w tym interesie. Co oznacza, że wy musicie mieć rozum.

–Strzelamy do pociągu. To proste – zaproponował Nyle.

D'Nall poprawił DoubleDexy i podleciał do najmłodszego członka oddziału.

–Idioto! – rzekł, wymierzając mu ostre uderzenie w tył głowy. – Ten cholerny pociąg jest radioaktywny, nie czujesz? Jedna zbłąkana seria i wszyscy zamienimy się w unoszony wiatrem popiół.

–Słuszna racja – przyznał Nyle. – Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.

–Dziękuję.

–Proszę bardzo.

Aymon zmniejszył obroty i zszedł na wysokość stu pięćdziesięciu metrów. Pokusa była wielka. Jedna dobrze wymierzona seria w przywartą do wagonu wrózkę, druga, żeby załatwić człowieka na dachu... Ale nie mógł ryzykować. Wystarczy, że odrobinę chybi celu, a już nigdy nie spożyje spaghetti z dżdżownic.

–Okej – oznajmił do mikrofonu w hełmie. – Plan jest taki. Przy tym promieniowaniu nieprzyjacieli za kilka chwil i tak będzie martwy. Przez jakiś czas polecimy za pociągiem, a jak będziemy mieli pewność, że nie żyją, wrócimy i powiemy generałom, że widzieliśmy ciała.

D’Nall podleciał do niego z bzyczeniem.

–Obejrzymy ciała?

–Oczywiście, że nie, ty durniu! – jęknął Aymon. – Chcesz, żeby oczy ci wyschły i wypadły z głowy?

–Ee...

–No, właśnie. Wszystko jasne?

–Kryształowo – rzekł Nyle, wyciągając ręczny pistolet Softnose Redboy. Koledzy nie mieli najmniejszych szans. Strzelił do nich z tyłu, z bliskiej odległości, a następnie prześledził ich spadanie, maksymalnie powiększając obraz celownika. Za kilka minut znajdą się pod śniegiem, pomyślał. Nikt ich nie odkryje, aż lód stopnieje na biegunach.

Umieścił broń w kaburze i wklepał do komputera sterującego lotem współrzędne terminalu promowego. Gdyby ktoś w tej chwili przyjrzał się jego gadziemu obliczu, być może dojrzałby na nim ślad uśmiechu. Do miasta przybywał nowy porucznik.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Niebezpieczna Oaza

Komenda Policji, boks operacyjny

Ogierek siedział przed głównym komputerem SKR, czekając na wyniki ostatniego przeszukiwania. Staranny laserowy przegląd statku goblinów ujawnił dwa odciski palców, pełny i częściowy. Pełny odcisk należał do samego Ogierka, w czym nie było nic dziwnego, gdyż centaur w swoim czasie osobiście obejrzał wszystkie części wahadłowców wykorzystane w konstrukcji. Częściowy odcisk wszakże mógł mu wskazać zdrajcę. Jeżeli, myślał centaur, nie zdoła jednoznacznie zidentyfikować wróżki, która przekazywała technologię SKR triadzie B'wa Kell, to przynajmniej na tej podstawie oddzieli niewinnych od podejrzanych. Następnie sprawdzi, kto z tych drugich miał dostęp do złomowanych części promów, i otrzyma krótką listę nazwisk. Zadowolony z siebie Ogierek aż machnął ogonem. Czysty geniusz. Doprawdy, co komu po fałszywej skromności?

Komputer mozolnie przeglądał akta personalne, usiłując dopasować niekompletny odcisk palca do istniejących danych. Ogierkowi pozostało jedynie przebieranie palcami i czekanie na kontakt z oddziałem na powierzchni. Wybuchy magmy wciąż zakłócały komunikację. W gruncie rzeczy, to dziwne. Dziwne i nader niefortunne.

Podejrzliwe rozmyślania Ogierka przerwał znajomy głos.

–Przeszukiwanie zakończone – oznajmił komputer falsetem centaura. Kolejny drobny przejaw próżności. – Trzysta czterdzieści sześć osób wyeliminowanych. Zostało czterdzieści możliwych.

Czterdzieści. Całkiem nieźle. Nietrudno będzie je przesłuchać. Znow okazja, by skorzystać z Retimagera. Istniał jednak sposób, by dodatkowo zawęzić pole poszukiwań.

–Porównaj otrzymane wyniki z nazwiskami osób mających dostęp do informacji o trzecim stopniu tajności.

Trzeci stopień obejmował wszystkich, którzy mogli uczestniczyć w przetopie złomowanych części.

Oczywiście, komputer akceptował polecenia wyłącznie tych wróżek, których głosy umiał rozpoznać. Ogierek osobiście wprowadził do niego wzorce akustyczne. Ponadto podwójnie się zabezpieczył, kodując swoje osobiste pliki i inne ważne informacje w Centauri, języku programowania, bazującym na dawnej mowie

centaurów.

Wszystkie centaury cierpiały na lekką paranoję. Miały ku temu powody, gdyż została ich przy życiu niecała setka. Ludziom udało się całkowicie wybić ich krewnych, jednorożce. Zaledwie sześć centaurów mieszkających pod ziemią rozumiało starożytny język, a kod programu potrafił odczytać tylko jeden z nich.

Centauriański, który prawdopodobnie stanowił najstarszą formę pisma, powstał dziesięć tysięcy lat temu, w czasach, gdy ludzie zaczynali dopiero polować na wróżki. W akapicie otwierającym *Zwój z Capalla*, jedyny istniejący iluminowany manuskrypt centaurów, napisano:

Posłuchajcie, wróżki, tego ostrzeżenia, Gdyż dla ludzi domem odtąd będzie Ziemia, Idź więc, dziecko magii, ukryj swe istnienie, I w głębinach Ziemi znajdź sobie schronienie.

Centaury słynęły z intelektu, nie z talentów poetyckich, niemniej Ogierek miał wrażenie, że powyższe słowa są równie aktualne dzisiaj, jak przed wiekami.

W pancerną szybę pomieszczenia zastukał Pałka. Zasadniczo nie miał wstępu do boksu operacyjnego, ale Ogierek nie umiał się oprzeć pokusie, by dokuczyć byłemu komendantowi, i nacisnął brzączyk otwierający drzwi.

Po nieudanej próbie zastąpienia Bulwy na stanowisku dowódcy SKRZAT Pałka został zdegradowany do rangi porucznika i gdyby nie znaczne wpływy polityczne jego rodziny, w ogóle wyrzucono by go ze służby. Niewykluczone zresztą, że lepiej by mu się wiodło w jakiejś innej pracy; przynajmniej nie musiałby znosić nieustannych kpin Ogierka.

–Mam kilka e-maili do podpisu – powiedział Pałka, unikając kontaktu wzrokowego.

–Proszę bardzo, komendancie – zachichotał centaur. – Jak się rozwija spisek? Zaplanowałaś jakieś rewolucje na dziś wieczór?

–Po prostu podpisz tutaj, proszę – rzekł Pałka, podając mu cyfrowe pióro. Ręka mu dygotała.

Zdumiewające, pomyślał Ogierek. Pomyśleć, że ten strzęp człowieka kiedyś należał do elity SKR!

–Nie, Pałka, poważnie. Świetnie sobie radzisz z tym podsuwaniem formularzy do podpisu.

Żrenice Pałki zwężyły się podejrzliwie.

–Dziękuję, sir.

Kącki ust Ogierka zadrżały od powstrzymanego śmiechu.

–Proszę bardzo. Tylko nie spuchnij z dumy.

Pałka odruchowo pomacał zniekształcone czoło. Pozostały w nim jeszcze resztki dawnej próżności.

–Ach, przepraszam. To drażliwy temat – ciągnął centaur bezlitośnie.

W oku Pałki pojawił się błysk, który powinien był ostrzec Ogierka. Ale w tym momencie jego uwagę odwrócił pisk komputera.

–Lista zakończona.

–Przepraszam na chwilę, komendancie, ale mam tu ważną sprawę. Komputerową. I tak nic nie zrozumiesz.

Ogierek odwrócił się do plazmowego ekranu. Porucznik po prostu będzie musiał poczekać na podpis. Pewnie i tak chodzi tylko o zamówienie na części do wahadłowca.

I wtedy do niego dotarło. W jego umyśle rozległ się dzwon alarmowy, głośniejszy niż brzęk portek krasnala odbitego od ściany. Części wahadłowca! Robota od wewnątrz! Osobnik targany żądzą odwetu! Pot zalał wszystkie zmarszczki na czole Ogierka. Przez cały czas odpowiedź miał pod nosem!

Spojrzał na ekran, szukając potwierdzenia tego, co już wiedział. Widniały tam tylko dwa nazwiska. Pierwsze, Bom Armurek, mógł od razu pominąć, należało bowiem do funkcjonariusza SKR, który zginął podczas nurkowania do jądra ziemi. Drugie pulsowało łagodnie. Porucznik Wrzosiec Pałka. Zdegradowany i skierowany do przetwarzania odpadów wtórnych mniej więcej wtedy, gdy Holly wymieniała silnik z prawej burty. Wszystko się zgadzało.

Wiedział, że jeśli w ciągu dziesięciu sekund nie potwierdzi, iż otrzymał informację, komputer głośno odczyta nazwisko winowajcy.

–Wiesz co, Wrzosiec – wyskrzecztał, od niechcienia naciskając klawisz „usuń” – te żarciki na temat twojej głowy... To tylko zabawa. W taki sposób wyrażam współczucie. Mam taką maść...

Poczuł na karku nacisk czegoś zimnego i metalowego. Od razu domyślił się, co to jest – w swoim życiu widział zbyt wiele filmów strzelano-kopanych.

–Daruj sobie maść, osiołku – odezwał się głos Pałki nad jego uchem. – Mam przecucie, że za chwilę sam będziesz miał problem z głową.

Pociąg chemiczny Majak, północna Rosja.

Pierwszą rzeczą, jaką poczuł Artemis, były rytmiczne szarpnięcia kręgosłupa. Jestem w uzdrowisku Blackrock i Irina masuje mi plecy, pomyślał. Tego mi właśnie potrzeba, zwłaszcza po wyczynach w pociągu... Pociąg!

Najwyraźniej nadal znajdowali się w pociągu-widmie, źródłem wstrząsów zaś był wagon, podskakujący na łączach torów. Artemis zmusił się do otwarcia oczu. Oczekiwał gargantuicznego bólu i zeszywnienia mięśni, jednak prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że czuje się dobrze – więcej niż dobrze, świetnie!

To musiała być magia. Zapewne Holly wykurowała jego liczne skaleczenia i sińce, kiedy był nieprzytomny. Niestety, nikt oprócz niego nie czuł się zbyt świeżo. Zwłaszcza kapitan Nieduża nadal wyglądała marnie. Wciąż była nieprzytomna, a komendant Bulwa troskliwie otulał ją obszernym płaszczem.

–A, ocknąłeś się wreszcie, co? – powiedział, nie obdarzywszy Artemisa nawet spojrzeniem. – Nie wiem, jak możesz spać po tym, co zrobiłeś.

–Co zrobiłem? Przecież uratowałem ci... a przynajmniej pomogłem.

–Pomogłeś, szkoda gadać! Owszem, pomogłeś, ale tylko sobie! Wyssałeś z nieprzytomnej Holly resztki magii!

Artemis jęknął. To musiało się stać, kiedy upadł. Czarodziejska moc wróżki w jakiś sposób zmieniła adresata.

–Rozumiem, jak to się stało. To był... Bulwa ostrzegawczo podniósł palec.

–Lepiej nic nie mów. Jak to? Myślałem, że wielki Artemis Fowl nie robi nic przypadkowo!

Walcząc z ruchem pociągu, Artemis podniósł się i uklęknął.

–To chyba nic poważnego? Tylko wyczerpanie? Nagle twarz Bulwy znalazła się tuż przed jego nosem. Była tak czerwona, że niemal promieniowała gorącem.

–Nic poważnego! – komendant aż się zachłysnął. – Nic poważnego! Straciła palec wskazujący! Palec, którym naciska spust! Drzwi obcięły go jak nożem! Koniec kariery! A jeszcze przez ciebie zabrakło jej czarodziejskiej mocy i niemal wykrwawiła się na śmierć! Nie ma w niej nic! Jest pusta!

–Straciła palec? – powtórzył tępo Artemis.

–No, nie całkiem – odparł komendant, wymachując odciętą częścią ciała Holly. – Dziabnął mnie w oko, kiedy przelatywałem obok.

Faktycznie, jego oko zaczynało już nabierać śliwkowej barwy.

–Może gdybyśmy od razu wrócili, to wasi chirurdzy umieliby go przyszyć?

Bulwa pokręcił głową.

–Sam bardzo chciałbym wrócić! Niestety, coś mi mówi, że sytuacja pod ziemią trochę się zmieniła od naszego wyjazdu. Skoro gobliny wysłały za nami oddział zabójców, mogę się założyć, że na dole dzieje się coś poważnego.

Artemis był wstrząśnięty. Holly uratowała życie im wszystkim, i proszę, jak się jej zrewanżował! Rzeczywiście, nie ponosił bezpośredniej winy za jej zranienie, pojmował jednak, że wróżka została ranna, ponieważ próbowała ratować jego ojca. Miał wobec niej dług wdzięczności.

–Kiedy? – zapytał krótko. – Co?

–Kiedy to się stało?

–Nie wiem. Może minutę temu.

–To jeszcze jest czas.

Komendant wyprostował się.

–Czas na co?

–Możemy uratować jej palec.

Bulwa potarł świeżą bliznę na ramieniu, pamiątkę z podróży na lince obok pociągu.

–W jaki sposób? Została mi zaledwie odrobina mocy. Ledwie wystarczy na mesmeryzację.

Artemis zamknął oczy i spróbował się skupić.

–A Rytuał? Musi być jakiś sposób.

Wszelka moc Małego Ludu pochodziła z ziemi i jego członkowie od czasu do czasu musieli wykonać Rytuał, żeby ją uzupełnić.

–Jak mamy tutaj dopełnić Rytuału?!

Artemis wyteżył pamięć. Przygotowując się do operacji porwania w zeszłym roku, przyswoił sobie duże fragmenty świętej Księgi wróżek.

***Twa moc tajemna z ziemi się wywodzi, Wdzięczność okazać tedy ci się godzi.
Nasienie z ziemi podnieś – to rzecz święta – I zakop je, gdzie dąb i rzeczka kręta,
Gdy pełny księżyc zjawi się na niebie, I tak dar ziemi w ziemię zwróć w potrzebie.***

Pośpiesznie podczołgał się do Holly i jął obmacywać jej kombinezon.

Bulwie omal nie wysiadło serce.

–Błotniaku, co robisz, na litość boską!? Artemis nawet nań nie spojrział.

–W zeszłym roku Holly udało się uciec, ponieważ miała przy sobie żołędź.

Komendant jakimś cudem zdołał się opanować.

–Masz pięć sekund! Gadaj!

–Dobra policjantka, taka jak Holly, musiała o tym pamiętać. Mogę się założyć...

Bulwa westchnął.

–Niezły pomysł, Błotny Chłopcze. Niestety, żołędź musi być świeża. Ta zeszłoroczna nie pomogłaby Holly, gdyby nie zatrzymanie czasu. Żołędzie wytrzymują najwyżej dwa dni. Wiem, że oboje z Ogierkiem mieli pomysł, by utworzyć oddział specjalny, wyposażony w hermetycznie zamknięte żołędzie, ale Rada go odrzuciła. Podobno to herezja.

Była to długa wypowiedź jak na komendanta Bulwę, który nie zwykł się przed nikim tłumaczyć. Lecz w głębi jego serca kołatała się resztką nadziei. A może... może... Holly nigdy nic sobie nie robiła z zakazów i nakazów.

Artemis rozpiął kombinezon Holly. Na złotym łańcuszku na jej szyi wisiały dwa maleńkie przedmioty: osobisty egzemplarz świętej Księgi wróżek – Artemis wiedział, że stanie w płomieniach, jeśli spróbuje go dotknąć bez zezwolenia właścicielki – oraz... oraz mała kulka z pleksiglasu, wypełniona ziemią.

–To wbrew przepisom – powiedział Bulwa, niezbyt przejęty tym faktem.

Holly poruszyła się i oprzytomniała nieco.

–Hej, komendancie. Co się stało z pańskim okiem?

Nie zwracając na nią uwagi, Artemis roztrzaskał kulkę o podłogę wagonu i wysypał na dłoń szczyptę ziemi oraz małą żołądź.

–Teraz musimy tylko ją zakopać.

Komendant przerzucił Holly przez ramię. Artemis wolał nie patrzeć w miejsce, gdzie kiedyś znajdował się palec wskazujący wróżki.

–No, to pora, byśmy opuścili ten pociąg – rzekł komendant.

Chłopiec zerknął na krajobraz Arktyki, migający za otwartymi drzwiami. Opuśczenie pociągu mogło okazać się trudniejsze, niż się wydawało.

Ze świetlika zręcznie opuścił się Butler, który do tej pory przebywał na dachu, wypatrując oddziału goblinów.

–Miło mi widzieć cię w dobrej formie – rzekł Artemis sucho.

Służący uśmiechnął się.

–I ciebie też miło widzieć, Artemisie.

–No? Dostrzegłeś coś? – zapytał Bulwa, przerywając to czułe powitanie.

Butler położył dłoń na ramieniu chlebobdawcy. Na rozmowy przyjdzie czas później.

–Gobliny zginęły. Dziwna sprawa. Kiedy dwóch obniżyło lot, żeby się rozejrzeć, trzeci strzelił im w plecy.

–Walka o władzę – pokiwał głową Bulwa. – Najzawziętymi wrogami goblinów są one same. Ale teraz musimy natychmiast wysiąść z tego pociągu.

–Za pół klika jest kolejny zakręt – powiedział Butler. – To nasza jedyna szansa.

–Jak mamy wysiąść, twoim zdaniem? – zapytał Artemis.

Butler wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Słowo „wysiąść” nie najlepiej oddaje to, co mam na myśli.

Artemis jęknął. Znowu będzie musiał skakać i biegać.

Mózg Ogierka smażył się niczym tłusty ślimak w głębokim tłuszczu. Wciąż mógł się uratować, pod warunkiem, że Pałka go nie zastrzeli – jeden strzał i byłoby po wszystkim. Centaury nie miały ani krztyny czarodziejskich mocy, nic a nic. Radziły sobie wyłącznie dzięki szarym komórkom oraz wrodzonej umiejętności traktowania

wrogów. Ale Ogierek odniósł wrażenie, że Pałka jeszcze nie dojrzał, by się go pozbyć. Były komendant zbyt rozkoszował się zwycięstwem.

–No, Ogierek – zapytał Wrzosiec – czemu nie sięgniesz po mikrofon? Spróbuj, a zobaczysz, co się stanie.

Ogierek się domyślał.

–Nie ma obawy, Wrzosiec. Nie będzie żadnych gwałtownych ruchów.

Pałka roześmiał się, nagle uszczęśliwiony.

–Wrzosiec? To już mówimy sobie po imieniu, co? Pewnie dotarło do ciebie, w jakie bagno wpadłeś.

Istotnie, Ogierek właśnie zdał sobie sprawę z sytuacji. Za przyciemnioną, pancerną szybą krzżeli się technicy SKR, usiłując zdemaskować szpiega i nie zwracając najmniejszej uwagi na dramat, rozgrywający się o dwa metry dalej. Centaur widział ich i słyszał, ale oni jego nie.

Sam był sobie winien. Uparł się, by boks operacyjny zbudowano według jego paranoidalnych norm. Powstał przeszklony sześcian z tytanu z kuloodpornymi szybami, w którym nie było ani metra kabla, nawet optycznego. Żadna materialna więź nie łączyła boksu ze światem zewnętrznym. Niedostępna twierdza – chyba że ktoś sam otwierał drzwi, by obrzucić wyzwiskami dawnego wroga! Ogierek jęknął. Matka zawsze powtarzała, że zamiłowanie do pyskowania wpędzi go w kłopoty.

Lecz jeszcze nie wszystko przepadło. Miał kilka sztuczek w zapasie. Na przykład plazmową podłogę.

–Więc o co chodzi, Pałka? – zapytał, ukradkiem unosząc nieco kopyta nad kaflami posadzki. – Tylko proszę, nie mów, że o władzę nad światem.

Pałka wciąż się uśmiechał. To była jego wielka chwila.

–Nie wszystko naraz. Na razie Niższa Kraina mi wystarczy.

–Ale dlaczego?

W oczach Pałki zamigotał obłęd.

–Dlaczego? Masz czelność pytać, dlaczego? Byłem pupilkiem Rady! Za pięćdziesiąt lat byłbym przewodniczącym! I wtedy, przez tę cholerną sprawę Artemisa Fowla, w ciągu jednego dnia moje nadzieje prysły! Zostałem zdegradowany i zdeformowany! A to wszystko twoja wina, Ogierek! Twoja i Bulwy! Aby wrócić do łask Rady, muszę

skompromitować was obu, to jedyna droga! Ciebie obwinia o atak goblinów, Juliusz zginie zhańbiony, a na dokładkę dopadnę Artemisa Fowla. Nawet się nie spodziewałem tak nadzwyczajnego obrotu spraw.

–Naprawdę sądzisz, że pokonasz SKR z garstką goblinów uzbrojonych w lasery Softnose? – parsknął Ogierek z niedowierzaniem.

–Pokonać SKR? A po co miałbym to robić? Ja jestem bohaterem SKR! Albo niedługo nim zostanę! To ty skończysz jako czarny charakter w tym przedstawieniu!

–To się zobaczy, małpia mordo – rzekł Ogierek, naciskając przełącznik, wysyłający podczerwony sygnał do odbiornika w podłodze. Za pół sekundy ukryta warstwa plazmy się rozgrzeje, a za kolejne pół sekundy ładunek neutrinowy rozprzestrzeni się w niej niczym pożar prerii, rzucając o ścianę każdą osobę dotykającą podłogi. Teoretycznie.

–Nie mów? Plazmowa podłoga nie działa? – zachichotał zachwycony Pałka.

Ogierek się zasępił. Na chwilę. Następnie ostrożnie postawił kopyta na podłodze i nacisnął kolejny przycisk, uruchamiający laser aktywowany głosem. Pierwsza osoba, która się teraz odezwie, nieźle oberwie. Centaur wstrzymał oddech.

–Nici z plazmowej podłogi – ciągnął Pałka. – Nici z akustycznie uruchamianego lasera. Doprawdy, Ogierek, chyba się zaniedbałeś. Chociaż... wcale mnie to nie dziwi. Zawsze wiedziałem, że w końcu wylezie z ciebie osioł, którym przecież jesteś.

Wrzosiec opadł na obrotowy fotel i położył nogi na klawiaturze.

–No, już się domyśliłeś?

Ogierek zastanawiał się gorączkowo. Kto mógł to zrobić? Z pewnością nie Pałka, który był klasycznym technicznym analfabetą. Nie, tylko jedna osoba umiała złamać kod Centauri i zablokować zabezpieczenia boksu operacyjnego.

–Opal Koboï – wyszeptał. Pałka pogłaskał go po głowie.

–Właśnie. Podczas renowacji Opal umieściła tu kilka kamer szpiegowskich, a ty uprzejmie przetłumaczyłeś przed obiektywem kilka dokumentów z Centauri, w ten sposób dostarczając nam kodu. Przeprogramowanie systemu stało się dziecinnie łatwe. A co najzabawniejsze, zrobiliśmy to na rachunek Rady, Opal obciążyła ich nawet kosztem swoich kamer! W tej chwili B'wa Kell przygotowują atak na miasto. Wysiadły wszystkie środki obronne i komunikacyjne SKR, a za wszystko odpowiesz ty, mój koński przyjacielu. W końcu to ty zamknąłeś się w boksie operacyjnym w samym środku poważnego kryzysu.

–Nikt w to nie uwierzy!

–Ależ owszem, zwłaszcza kiedy wyłączysz zabezpieczenia SKR, w tym armaty DNA.

–Co zrobię raczej nieprędko.

Pałka obrócił w palcach czarnego, matowego pilota.

–Obawiam się, że nie masz już w tej sprawie nic do gadania. Opal rozebrała wszystkie twoje urządzenia i podłączyła je do tej ślicznotki.

–To znaczy... – Ogierek przełknął ślinę.

–Otóż to – rzekł Pałka. – Nic nie działa, chyba że to ja nacisnę guzik.

I rzeczywiście nacisnął. Nawet gdyby Ogierek miał refleks chochlika, nie zdążyłby podnieść do góry wszystkich kopyt. Szok plazmowy wyrzucił go ze specjalnego, obrotowego fotela i cisnął na podłogę.

Za kręgiem polarnym

Na polecenie Butlera Artemis i elfy przypięli się do jego pasa Moonbelt, po jednym do każdego zaczepu. Pokraczna grupa, podobna do pijanego kraba, przesunęła się ku drzwiom wagonu, unosząc się lekko w porywach wiatru.

Z punktu widzenia fizyki to proste, powtarzał sobie Artemis. Dzięki zmniejszonemu ciężeniu nie rozbijemy się o lód Arktyki. Jednak kiedy Bulwa wypchnął ich w ciemności nocy, pomimo logicznej perswazji nie umiał powstrzymać okrzyku przestachu. W późniejszych wspomnieniach zawsze starannie pomijał ten moment.

Pęd powietrza rzucił ich w głęboką zaspę daleko od torów. Na szczęście tuż przed lądowaniem Butler wyłączył urządzenie antygravitacyjne, inaczej odbiliby się od ziemi jak od powierzchni Księżyca.

Bulwa, który pierwszy odpiął się od pasa, jął garściami odrzucać śnieg, ale pod spodem napotkał tylko zbity lód.

–Nic z tego – powiedział. – Nie dam rady tego przebić.

Za plecami usłyszał szczęknięcie.

–Odsuń się – rzekł Butler, mierząc z pistoletu. Bulwa posłuchał, zasłaniając przedramieniem oczy. Odłamki lodu oślepiały równie skutecznie jak sześcioościenne gwoździe. Butler władował w lód cały magazynek, robiąc w nim płytką dziurę i przy okazji obsypując już przemoczonych kolegów mokrym lodowym miałem.

Jeszcze zanim opadł dym, Bulwa znalazł się w dziurze i jął gorączkowo sprawdzać rezultat. Nawet Butler wiedział, że Holly zostało zaledwie kilka sekund – musiała jak najszybciej dopełnić Rytuału, w przeciwnym razie nie da się już przyszyć palca. Nawet gdyby taka operacja była teraz możliwa.

Komendant szybko rozrzucił luźne kawały lodu, aż wreszcie pośród bieli ukazał się brązowy placek.

–Jest! – wychrypiał. – Ziemia!

Butler opuścił do dziury drgające ciało Holly. W jego potężnych ramionach wróżka wyglądała jak lalka, małeńka i bezwładna. Zaciskając palce podwładnej wokół nielegalnej żołądki, Bulwa wepchnął jej lewą dłoń w pooraną pociskami ziemię. Następnie odpiął od pasa rolkę taśmy i z grubsza przykleił jej palec we właściwym miejscu.

Dwaj ludzie i elf zamarli w oczekiwaniu.

–Może nic z tego nie będzie – mamrotał nerwowo Bulwa. – Zakonserwowana żołądź to całkiem nowy pomysł. Jeszcze niesprawdzony. Ten Ogierek i jego wynalazki! Ale zazwyczaj działają. Naprawdę.

Artemis położył dłoń na ramieniu komendanta. Tylko to przyszło mu do głowy. Pocieszanie innych nie należało do jego mocnych stron.

Pięć sekund. Dziesięć. Ciągłe nic.

Wtem...

–Patrzcie! – zawołał Artemis. – Iskierka! Pojedyncza błękitna skra leniwie powędrowała po krętej tętnicy wzdłuż ręki Holly, przebiegła po jej klatce piersiowej, wspięła się na spiczasty podbródek i zatonała w czole dokładnie między oczami.

–Odsuńcie się – doradził Bulwa. – Kiedyś w Tulsie widziałem uzdrowienie po dwóch minutach. Energia delikwenta niemal zniszczyła terminal promowy. A o czterominutowcu nigdy nie słyszałem.

W samą porę odsunęli się od krawędzi dziury, gdyż z ziemi wytrysnęły kolejne iskry. Kierowały się ku dłoni Holly, w miejsce najbardziej potrzebujące pomocy, po czym ginęły w okolicach palca, przenikając przez na poły stopioną taśmę jak plazmowe torpedy.

Nagle Holly wyprostowała się i zaczęła wymachiwać rękami niby kukielka. Jej nogi wierzgały, jakby kopiąc niewidzialnych przeciwników. Z krtani dobył się wysoki, piskliwy krzyk, od którego popękały cieńsze warstwy lodu.

–Czy to normalne? – wyszeptał Artemis, jakby w obawie, że Holly go usłyszy.

–Chyba tak – odparł komendant, również szeptem. – Mózg sprawdza, czy wszystkie układy są sprawne. To coś więcej niż leczenie sińców i zadrapań; rozumiesz, co mam na myśli.

Ciało Holly zaczęło parować na całej powierzchni, wydalając w ten sposób resztki promieniowania. Wreszcie miotana drgawkami wróżka upadła w kałużę lodowatej mazi. Nie był to piękny widok, na szczęście woda natychmiast wyparowała, okrywając panią kapitan białym obłokiem. Widać było tylko niewyraźny zarys jej lewej dłoni i rozpaczliwie dygocące palce.

Nagle Holly znieruchomiała. Ręka zwiotczała, palce opadły w błoto. Zebranych ponownie ogarnęła cisza arktycznej nocy.

Podeszli bliżej, usiłując coś dojrzeć w kłębach pary. Tylko Artemis na wszelki wypadek nie patrzył, bojąc się tego, co ujrzy.

Butler odetchnął głęboko i zamachał rękami. Mgła się rozstąpiła. W dziurze nic się nie poruszało. Holly leżała nieruchomo jak martwa.

Artemis pochylił się nad jej ciemną postacią.

–Chyba się bu...

Urwał w pół słowa. Holly wracała do przytomności. Nagle gwałtownie usiadła, potrząsając soplami, które przywarły do jej kasztanowych włosów i rzęs. Klatka piersiowa wróżki gwałtownie falowała od ogromnych haustów powietrza.

Artemis chwycił ją za ramiona, zapominając na chwilę o swym bezwzględny opanowaniu.

–Holly, Holly, powiedz coś. Twój palec w porządku?

Wróżka poruszyła palcami i zacisnęła je w pięść.

–Chyba tak – odparła niepewnie, po czym zdzieliła Artemisa prosto między oczy. Zdumiony chłopiec wpadł w zaspę po raz trzeci tego dnia.

Holly puściła oko do zdumionego Butlera, po czym oznajmiła:

–Teraz jesteśmy kwita.

Komendant Bulwa nie miał zbyt wielu drogocennych wspomnień. Lecz kiedy w najbardziej ponurych chwilach – które dopiero miał przed sobą – przywoływał czasem to zdarzenie, nieodmiennie cicho się śmiał.

Boks operacyjny

Ogierek ocknął się obolały, co nie zdarzało się często. Właściwie nie pamiętał już, kiedy ostatnio odczuwał prawdziwy ból. Jadowite uwagi Bulwy czasem raniły jego uczucia, ale faktycznego dyskomfortu fizycznego starał się raczej unikać.

Leżał na podłodze boks operacyjnego, zaplątany w resztki swego fotela biurowego.

–Pałka – warknął.

Nastąpiło około dwóch minut przekleństw, z których żadne nie nadaje się do druku.

Kiedy centaur dał wreszcie upust złości, do głosu doszedł jego mózg, każąc mu podnieść się z plazmowych kafli. Na osmalonym zadku Ogierka, zapewne już na zawsze, pozostały dwa łyse placki – skaza bardzo nieatrakcyjna u centaura, pierwsza rzecz, na którą zwróci uwagę potencjalna partnerka w nocnym klubie. Z drugiej strony, Ogierek nigdy nie uchodził za dobrego tancerza. Cztery lewe kopyta.

Boks nadal był zamknięty szczelniej niżli przysłowiowy portfel gnoma. Ogierek wklepał na klawiaturze kod wyjścia: „Ogierek. Drzwi”.

Komputer milczał.

Spróbował kodu głosowego: „Ogierek. Unieważniam 121. Drzwi”.

Ani mrumru.

Znajdował się w pułapce, uwięziony przez własne urządzenia zabezpieczające. Nawet szyby boks zostały zaciemnione, odcinając mu widok na zewnątrz. Był całkowicie odizolowany. Nikt nie mógł wejść do boks ani z niego wyjść. Nic nie działało.

Nie, niedokładnie się wyraził. Wszystko działało, ale bezcenne komputery nie chciały reagować na jego dotyk. A kto jak kto, lecz Ogierek doskonale wiedział, że nie mając dostępu do komputerów nie wydobędzie się z boks.

Zerwał foliowy kapelusik i zmiął go w kulkę.

–No i co z ciebie za pożytek! – zawołał, ciskając nakrycie głowy do kosza na odpadki. Kosz automatycznie przeanalizował chemiczny skład śmiecia, po czym odesłał go do odpowiedniej przetwórni.

Monitor plazmowy na ścianie ożył, ukazując stukrotnie powiększoną twarz Opal Kobi. Na jej ustach widniał najszerszy uśmiech, jaki centaurowi kiedykolwiek

zdarzyło się widzieć.

–Cześć, Ogierek. Kopę lat.

Ogierek odwzajemnił uśmiech, choć już nie tak szeroko.

–Opal. Miło cię widzieć. Jak tam starzy? Wszyscy wiedzieli, że Opal doprowadziła ojca do bankructwa. W świecie biznesu wydarzenie to obrosło legendą.

–Dziękuję, bardzo dobrze. Ośrodek Kumulusa to świetny szpital psychiatryczny.

Ogierek postanowił postawić na szczerość, narzędzie, którego nie używał zbyt często. Ale kiedyś trzeba wszystkiego spróbować.

–Opal, zastanów się, co robisz. Przecież Pałka to wariat, na litość boską! Kiedy dostanie to, czego chce, pozbędzie się ciebie bez mrugnięcia okiem!

Chochliczka pogroziła mu nienagannie wymanikiurowanym paluszkiem.

–O nie, Ogierek! Tu się mylisz! Wrzosiec mnie potrzebuje. Naprawdę. Beze mnie i mego złota byłby niczym.

Centaur zajął Opal głęboko w oczy. Chochliczka naprawdę wierzyła w to, co mówi. Jak ktoś tak genialny mógł dać się tak nabrać?

–Opal, ja wiem, o co ci chodzi.

–Ach, tak?

–Owszem. Wciąż wściekasz się o to, że na uniwersytecie zdobyłem medal z nauk ścisłych.

Na ułamek sekundy spokój chochliczki prysł. Nie miała już tak doskonale wyniosłej miny.

–Ten medal mnie się należał, ty głupi centaurze! Mój projekt skrzydeł był o wiele lepszy od twojej głupiej kamery tęczątkowej. Wygrałeś, bo jesteś samcem. To jedyny powód!

Ogierek wyszczerzył zęby z satysfakcją. Nawet mając wszystko przeciwko sobie, nie przestał być najbardziej irytującą istotą na świecie – oczywiście, kiedy tego chciał.

–Więc mów, czego chcesz, Opal! Wpadłaś pogadać o studenckich czasach?

Opal pociągnęła spory łyk z kryształowej szklanki.

–Drogi Ogierku, wpadłam, żebyś miał świadomość, że cię obserwuję, więc niczego nie próbuj. Poza tym chciałam ci pokazać, jaki obraz przekazują moje kamery z centrum miasta. A propos, to idzie na żywo.

Wrzosiec właśnie siedzi w Radzie i zwała na ciebie winę za wszystko, co się dzieje. Miłego oglądania.

Na miejscu twarzy Opal pojawiło się filmowane z wysoka centrum Oazy – chętnie odwiedzany przez turystów plac przed Kartoflanym Pałacem Kartofla. Zazwyczaj przechadzały się tu zakochane pary z Atlantydy, fotografujące się nawzajem na tle fontanny. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj było to pole walki. B’wa Kell toczyły z SKR regularną bitwę, której wynik był najwyraźniej przesądzony. Gobliny strzelały z laserów Sofnose, lecz policjanci nie odpowiadali im ogniem, tylko kryli się, gdzie mogli, bezradni jak dzieci.

Ogierkowi opadła szczęka. To była katastrofa. I on miał ponieść za nią odpowiedzialność. Rzecz jasna, kozłów ofiarnych nie pozostawia się przy życiu – ktoś jeszcze uwierzyłby w ich niewinność. Musiał jakoś skomunikować się z Holly, i to szybko, inaczej wszystkie SKRZATY zostaną wystrzelane jak kaczki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kłopoty i zawierucha

Kartoflany Pałac Kartofla nawet w najlepsze dni nie należał do miejsc, gdzie chcielibyście się znaleźć. Frytki podawano tu tłuste, mięso pochodziło z nieznanых źródeł, a koktajle mleczne były pełne twardych grudek. Niemniej właściciel Pałacu robił kokosowe interesy, zwłaszcza podczas równonocy.

Kapitan Wodorost niemal wolałby znajdować się w barze i dławić żylastym burgerem, niż tak jak teraz przemykać na zewnątrz, kryjąc się przed promieniami lasera. Niemal.

Dowództwo w terenie przypadło kapitanowi Wodorostowi pod nieobecność Bulwy. W normalnej sytuacji rozkoszowałyby się nową funkcją. Ale też w normalnej sytuacji dysponowałyby transportem i bronią. Całe szczęście, że środki komunikacji jeszcze działały.

Kłopot i jego ludzie przeprowadzali właśnie zmasowany nalot na lokale B'wa Kell, gdy wtem zaatakowała ich ponad setka członków gadziej triady. Gobliny rozmieściły się na dachach, chwytając oddział SKR w śmiertelny krzyżowy ogień laserów i kul ognistych. Plan ten, zbyt skomplikowany jak na B'wa Kell, dowodził ogromnego wysiłku myślowego – dla przeciętnego goblina nawet równoczesne drapanie się i plucie stanowiło zadanie ponad siły. Musieli otrzymywać od kogoś rozkazy.

Inaczej niż większość podwładnych Wodorosta, którzy znaleźli schronienie w Pałacu Kartofla, on sam i jeden z młodszych kaprali zostali przygwożdżeni ogniem za budkę fotograficzną. Dotychczas udawało im się powstrzymać gobliny za pomocą pałek elektrycznych i taserów, słabych laserów o zasięgu dziesięciu metrów, lecz jedne i drugie były zasilane bateriami elektrycznymi, które w końcu musiały się wyczerpać. Potem mogli liczyć już tylko na kamienie i gołe pięści. Elfy nie miały nawet tej przewagi, jaką dawały im zapewniające niewidzialność tarcze, gdyż B'wa Kell zdobyli skądś hełmy bojowe SKR. Starsze modele, naturalnie, lecz mimo to zaopatrzone w filtry przeciwtarczowe.

Nad budką przeleciała ognista kula i roztopiła asfalt pod stopami Kłopotą. Gobliny wyraźnie się wycwaniły, oczywiście jak na nie. Nie usiłowały już przebić się przez budkę, lecz rzucały ponad nią pociski. Zostało niewiele czasu.

Kłopot popukał w mikrofon.

–Wodorost do bazy. Macie jakąś broń?

–Nic a nic – zabrzmiała odpowiedź. – Za to mnóstwo funkcjonariuszy, którzy mogą sobie tylko postrzelać z palca. Próbuje naładować stare karabiny elektryczne, ale zajmie to co najmniej osiem godzin. W SKRZAT znaleźliśmy jeszcze kilka kombinezonów przeciwkulkowych, więc podsyłam je wam ekspresowo, góra za pięć minut.

–D’Arvit – zaklął kapitan. Trzeba uciekać. Lada moment budka się rozpadnie i gobliny wystrzelają ich jak kaczki.

Kapral obok niego dygotał ze strachu.

–Na litość boską – zirytował się Kłopot. – Weź się w garść.

–Zamknij się – odparł jego brat Pędrak drżącymi wargami. – Miałeś mnie pilnować. Mamusia kazała.

Kłopot kiwał mu palcem przed nosem.

–Na służbie, kapralu, nazywam się kapitan Wodorost. I dla twojej wiadomości, właśnie cię pilnuję.

–To ma być pilnowanie? – jęknął nadąsany Pędrak. Kłopot już sam nie wiedział, co bardziej działa mu na nerwy, młodszy brat czy gobliny.

–Słuchaj, Pędrak. Ta budka długo nie wytrzyma. Musimy się przedrzeć do Pałacu Kartofla. Rozumiesz, co mówię?

Drżące usta Pędraka nagle stanowczo się zacisnęły.

–Nie ma mowy. Nie ruszam się stąd. Nie zmusisz mnie. Mogę tu zostać do końca życia, wszystko mi jedno.

Kłopot podniósł przyłbicę.

–Do licha! Słuchaj, co mówię! Twoje życie w tym miejscu potrwa najwyżej trzydzieści sekund! Musimy uciekać!

–Ale gobliny, Kłopot...

Kapitan Wodorost chwycił brata za ramiona.

–Ty się nie martw o gobliny, ty lepiej się martw, że dam ci kopa w tyłek, jeśli będziesz zwlekał choćby sekundę!

Pędrak aż się wzdrygnął. Już kilka razy przeżył taką sytuację.

–Ale damy sobie radę, co, bracie?

–Pewnie, że tak – mrugnął doń Kłopot. – W końcu jestem kapitanem, no nie?

Młodszy brat przytaknął, ale mina bardzo mu zrzędała.

–Dobra. Teraz patrz na te drzwi i biegnij, kiedy ci powiem. Jasne?

Pędrak znów kiwnął głową. Podbródek drgał mu szybciej niż dziób dzięcioła.

–W porządku, kapralu. Gotowy... na mój rozkaz... Kolejna ognista kula, jeszcze bliżej. Z gumowych podeszew Kłopoty buchnął czarny dym. Kapitan wyjrzał za róg, lecz natychmiast się cofnął; seria z lasera niemal wybiła mu w nosie trzecią dziurkę. Zza węgła, wirując tanecznie pod uderzeniami wybuchów, wypadł stalowy, trójkątny stojak reklamowy. Widniał na nim napis „Foto Retusz”, a dokładniej „Fot Retusz”, gdyż po literze „o” została tylko dziura. Najwyraźniej stojak nie był laseroodporny. Ale nie mieli nic innego. Kłopot chwycił koziółkującą tablicę i założył ją na ramiona jak swego rodzaju zbroję. Przydziałowe mundury SKR miały wyściółkę z mikrowłókien, rozpraszającą uderzenia neutrino i wybuchy naddźwiękowe. Jednak nikt od dziesięcioleci nie używał pod ziemią broni laserowej, więc projektant kombinezonów nie przewidział ochrony przed jej promieniowaniem. Byle seria z Softnose’a rozcinała tkaninę niczym papier ryżowy.

Kapitan szturchnął brata w plecy.

–Gotowy?

Nie wiadomo, czy Pędrak przytaknął, czy tylko trząśł się na całym ciele.

Kłopot przykucnął i poprawił tablicę reklamową, chroniącą mu pierś i plecy. Blacha powinna wytrzymać ze dwie serie, potem będzie musiał osłaniać Pędraka własnym ciałem.

Kolejna kula ognista, dokładnie w połowie odległości między nimi i Pałacem. Za chwilę płomienie wypalą dziurę w asfalcie. Musieli iść teraz, przez ogień.

–Opuścić przyłbicę!

–Po co?

–Zamknijcie przyłbicę, kapralu!

Pędrak posłuchał. Można kłócić się z bratem, ale nie z dowódcą.

Kłopot położył dłoń na plecach Pędraka i pchnął go z całych sił.

–Już, już, już!

Kiedy wpadli w białe serce płomienia, kapral poczuł, jak włókna kombinezonu pękają od gorąca. Wrząca smoła kleiła mu się do butów i topiła gumowe podeszwy.

Przedarli się przez ogień i potykając się, pobiegli w stronę podwójnych drzwi Pałacu. Otarłszy sadzę z przyłbicy, Kłopot ujrzał swoich ludzi, przyczajonych za murem tarcz do walki z tłumem. Dwaj czarodzieje medycy zdjęli już rękawice i szykowali się do przyłożenia dłoni.

Jeszcze dziesięć metrów.

Goblinom udało się wstrzelać w cel. Obok elfów zaśpiewały pociski, obracając w proch resztki fasady Pałacu Kartofla. Głowa Kłopotą poleciała do przodu, uderzona kulą, która rozplaszczyła się o jego kask. Znów seria. Pochylić się. Kilka trafień między łopatki, jedno przy drugim. Dobrze, że tablica reklamowa wytrzymała.

Wybuch wyniósł kapitana w górę niczym latawiec, cisnął go na brata i wepchnął ich obu w podziurawione jak sito drzwi baru. Pomocne dłonie natychmiast wciągnęły ich za palisadę tarcz.

–Pędrak – wystękał Wodorost mimo bólu, hałasu i sadzy w oczach. – Co z nim?

**–W porządku – rzekł szef czarodziejów medyków, przewracając Kłopotą na brzuch.
– Natomiast ty będziesz miał rano przepiękne sińce na plecach.**

Kapitan zamachał niecierpliwie rękami.

–Są jakieś wieści od komendanta?

–Nie – potrząsnął głową czarodziej. – Ani słowa. Bulwa został uznany za zaginionego w akcji, a Pałkę przywrócono do rangi komendanta. Co gorsza, krążą pogłoski, że za tym wszystkim stoi Ogierek.

Kłopot pobladł i to bynajmniej nie z powodu bólu pleców.

–Ogierek! To niemożliwe!

Zazgrzytał zębami z bezsilnej złości. Ogierek! Komendant! Nie miał wyjścia. Musiał to zrobić – jedyną rzecz, która przyprawiała go o koszmary nocne.

Uniósł się na łokciu. Powietrze nad nimi drgało od wybuchów laserów. Całkowita klęska była tylko kwestią czasu. Za chwilę zjawią się tu gobliny. Trudno.

Zaczerpnął tchu.

–Ludzie! Słuchajcie, wycofujemy się do komendy policji!

Funkcjonariusze zamarli. Nawet Pędrak powstrzymał łkanie. Odwrót?

–Słyszeliście, co powiedziałem! – warknął Kłopot. – Wycofujemy się. Nie możemy walczyć na ulicach bez broni. A teraz zwawo!

SKR, nieprzywykłe przegrywać, niechętnie poczłapały do służbowego wyjścia. Nieważne, czy nazwiemy to odwrotem, czy manewrem taktycznym – była to po prostu ucieczka. I kto by pomyślał, że z ust Kłopoty Wodorosta padnie taki rozkaz?

Port promowy, Arktyka

Artemis i jego współtowarzysze znaleźli schronienie w terminalu promowym. Holly odbyła podróż powrotną na plecach Butlera, co wzbudziło jej gwałtowny sprzeciw.

Wreszcie komendant kazał jej się zamknąć.

–Przed chwilą przesłaś poważną czarodziejską operację – podkreślił surowo. – Więc bądź cicho i rób ćwiczenia.

Przez najbliższą godzinę Holly musiała bezwzględnie ćwiczyć palec wskazujący, aby odpowiednie ścięgna i więzadła właściwie się zrosły. Miała wykonywać nim ruchy, do jakich został przeznaczony; było to ogromnie ważne, zwłaszcza że zamierzała korzystać z broni palnej.

Dotarłszy do opuszczonej hali odlotów, wędrowcy skupili się wokół szczęennego promiennika.

–Jest coś do picia? – zapytała Holly. – Po tym całym uzdrawianiu czuję się odwodniona.

Bulwa puścił oko, co nie zdarzało mu się często.

–To mała sztuczka, której nauczyłem się w terenie – powiedział, odpinając od pasa małą, płasko zakończoną kapsułkę z przezroczystego plastiku. Wypełniał ją czysty płyn.

–Niewiele się z tego napijesz – zauważył Butler.

–Więcej, niż myślisz. To kapsułka hydrozji, miniaturowa gaśnica. Kiedy zawarta w niej woda, sprężona do maleńkiej objętości, zostaje wystrzelona w środek ognia, ulega dekompresji wskutek uderzenia. Pół litra hydrozji gasi płomień skuteczniej niż sto litrów wody wylanej tradycyjną metodą. Nazywamy te kapsułki piankami.

–Bardzo ładnie – rzekł Artemis oschle. – Szkoda tylko, że nie możesz użyć broni.

–Nie muszę – odparł Bulwa, wyciągając duży nóż.

–Ręcznie też sobie poradzę.

Skierował płaski czubek kapsułki w stronę manierki i podważył nożem zatyczkę. Do naczynia trysnął spieniony strumień.

–Sprytne – przyznał Artemis.

–A co najlepsze – ciągnął komendant, wsadzając do kieszeni pustą piankę – można z nich korzystać wielokrotnie. Wystarczy, że wetknę takie coś w kupę śniegu, a sprężarka zrobi resztę, więc nawet Ogierek się do mnie nie przyczepi za marnowanie sprzętu.

Holly pociągnęła długi łyk i po chwili jej twarz nabrała zwykłych rumieńców.

–Ha – zamyśliła się. – A więc oddział zabójców B’wa Kell zastawił na nas zasadzkę. Co to może znaczyć?

–To znaczy, że macie przeciek – rzekł Artemis, przysuwając dłonie do ciepłego promiennika. – Odniosłem wrażenie, że ta misja miała być ściśle tajna. Nie powiadomiliście nawet Rady. Jediną osobą, która o niej wiedziała i której tu nie ma, jest centaur.

Holly zerwała się na równe nogi.

–Ogierek? To niemożliwe!

–Po prostu logika – uniósł uspokajająco dłonie Artemis.

–Wszystko to bardzo pięknie – wtrącił komendant – ale to są wasze domniemania. Na razie musimy dokonać oceny sytuacji. Co mamy i co wiemy na pewno?

Butler skinął głową. Komendant był żołnierzem, człowiekiem jego pokroju.

Bulwa sam udzielił sobie odpowiedzi.

–Mamy prom. Zakładam, że nie jest na podsłuchu. I mamy pełen magazyn zapasów. To głównie jedzenie Atlantydwów, więc musicie się przyzwyczaić do ryb i małży.

–A co wiemy?

Z kolei głos zabrał Artemis:

–Wiemy, że gobliny mają w SKR źródło informacji. Wiemy także, że skoro chcieli usunąć głowę SKR, komendanta Bulwę, to ich celem musi być cały korpus.

Największą szansę na sukces mają, rozpoczynając obie akcje jednocześnie.

–Więc to oznacza... – powiedziała Holly, zagryzając wargę.

–To oznacza, że na dole prawdopodobnie odbywa się coś w rodzaju przewrotu.

–B’wa Kell przeciwko SKR? Też mi problem! – parsknęła Holly.

–W zasadzie pewnie masz rację – zgodził się Artemis. – Ale w sytuacji, gdy wasza broń nie działa...

–To ich też nie – dokończył Bulwa. – Przynajmniej w teorii.

–Według najgorszego scenariusza – ciągnął Artemis, przysuwając się do promiennika – B’wa Kell opanują Oazę, a członkowie Rady zostaną zabici lub uwięzieni. Szczerze mówiąc, dość ponura perspektywa.

Elfy milczały. Słowo „ponure” bynajmniej nie oddawało grozy ich położenia. Lepszym określeniem byłoby słowo „katastrofalne”.

Nawet Artemis odrobinę stracił na animuszu. Wydarzenia jakby sprzysięgły się przeciwko niemu, on zaś nade wszystko chciał ratować ojca.

–Proponuję, byśmy odpoczęli, zabrali trochę zapasów i kiedy niebo się zachmurzy, skierowali się do Murmańska. Butler spróbuje przeszukać mieszkanie tego Wasikina. Może się nam poszczęści i znajdziemy ojca od razu. Zdaję sobie sprawę, że bez broni nasza sytuacja wygląda gorzej, ale wciąż mamy przewagę, wynikającą z zaskoczenia.

Przez kilka chwil panowało pełne skrępowania milczenie. Wszyscy wiedzieli, co należy powiedzieć, ale nikt nie chciał być pierwszy.

–Artemisie – rzekł wreszcie Butler, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. – W tym stanie rzeczy nie możemy mierzyć się z mafią. Nie mamy czym walczyć, a nasi towarzysze muszą jak najprędzej zejść pod ziemię, więc nie będziemy dysponować ich magią. Jeśli teraz pójdziemy do Murmańska, to nikt z nas nie wyjdzie stamtąd żywy.

Artemis wpatrzył się w jądro sześcianu promiennika.

–Ale ojciec jest tak blisko, Butler. Nie mogę teraz zrezygnować.

Holly poczuła mimowolne wzruszenie, widząc nieustępliwość chłopca wbrew wszystkim przeszkodom. Była pewna, że tym razem Artemis nie usiłuje nimi manipulować – po prostu tęsknił za ojcem, jak każdy młody chłopiec. Może to słabość, pomyślała, ale naprawdę mi go żal.

–Nie poddajemy się, Artemisie – powiedziała cicho. – Tylko się przegrupowujemy.

To różnica. Wrócimy tu, zobaczysz. Pamiętaj, najciemniej jest przed świtem.

Artemis spojrzał na nią.

–O jakim świecie mówisz? Zapomniałaś, że jesteśmy w Arktyce?

Boks operacyjny

Ogierek był na siebie wściekły. Wbudował w system tyle zabezpieczeń i kodów, po czym Opal Kobi po prostu sobie weszła i przejęła kontrolę nad całą siecią! Co więcej, SKR jeszcze jej za to zapłaciły!

Centaur poczuł niechętny podziw. Ależ tupet! Jej plan był genialnie prosty – zgłosić ofertę na unowocześnienie sprzętu, proponując najniższą cenę, nakłonić SKR, by wydały jej ludziom przepustkę ogólnego dostępu, umieścić we wszystkich systemach kamery szpiegowskie, po czym obciążyć SKR rachunkiem!

Na próbę nacisnął kilka guzików. Żadnej reakcji. Właściwie wcale się jej nie spodziewał. Opal Kobi z pewnością niczego nie zaniedbała i kontrolowała nawet najmniejsze optyczne włókno. Być może w tej chwili też go obserwowała. Wyobraził ją sobie, jak, chichocząc, wpatruje się w plazmowy ekran, zwinięta w fotelu poduszkowym marki Kobi Hoverboy. Największa rywalka, napawająca się jego klęską...

Centaur mruknął gniewnie. No dobrze, tym razem go dopadła, ale to się nie powtórzy. On, Ogierek, nie zamierza się załamać dla satysfakcji Opal Kobi. Ale... z drugiej strony... może tak trzeba?

Ogierek ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął teatralnym szlochem. Gdybym był miniaturową kamerą, myślał, zerkając ukradkiem między palcami, gdzie bym się ukrył? Gdzieś, gdzie nie dosięgnąłby mnie wykrywacz. Jego wzrok spoczął na owym urządzeniu – niewielkiej, lecz skomplikowanej płataninie przewodów i czipów, podwieszanej pod sufitem. Jedyнным miejscem, którego nie sprawdzał wykrywacz, był on sam...

A więc wiedział już, skąd obserwuje go Opal, choć na razie nie umiał tego wykorzystać. Jeżeli kamerę faktycznie umieszczono w wykrywaczu, to jedynie niewielka przestrzeń tuż poniżej jego tytanowej obudowy nie była objęta zasięgiem obiektywu. Chochliczka obserwowała wszystko, co mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie. On zaś, Ogierek, wciąż nie mógł wejść do komputera ani wyjść z sali.

Nadal udając bezdenną rozpacz, centaur uważnie rozglądał się po sali. Czy kiedy ludzie Kobi zakończyli pracę, do boksu dostarczono jakieś urządzenia? Przecież musiał tu być jakiś nieskażony sprzęt...

Jednak dostrzegł tylko kilka drobiazgów – zwój światłowodu, kilka klipsów, narzędzia. Nic użytecznego.

I wówczas coś mrugnęło doń spod pulpitu. Zielone światełko.

Serce Ogierka przyspieszyło o co najmniej dziesięć uderzeń na minutę. Od razu pojął, co widzi. Laptop Artemisa Fowla! Wyposażony w modem i dostęp do Internetu! Centaur zmusił się do zachowania spokoju. Ten komputer pojawił się tu zaledwie kilka godzin temu i Opal Kobi na pewno go nie przerobiła. Nawet on, Ogierek, jeszcze nie zaczął go rozbierać.

Udając przygnębienie, centaur począł do skrzynki z narzędziami i z rozmachem wyrzucił zawartość na plazmową podłogę, w zamieszaniu zdążył jednak chwycić cążki i kilka metrów kabla. Następnie przystąpił do kolejnego etapu rzekomego załamania nerwowego i wybuchnął niepohamowanym płaczem. Oczywiście zrobił to na blacie roboczym, akurat nad miejscem, gdzie znajdował się laptop. Nieznacznym kopnięciem przesunął komputer w martwe pole kamery, rzucił się na podłogę i jął wierzgać nogami w ataku furii. Na ekranie Opal powinny być widoczne jedynie jego walące o podłogę kopyta.

Jak na razie, wszystko szło świetnie. Ogierek otworzył pokrywę laptopa i szybko wyłączył głośniki – nie wiedzieć czemu, Błotni Ludzie upierali się, by ich maszyny wydawały głośnie piski w najbardziej nieodpowiednich momentach. Przeciągnął dłonią po klawiaturze i już po chwili znalazł się w programie pocztowym.

Musiał rozwiązać jeszcze jeden problem. Bezprzewodowy dostęp do Internetu to jedno, ale dostęp do sieci ze środka Ziemi to całkiem co innego. Udając, że opiera znękaną głowę na złożonych ramionach, centaur zdołał wetknąć końcówkę światłowodu w wejście teleskopowego łącza – teleskopy, zwane skopami, były to anteny, które wróżki ukradkiem zamontowały na amerykańskich satelitach komunikacyjnych. W ten sposób komputer Artemisa uzyskał już odpowiedni zasięg. Teraz Ogierkowi pozostawało tylko modlić się, by Błotny Chłopiec miał włączoną komórkę.

Laboratoria Koboï

Opal Koboï nigdy dotąd nie bawiła się tak dobrze. Cały podziemny świat dosłownie stał się jej zabawką. Zwinięta na fotelu marki Koboï Hoverboy niby zadowolony kot, pożerała oczami chaos, jaki ukazywały jej plazmowe monitory. SKR wyraźnie nie miały żadnych szans. Zdobycie Pałacu Policji przez B'wa Kell było tylko kwestią czasu, potem miasto będzie już należało do goblinów. Następna padnie Atlantyda, a po niej – świat ludzi.

Unosząc się na fotelu między ekranami, chciwie chłonęła wszystkie szczegóły. Z każdego ciemnego zaułka w mieście wynurzały się uzbrojone i żądne krwi gobliny. Wybuchy Softnose'ów dziurawiły zabytkowe gmachy. Zwykle wróżki siedziały zabarykadowane w domach, modląc się, by ominęły ich niszczycielskie hordy. Tłum podpalał i rabował sklepiki i małe firmy. Opal miała tylko nadzieję, że pożary nie będą zbyt liczne – nie chciała zostać królową splądrowanej wojennej strefy.

Na głównym ekranie otworzyło się okno komunikacyjne – to Pałka połączył się z nią na bezpiecznej linii. Wyglądał na autentycznie szczęśliwego – promieniowało zeń chłodne zadowolenie z dokonanej zemsty.

–Wrzosiec – pisnęła Opal. – To jest cudowne. Szkoda, że nie możesz tego ze mną oglądać.

–Na razie nie. Muszę zostać z funkcjonariuszami. W końcu przecież to ja odkryłem zdradę Ogierka, za co Rada przywróciła mi rangę komendanta. Jak tam nasz więzień?

–Jestem rozczarowana – rzekła Opal, zerkając na ekran ukazujący centaura. – Szczerze mówiąc, oczekiwałam, że będzie coś knuł, a przynajmniej spróbuje uciec. Ale on tylko się dąsa i dostaje ataków złości.

Pałka uśmiechnął się szeroko.

–Przypuszczam, że ma samobójcze myśli. Właściwie, jestem tego pewien. Jak tam SKR? – Nowo mianowany komendant znów przybrał rzeczowy ton. – Wymyślili coś?

–Nie. Jest dokładnie tak, jak przewidziałeś. Kryją się w Komendzie Policji niczym żółwie w skorupach. Mam zablokować komunikację lokalną?

Pałka pokręcił głową.

–Nie. Wszystko o nich wiemy, bo ogłaszają każdy manewr na swoich niby bezpiecznych kanałach. Trzeba zostawić lokalną łączność. Na wszelki wypadek.

Opal Kobi podpłynęła bliżej ekranu.

–Opowiedz mi, Wrzosiec. Opowiedz mi o przyszłości.

Przez twarz Pałki przemknął grymas irytacji. Ale dzisiaj nic nie mogło zepsuć mu humoru na dłużej.

–Rada została powiadomiona, że Ogierek zorganizował cały sabotaż, zamknąwszy się w boksie operacyjnym. We właściwej chwili ty cudownym sposobem włamiesz się do programu centaura i przywrócisz SKR kontrolę nad armatami DNA w Komendzie Policji. Kretyńskie gobliny zostaną pokonane, ja zostanę bohaterem, a ty – moją księżniczką. Natomiast Laboratoria Kobi będą realizować wszystkie kontrakty wojskowe przez następne pięćset lat.

–A potem? – zapytała Opal, wstrzymując dech.

–A potem wspólnie oczyścimy planetę z tych nieznośnych Błotnych Ludzi. Taka jest nasza przyszłość, moja droga.

Port promowy, Arktyka

Telefon Artemisa zadzwonił. Tego nikt nie przewidział, nawet on. Zdarłszy zębami rękawicę, chłopiec wyszarpnął aparat z pokrowca.

–Wiadomość tekstowa – oznajmił, wędrując po menu urządzenia. – Ale ten numer zna tylko Butler!

–Najwyraźniej poznał go ktoś jeszcze – rzekła Holly, krzyżując ręce na piersi.

Artemis zignorował jej drwiący ton.

–To musi być Ogierek. Od wielu miesięcy podsłuchuje moje rozmowy. Albo korzysta z mojego komputera, albo znalazł sposób, by połączyć nasze platformy systemowe.

–Rozumiem – powiedzieli chórem Bulwa i Butler. Były to dwa wielkie kłamstwa.

Tylko na Holly żargon chłopca nie zrobił wrażenia.

–I co pisze?

Artemis stuknął w maleńki ekranik.

–Sama zobacz.

Kapitan Nieduża wzięła aparat i przeczytała głośno wiadomość. Z każdym słowem jej mina rzedła...

**KMDNT BULWA. PRBLM NA DOLE. OAZA ZAJTA PRZEZ GBLNY. KMNDA PLCJI
OTCZNA. PLKA + OPL KOBOI UKNLI SPSEK BRK BRNI I KOMNIKCJI. ARMTY DNA W
RKACH KOBOI. JSTM ZMKNTY W BKSIE OPRCYJNM. RADA UWAŻA ZE TO MJA
RBOTA. JSLI ŻYJESZ PRSZE O PMC. JSLI NIE, SORRY, POMLKA.**

Holly przełknęła ślinę. Nagle zaschło jej w gardle.

–Niedobrze.

Komendant zerwał się na równe nogi i odebrał jej telefon, aby osobiście przeczytać wiadomość.

–Tak – rzekł po chwili. – Z pewnością nie jest dobrze. Pałka! To wszystko przez Pałkę! Czemu tego nie dostrzegłem? Możemy porozumieć się z Ogierkiem?

Artemis zastanowił się.

–Nie. Tu nie ma sieci. Dziwię się, że w ogóle coś odebraliśmy.

–Mógłbyś to jakoś załatwić?

–Oczywiście. Jeśli dasz mi pół roku, trochę specjalistycznego sprzętu i trzy kilometry stalowej belki.

–Też mi arcyprzestępca! – prychnęła Holly. Butler łagodnie położył jej dłoń na ramieniu.

–Cśś – szepnął. – Artemis myśli.

Artemis wpatrzył się w plazmowe jądro sześcianu.

–Mamy dwie możliwości – powiedział po chwili. Nikt mu nie przerywał, nawet Holly. W końcu to właśnie Artemis Fowl odkrył sposób ucieczki z pola czasowego.

–Możemy poprosić o pomoc ludzi. Nie wątpię, że bardziej podejrzani znajomi Butlera dadzą się przekonać do tego pomysłu, oczywiście za odpowiednie wynagrodzenie.

–Nic z tego – pokręcił głową Bulwa.

–Można im później zatrzeć pamięć.

–To nie zawsze się udaje. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to najemnicy z resztkami wspomnień. A druga możliwość?

–Włamiemy się do Laboratoriów Koboï i przywrócimy SKR kontrolę nad bronią.

Komendant parsknął śmiechem.

–Włamać się do Laboratoriów Kobi? Chyba nie mówisz poważnie? Cały kompleks budynków stoi na litej skale. Brak okien, ściany odporne na wybuchy, ogłuszające armaty DNA. Nieupoważnione osoby w promieniu stu metrów dostają serię prosto między spiczaste uszy.

–No, no – gwizdnął Butler. – Kupa żelastwa, jak na zwykłą firmę inżynierską.

–Wiem – westchnął Bulwa. – Dostali specjalne zezwolenie. Sam je podpisałem.

Butler pomyślał przez chwilę.

–Nie – orzekł w końcu. – Nie da się zrobić. Bez szczegółowych planów...

–D'Arvit – zaklął komendant. – Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale tylko jeden z naszych umiałby wykonać taką robotę...

–Mierzwa Grzebaczek – przytaknęła Holly.

–Grzebaczek? – zdziwił się Artemis.

–Krasnal. Zawodowy włamywacz. Jedyne mieszkanie podziemia, któremu udało się włamać do Laboratoriów Kobi i przeżyć. Niestety, straciliśmy go w zeszłym roku. Prawdę mówiąc, właśnie uciekał tunelem z waszego dworu...

–Pamiętam go – odparł Butler. – Prawie urwał mi głowę. Śliski typ.

Bulwa zaśmiał się pod nosem.

–Przylapywałem starego Mierzwę osiem razy. Ostatni raz za robotę w Laboratoriach Kobi. O ile pamiętam, Mierzwa z kuzynem przedstawili się jako budowlańcy, żeby dostać plany zabezpieczeń budynku, a po podpisaniu umowy Mierzwa po prostu zbudował sobie tylne wyjście. To typowe dla niego: najpierw włamuje się do najlepiej zabezpieczonego lokalu na świecie, a potem próbuje sprzedać alchemiczny tygiel jednemu z moich kapusiów. Artemis aż podskoczył.

–Alchemia? Macie alchemiczne tygle?

–Przestań się ślinić, Błotniaku. Na razie to etap eksperymentów. Zgodnie z tym, co mówi Księga, starożytni czarodzieje umieli przekształcać ołów w złoto, ale tajemnica zaginęła. Do tej pory nie udało się to nawet Opal Kobi.

–Och – rzekł Artemis rozczarowany.

–Możecie mi wierzyć lub nie, ale prawie się stęskniłem za starym łobuzem. Umiał tak

człowieka obrazić... – Bulwa spojrział w niebo. – Ciekawe, czy tam jest i czy na nas patrzy.

–W pewnym sensie – powiedziała Holly, dziwnie zmieszana. – Prawdę mówiąc, komendancie, Mierzwa Grzebaczek przebywa w Los Angeles.

Rozdział JEDENASTY

Wiele hałasu o Mierzwę

Los Angeles

Dokładniej mówiąc, Mierzwa znajdował się w Beverly Hills w pobliżu mieszkania pewnej laureatki Oscara. Oczywiście, aktorka ta nie wiedziała o jego obecności. I oczywiście, Mierzwa nie przybył w szlachetnych zamiarach. Kto raz był złodziejem, złodziejem pozostanie.

Nie można powiedzieć, by Mierzwa potrzebował pieniędzy. Oblężenie dworu Artemisa Fowla bardzo mu się opłaciło, tak bardzo, że mógł wynająć luksusowy apartament na dachu budynku w Beverly Hills. Wyposażył go w najnowszy zestaw odtwarzający firmy Pioneer, bibliotekę nagrań DVD i zapas suszonej wołowiny, który wystarczyłby mu do końca życia. Przyszła pora na dziesięć lat relaksu i odpoczynku.

Ale życie tak się nie układa. Nie chce zwinąć się w kłębek i cicho położyć w kącie. Przyzwyczajenia siedmiuset lat nie mijają z dnia na dzień. W połowie cyklu filmów z Jamesem Bondem Mierzwa zdał sobie sprawę, że tęskni za paskudnymi, starymi czasami. Wkrótce samotny lokator luksusowego apartamentu zaczął zażywać przechadzek o północy, które to przechadzki zazwyczaj kończyły się w cudzych domach.

Z początku składał nieszkodliwe wizyty, po prostu rozkoszując się świadomością, iż udało mu się pokonać wyrefinowane systemy zabezpieczeń Błotnych Ludzi. Potem zaczął zabierać drobiazgi na pamiątkę – tu kryształowy pucharek, tam popielniczkę, ówdzie kota, na wypadek, gdyby chciał coś przekąsić. Lecz wkrótce odezwało się w nim przemożne pragnienie dawnego rozgłosu i jego łupy pod każdym względem zyskały na wadze. Sztabki złota, diamenty jak kacze jaja, a kiedy naprawdę był głodny – pitbulteriery.

Afera z Oskarami zaczęła się przez przypadek. Mierzwa ukradł pierwszą figurkę jako ciekawostkę podczas wypadu do Nowego Jorku w środku tygodnia. Przyznano ją za najlepszy scenariusz oryginalny. Nazajutrz jego wyczyn znalazł się na pierwszych stronach wszystkich gazet od morza do morza. Myślałby kto, że ukradziono wagon sprzętu medycznego, a nie zwykłą pozłacaną statuetkę! Oczywiście, Mierzwa był zachwycony. Znalazł sobie nową nocną rozrywkę.

W ciągu następnych dwóch tygodni krasnal zwędził nagrody Akademii za najlepszą ścieżkę dźwiękową i najlepsze efekty specjalne. Prasa brukowa oszalała. Nadano mu nawet przydomek Zwierzak, po innym sławnym Oskarze (z *Ulicy Sezamkowej*). Przeczytawszy o tym, Mierzwa z radości jął przebierać palcami u nóg, a był to widok

zaiste niezwykle – palce u nóg krasnali są zwinne niczym palce dłoni, długie i giętkie, nie mówiąc już o niebywałym aromacie. Krasnal miał przed sobą jasno wytyczony cel – chciał zgromadzić cały komplet Oskarów.

Przez kolejne sześć miesięcy Zwierzak grasował po Stanach Zjednoczonych, wybrał się nawet do Włoch, by zdobyć nagrodę za najlepszy film obcojęzyczny. Kazał sobie sprawić specjalną gablotę z przyciemnianymi szybami, które stawały się nieprzezroczyste za naciśnięciem guzika. Mierzwa Grzebaczek znów czuł, że żyje.

Oczywiście, właściciele Oskarów na całym świecie potroili środki ostrożności, o co właśnie Mierzwie chodziło. Włamanie do chatki na plaży to żadne wyzwanie – krasnal lubił wysokie budynki i wysoką technologię. Tego pragnęła publiczność i tego dostarczał jej Zwierzak. Gazety go uwielbiały. Był bohaterem. A w ciągu dnia, gdy nie mógł wychodzić na zewnątrz, pisał scenariusz na podstawie własnych przegód.

Dzisiaj była jego wielka noc. Zamierzał ukraść ostatnią statuetkę, dla najlepszej aktorki. I to nie byle jakiej. Maggie V, ognista piękność z Jamajki, która w tym roku zdobyła nagrodę Akademii za rolę ognistej piękności z Jamajki, oznajmiła publicznie, że jeśli Zwierzak spróbuje czegoś w jej mieszkaniu, spotka go spora niespodzianka. Jakże Mierzwa miał się oprzeć takiemu wyzwaniu?

Zlokalizowanie budynku przyszło mu bez trudu – dziesięciopiętrowy blok ze szkła i stali nieopodal Bulwaru Zachodzącego Słońca, za ledwie spacer od domu Mierzwy. A zatem pewnej chmurnej nocy nieulekły krasnal spakował narzędzia i poszedł dokonać włamania, które miało trafić do historii.

Maggie V mieszkała na ostatnim piętrze. Skorzystanie ze schodów, windy lub szybu wentylacyjnego nie wchodziło w grę. Robota musiała zostać wykonana z zewnątrz.

Przygotowując się do wspinaczki, Mierzwa nic nie pił przez dwa dni. Pory skóry krasnali służą nie tylko do wydzielania potu, ale potrafią także wchłaniać wilgoć. Bardzo pożyteczne, gdy zawał w kopalni na kilka dni zablokuje drogę wyjścia. Organizm, nie mając nic do picia, chłonie wówczas wodę z otaczającego gruntu każdym centymetrem kwadratowym skóry. Kiedy zaś krasnal jest tak spragniony, jak obecnie Mierzwa, jego pory otwierają się do rozmiarów lepka szpilki i zaczynają ssać jak szalone. Bywa to niezwykle przydatne, gdy, na przykład, trzeba się wspiąć po ścianie wysokiego budynku.

Mierzwa zdjął buty i rękawice, przywdział kradziony kask SKR i ruszył w górę.

Holly czuła, jak wzrok komendanta pali jej włosy na karku. Próbując nie zwracać nań uwagi, skupiła się na prowadzeniu wahadłowca ambasadora Atlantydę. Nie mogła przecież pozwolić, by rozbił się o ściany arktycznego szybu.

–Więc przez cały ten czas wiedzieliście, że Mierzwa Grzebaczek żyje?

Holly lekko dodała gazu prawym silnikiem, wymijając pędzący kawał na pół stopionej skały.

–Nie byłam pewna. Po prostu Ogierek miał taką teorię...

Komendant wykonał ruch, jakby skręcał komuś kark.

–Znowu Ogierek! Dlaczego jakoś mnie to nie dziwi?

Siedzący z tyłu Artemis uśmiechnął się szyderczo.

–Ej, wy tam! Myślałem, że stanowimy zgrany zespół! – zawołał.

–No, pani kapitan, proszę mi opowiedzieć o teorii Ogierka – zażądał Bulwa.

Elficzka uruchomiła elektryczne oczyszczanie zewnętrznych kamer statku. Dodatkowo i ujemne ładunki zaczęły usuwać z obiektywów pokłady kurzu.

–Ogierek uznał, że zgon Mierzwy jest trochę podejrzany – rzekła niechętnie. – Krasnal uchodził za najlepszego tunelowca w tym interesie.

–Czemu Ogierek nie przyszedł z tym do mnie?

–Tylko coś przeczuwał. Z całym szacunkiem, komendancie, wszyscy wiedzą, jaki jest pański stosunek do przeczuć.

Bulwa odruchowo przytaknął. To prawda, do przeczuć jakoś nie miał cierpliwości. Albo zdobądźcie konkretne dowody, mawiał, albo wynocha z mojego biura.

–Centaur trochę poszperał w wolnym czasie. Przede wszystkim zauważył, że odzyskane złoto waży trochę za mało. Wynegocjowałam od Fowla zwrot połowy okupu, tymczasem, według obliczeń Ogierka, na wózku brakowało dwóch tuzinów sztabek.

Komendant zapalił jedno ze swych sławnych grzybowych cygar. Musiał przyznać, że sprawa rzeczywiście wyglądała podejrzanie – zginęło złoto, a w okolicy kręcił się Mierzwa Grzebaczek. Dwa i dwa to cztery.

–Jak pan wie, standardowa procedura każe znaczyć wszystkie zasoby SKR izotopem solinium. Tak potraktowano także złoto z okupu. Ogierek zaczął więc szukać śladów solinium i znalazł ogniska, rozsiane po całym Los Angeles, a zwłaszcza w hotelu Crowley w Beverly Hills. Kiedy zaś włamał się do komputera budynku, okazało się, że w apartamencie na dachu mieszka niejaki Lance Kopacz.

Spiczaste uszy Bulwy zadrżały.

–Kopacz?

–Właśnie – przytaknęła Holly. – To więcej niż zbieg okoliczności. Wtedy Ogierek przyszedł do mnie, a ja doradziłam mu, żeby przed zgłoszeniem się do pana zrobił kilka zdjęć satelitarnych. Ale...

–Ale pan Kopacz okazał się nieuchwytny?

–Otóż to.

Twarz Bulwy zmieniła kolor z różowego na pomidorowy.

–A to łobuz z tego Mierzwy! Jak on to zrobił? Holly wzruszyła ramionami.

–Zgadujemy, że przełożył swoją kamerę tęczątkową do oka jakiegoś zwierzęcia, pewnie królika. A potem wywołał zawał tunelu.

–I oznaki życia, które widzieliśmy, to był ten królik?

–Tak. Teoretycznie.

–Zabiję drania – oznajmił Bulwa, waląc pięścią w deskę rozdzielczą. – Czy ta balia nie może lecieć prędzej?

Los Angeles

Mierzwa bez większych trudności piął się do góry. Napotkał co prawda kamery, zamontowane na zewnętrznej ścianie budynku, ale umieszczony w kasku filtr jonowy dokładnie określał, w którą stronę skierowane są ich obiektywy. Przemieszczanie się poza ich zasięgiem było dziecinnie łatwe.

Po godzinie tkwił już przyssany na dziesiątym piętrze przy oknie apartamentu Maggie V. Okno miało potrójne szyby i warstwę kuloodporną. Ach, te gwiazdy filmowe! Paranoiczki, jedna w drugą!

Oczywiście, na szybie umieszczony był czujnik alarmowy, a na ścianie pokoju widniał wykrywacz ruchu, podobny do nieruchomego świerszcza. Tego należało się spodziewać.

Mierzwa wyjął pojemnik z krasnalowym środkiem do czyszczenia skał, używanym w kopalniach do mycia diamentów, i zrobił dziurę w szkłe. Pomyśleć tylko, ludzie przycinają diamenty, żeby wydobyć z nich blask! Połowa kamienia idzie do śmieci!

Następnie Zwierzak uruchomił zamontowany w kasku jonowy filtr i ocenił zasięg wykrywacza ruchu. Czerwony strumień jonów ogniskował się na podłodze. Bardzo dobrze – Mierzwa i tak zamierzał iść po ścianie.

Z ulgą wdrapał się na stalowe półki, które prawie całkowicie pokrywały ściany głównego salonu. Wszystkie pory krasnala wołały o wodę, a musiał jeszcze znaleźć Oskara. Oczywiście, Maggie V mogła go ukryć wszędzie, nawet pod poduszką, postanowił więc zacząć poszukiwania od pomieszczenia, w którym się znajdował. Nigdy nie wiadomo, a może będzie miał szczęście?

Włączył filtr rentgenowski w kasku i omiół wzrokiem ściany, szukając sejfów. Nic. Następnie zbadał podłogę – w dzisiejszych czasach ludzie zrobili się okropnie sprytni. I rzeczywiście, w rogu, pod sztucznym futrem zebry, dostrzegł metalowy sześcian. Łatwizna.

Zbliżywszy się z góry do wykrywacza ruchu, Mierzwa obrócił jego końcówkę, aby urządzenie skanowało sufit. Podłoga była bezpieczna.

Zeskoczył na dywanik i sprawdził jego powierzchnię chwytnymi palcami. Nie wyczuł pod spodem czujników, reagujących na ciężar. Zwinął i odsunął futrzak. Pod spodem, w drewnianej podłodze, ukazała się pokrywa, ledwie widoczna gołym okiem. Jednak Mierzwa zaliczał się do fachowców, a ponadto jego oczy bynajmniej nie były gołe. Wręcz przeciwnie, zostały potężnie uzbrojone w teleobiektywy SKR.

Ostrożnie podważył pokrywę gwoździem. Na widok sejfów doznał rozczarowania.

Skrytka nie została nawet wyposażona w ołowiany ekran i mechanizm zamka rysował się wyraźnie przez filtr rentgenowski. Prosta trzycyfrowa kombinacja.

Mierzwa wyłączył filtr – w końcu, co to za przyjemność dobierać się do zamka, przez który widać na wylot? – a następnie przyłożył ucho do drzwiczek i jął poruszać pokrętkiem. Po piętnastu sekundach drzwiczki u jego stóp stanęły otworem.

Pozłacana figurka zamrugła doń w mroku. I wówczas Zwierzak popełnił błąd – odprężył się. W myślach był już z powrotem u siebie i pociągał lodowatą wodę mineralną z dwulitrowej butli. A wiadomo, że odprężeni złodzieje idą wprost do więzienia.

Nie sprawdził, czy nie zastawiono nań pułapki, lecz po prostu chwycił statuetkę i wyjął ją z sejfu. A szkoda – gdyby był odrobinę uważniejszy, dostrzegłby przewód, przytwierdzony magnesem do podstawy. Poruszenie przerwało obwód elektryczny i nad głową Mierzwy rozpętało się piekło.

Szyb E

Trzy tysiące metrów pod powierzchnią ziemi Holly nastawiła autopilota na lot szybujący, po czym klepinięciem w pierś rozpięła uprząż i dołączyła do kolegów, zebranych w tylnej części promu.

–Mamy dwa problemy. Po pierwsze, jeśli zejdziemy niżej, zauważą nas wykrywacze, oczywiście, jeśli nadal są czynne.

–Czemu myśl o drugim problemie dziwnie mnie nie cieszy? – zapytał retorycznie Butler.

–Po drugie, ta część szybu została zamknięta w chwili, gdy wyruszaliśmy z Arktyki.

–To znaczy?

–To znaczy, że zasypano tunele doprowadzające. A bez nich nie wydostaniemy się z szybu.

–Nie ma sprawy – rzekł Bulwa. – Wysadzimy ścianę.

Holly westchnęła.

–Czym, komendancie? To pojazd dyplomatyczny. Bez uzbrojenia.

Butler wyciągnął z torby przy pasie dwa jaja ogłuszające.

–A te maleństwa, pani kapitan? Ogierek uważał, że mogą się przydać.

Artemis jęknął. Gdyby nie sądził, że to złudzenie, mógłby przysiąc, że jego służący świetnie się bawi.

Los Angeles.

–O rany – szepnął Mierzwa.

W ciągu kilku chwil sytuacja zmieniła się z różanej w bardzo niebezpieczną. Po uruchomieniu alarmu w bocznej ścianie odsunęły się drzwi, ukazując dwa bardzo duże niemieckie owczarki, najlepsze psy strażnicze na świecie. Za nimi stał opiekun, ogromny mężczyzna, od stóp do głów odziany w strój ochronny. Prawdę mówiąc, wyglądał jak okryty wycieraczkami – psy najwyraźniej nie należały do łagodnych.

–Dobre pieski – powiedział Mierzwa, powoli odpinając klapkę na zadku.

Szyb E

Holly delikatnie manewrowała sterami, przysuwając prom jak najbliżej ściany szybu.

–Blżej się nie da – oznajmiła do mikrofonu w kasku. – Prądy termiczne rzucą nas o skałę.

–Prądy termiczne? – warknął Bulwa. – Nic nie mówiłaś o prądach termicznych, kiedy wychodziłem na zewnątrz.

Komendant leżał rozplaszczony na lewym skrzydle z jajem ogłuszającym w każdym bucie.

–Przykro mi, komendancie, ale ktoś musi pilotować tego ptaszka.

Bulwa wymamrotał coś pod nosem i przesunął się bliżej czubka skrzydła. Rzecz jasna, w spoczynku turbulencje wokół promu były znacznie mniejsze niż w locie, ale i tak gorące prądy rzucały komendantem niczym kośćmi w kubku. Trzymał się tylko dzięki nadziei, że niebawem zaciśnie palce na gardle Mierzwy Grzebaczka.

–Jeszcze metr – stęknął w mikrofon. Przynajmniej mieli komunikację, gdyż prom wyposażony był we własne radio. – Jeszcze metr i dosięgnę.

–Nic z tego, komendancie. Musi pan radzić sobie sam.

Bulwa zaryzykował spojrzenie w otchłań. Szyb zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a na jego dnie płonęły pomarańczowe ognie jądra Ziemi. To było szaleństwo. Obłąd. Musiał istnieć jakiś inny sposób. W owej chwili komendant odważyłby się nawet na walkę z mafią naziemną.

I wtedy Juliusz Bulwa miał wizję. Może wywołały ją opary siarki, stres lub brak jedzenia, lecz komendant mógłby przysiąc, że przed nim, wryta w skalnej ścianie, pojawiła się twarz Mierzwy Grzebaczka. Twarz ta ssała cygaro i uśmiechała się

szyderczo.

Bulwa poczuł przyływ determinacji. On, okpiony przez kryminalistę? Nigdy w życiu.

Zerwał się na równe nogi i wytarł o spodnie spocone ręce. Prądy termiczne szarpały go za kombinezon niczym złośliwe duchy.

–Jesteś gotowa, żeby szybko oddalić się od dziury, którą wkrótce zamierzam zrobić? – wrzasnął w mikrofon.

–Się robi, komendancie – odparła Holly. – Znikamy stąd, kiedy tylko znajdzie się pan z powrotem w służbie.

–Okej. Uwaga.

Bulwa wystrzelił przypięty do pasa hak, którego tytanowe ostrze z łatwością wbiło się w skałę. Komendant wiedział, że umieszczone w haku maleńkie ładunki wybuchną, wypychając na boki zaczepy, mocujące strzałkę. Pięć metrów. To niewielka odległość jak na skok na linie. Ale nie chodziło o sam skok, lecz o miażdżące kości uderzenie w ścianę, całkowicie pozbawioną chwytów.

No, Juliuszu, do roboty, zachichotała podobizna Mierzwy. Zobaczymy, jak będziesz wyglądał rozgnieciony niby mucha.

–Zamknijcie się, osadzony! – ryknął Bulwa i skoczył w otchłań.

Skalna ściana ruszyła na jego spotkanie. Zderzenie ze skałą odjęło mu dech, aż zazgrzytał zębami z bólu. Miał nadzieję, że nie złamał żadnej kości – po wycieczce do Rosji nie została mu ani odrobina czarodziejskiej mocy. Nie umiałyby nawet sprawić, by zakwitła stokrotka, nie mówiąc już o gojeniu pękniętych żeber.

Reflektory na dziobie wahadłowca wydobyły z półmroku ślady po promieniach lasera, widniejące w miejscu, gdzie krasnale SKR zamurowały tunel dostawczy. Ta blizna stanowiła najślabszy punkt ściany i Bulwa umieścił w jej załamaniach dwa jaja ogłuszające.

–Idę po was, Grzebaczek – wymamrotał pod nosem, miażdżąc kapsułki detonatorów umieszczone w obu ładunkach. Miał trzydzieści sekund.

Wycelował kolejny hak w skrzydło wahadłowca. Łatwy strzał, podczas symulacji robił takie rzeczy z zamkniętymi oczami. Niestety, symulatory nie uwzględniały prądów termicznych, które wszystko psuły w ostatniej chwili.

W momencie, gdy komendant oddawał strzał, w rufę statku uderzył gazowy wir i

zniósł ją o czterdzieści stopni w lewo. Hak chybił celu o metr i poleciał w głąb szybu, ciągnąc za sobą życiodajną linkę. Bulwa miał dwa wyjścia – mógł przyciągnąć hak, zwijając linkę za pomocą kołowrotka przy pasie, lub odciąć ją i użyć haka zapasowego. Wybrał tę drugą możliwość, sądząc, że zyska na czasie. I z pewnością był to dobry pomysł, Juliusz wszakże nie wziął pod uwagę jednego – zapasowy hak został wykorzystany, gdy Holly wyciągała go spod lodowca, o czym komendant przypomniał sobie pół sekundy po odcięciu ostatniej linki ratunku.

–D’Arvit – zaklął, macając pas w daremnym poszukiwaniu haka.

–Coś się stało, komendancie? – odezwała się Holly, zdyszana z wysiłku, jakiego wymagało zmaganie się ze sterami.

–Skończyły mi się haki, a ładunki są już nastawione.

Nastąpiła krótka cisza. Bardzo krótka – nie mieli czasu na długotrwałą burzę mózgow. Bulwa spojrzał na księżycomierz. Dwadzieścia pięć sekund.

W dobiegającym z głośnika głosie Holly nie czuło się entuzjazmu ani pewności siebie.

–Ee... komendancie? Ma pan przy sobie coś metalowego?

–Owszem – odparł Bulwa zaskoczony. – Napierśnik, sprzączkę, insygnia, blaster. A co?

Holly przysunęła prom o milimetr w jego stronę. Dalsze zbliżanie się było równoznaczne z samobójstwem.

–Ujmę to tak. Bardzo jest pan przywiązany do swoich żeber?

–Jak to?

–Chyba wiem, jak pana stamtąd wydostać. – Co?

–Mogę powiedzieć, ale nie spodoba się to panu.

–Mówcie, kapitan Nieduża. To rozkaz!

Holly powiedziała. Miała rację. Bulwie bardzo się to nie spodobało.

Los Angeles

Gazy krasnali. Niezbyt smaczny temat – nawet krasnale nie bardzo lubią o nich rozmawiać. Niejedna krasnalowa żona łaje męża za puszczanie w domu wiatrów, które powinien zostawić w tunelu. Jednak prawda jest taka, że krasnale mają genetyczną skłonność do wzdęć, zwłaszcza gdy w kopalni najedzą się gliny. Po rozwarciu szczęk krasnal przerabia kilka kilogramów ziemi na sekundę. To zazwyczaj duża masa z równie dużą zawartością powietrza i obie substancje gdzieś muszą się podziać. Przemieszczają się zatem w dół, po czym, elegancko rzecz ujmując, krasnal zamyka za sobą tunele. Mierzwa od miesięcy nie jadł ziemi, ale wciąż w razie potrzeby dysponował kilkoma bąblami gazu.

Psy sprężyły się do ataku; ich wyszczerzone zęby ociekały długimi pasmami śliny. Rozedrå mnie na strzępy, pomyślał Mierzwa. Skupił się i poczuł, że wzbiera w nim znajomy bulgot, rozciągający go na wszystkie strony, jakby w jego żołądku walczyły dwa gnomy śmieciarze. Zacisnął zęby. Zanosilo się na duży wybuch.

Opiekun psów dmuchnął w piłkarski gwizdek i psy runęły do przodu niczym zębate torpedy. Z Mierzwy wyrwał się strumień gazu, tak silny, że wypalił dziurę w dywanie. Pchnięty odrzutem krasnal znalazł się pod sufitem, do którego przywarły jego spragnione pory. Był bezpieczny. Na razie.

Wilczury zdumiały się. W swoim czasie zdążyły przeżuć większość istot w łańcuchu pokarmowym, ale to było coś nowego. I niezbyt przyjemnego. Musicie pamiętać, że psi nos jest znacznie wrażliwszy niż ludzki.

Opiekun zagwizdał jeszcze kilka razy, jednak jego władza skończyła się z chwilą, gdy Mierzwa wzbił się w górę na fali wiatrów. Psy, którym wreszcie wróciło czucie w nozdrzach, jęły skakać do góry, zgrzytając w locie zębami.

Mierzwa przerażony przełknął ślinę. Pies jest sprytniejszy od przeciętnego goblina, toteż wilczury lada moment mogły wpaść na pomysł, by wspiąć się na jakiś mebel i stamtąd rzucić się na intruza. Spojrzał w kierunku okna. Niestety, opiekun psów uprzedził go, blokując otwór swym opatulonym ciałem i jednocześnie usiłując wydobyć zza pasa broń. Żarty się skończyły. Krasnale mają wiele zalet, ale nie są kuloodporne.

W drzwiach sypialni pojawiła się Maggie V, wymachując chromowanym kijem bejsbolowym. Nie taką znała ją publiczność – jej twarz pokrywała zielona maź, a pod oczami widniały przyklejone torebki po herbacie.

–Mam cię, panie Zwierzak! – zawołała z satysfakcją. – Żadne przyssawki nie ocalą ci skóry.

Mierzwa uświadomił sobie, że jego kariera jako Zwierzaka dobiegła końca. Bez względu na to, czy uda mu się uciec, czy nie, policja Los Angeles jeszcze przed świtem złoży wizyty wszystkim karłom.

Miał w zanadrzu już tylko jeden atut – dar języków. Każda wróżka posiada wrodzone zdolności językowe, gdyż w zamierzczłej przeszłości wszystkie mowy świata powstały z gnomickiego – między innymi język psów amerykańskich.

–*Affl* - warknął Mierzwa. – *Uff hau hau. Wrr!*

Psy zamarły. Jeden wręcz znieruchomiał w locie, lądując niezdarnie na grzbiecie kolegi. Ze złości jęły gryźć się nawzajem w ogony, natychmiast jednak uświadomiły sobie, że na suficie siedzi istota, która na nie... szczeka. Istota owa miała okropny akcent, jakby środkowoeuropejski, ale niewątpliwie władała językiem psów.

–*AuuuJ?* - zapytał pierwszy pies. – Co mówisz? Mierzwa wskazał na opiekuna.

–*Wrr uffarruf.* Ten człowiek ma kość pod kurtką! – warknął (w przekładzie, rzecz jasna).

Owczarki skoczyły na opiekuna. Mierzwa skorzystał z zamieszania i czym prędzej dał nura przez okno. Maggie V zawyła tak donośnie, że maseczka na jej twarzy popękała, a herbaciane torebki spod oczu odpadły. I choć Zwierzak zdawał sobie sprawę, że pewien rozdział jego życia zamknął się nieodwołalnie, jednakże doznał niemałej przyjemności, wiedząc, że unosi za pazuchą należącą do niej statuetkę.

Szyb E

Do odpalenia bomb ogłuszających zostało zaledwie dwadzieścia sekund, a komendant nadal tkwił przyklejony do skalnej ściany. Wędrowcy nie zabrali przenośnych skrzydeł, jednak nawet gdyby je wzięli, nie mieliby czasu przekazać ich na zewnątrz. Wiedzieli, że jeśli natychmiast nie ściągną Bulwy ze ściany, wybuch ładunków rzuci go w otchłań szybu – a na stopiony organizm nie podziałają już żadne czary. Była tylko jedna możliwość. Holly musiała użyć chwytaków zewnętrznych.

Wszystkie wahadłowce są wyposażone w zapasowe urządzenia dokujące. Jeśli przyrządy lądowiska zawiodą, ze szczelin w brzuchu statku wysuwają się cztery magnetyczne chwytaki, które przywierają do metalowej powierzchni doku i pozwalają przeciągnąć wahadłowiec do wnętrza śluzy. Chwytaki bywają też przydatne podczas lądowań w obcym środowisku, kiedy wykrywają śladowe pierwiastki i przysysają się do nich niczym ślimaki.

–Okej, Juliuszu – rzekła Holly. – Teraz nie waż się drgnąć.

Bulwa pobladł. Juliuszu! Holly powiedziała doń Juliuszu! To nie wróżyło niczego dobrego. Dziesięć sekund. Holly włączyła mały ekran podglądu.

–Uruchomić przedni chwytak dokujący z lewej burty.

Lekki zgrzyt zasygnalizował uwolnienie chwytaka.

Na podglądzie pojawił się komendant. Nawet z tej odległości wyglądał na przestraszonego. Holly nastawiła celownik na jego klatkę piersiową.

–Kapitan Nieduża, czy na pewno wiecie, co robicie?

Holly zignorowała pytanie zwierzchnika.

–Zakres piętnaście metrów. Tylko magnesy.

–Holly, może mógłbym skoczyć. Dam radę. Jestem pewien, że dam radę...

Pięć sekund.

–Odpalić lewy chwytak.

Sześć maleńkich ładunków wybuchło pod podstawą chwytaka, wyrzucając w stronę Bulwy metalowy dysk, za którym ciągnął się polimerowy kabel.

Komendant otworzył usta, by zakląć, lecz w tym momencie rozpędzony chwytak uderzył go w pierś, wyciskając z jego płuc resztki tchu. Coś – chyba kilka cosiów – w nim pękło.

–Wciągać – warknęła Holly w mikrofon komputera, szybko kierując prom na drugą stronę szybu. Pociągnięty na linie komendant poleciał za nią jak wyczynowy narciarz wodny.

Zero sekund. Ładunki ogłuszające wybuchły, wrywając ze ściany lawinę dwustu tysięcy ton skruszonej skały i pyłu, która, wirując, runęła w otchłań. Zaledwie kropelka w oceanie magmy.

Po minucie komendant leżał już przypięty do wózka w izbie chorych na promie ambasadora. Każdy oddech przyprawiał go o straszny ból, co jednak nie przeszkadzało mu pomstować.

–Kapitan Nieduża! – charczał. – Co wy, do cholery, sobie wyobrażacie! Mogłem zginąć!

Butler rozerwał kurtkę Bulwy i ocenił jego stan.

–Rzeczywiście – powiedział. – Mógł pan. Jeszcze pięć sekund i zamieniłby się pan w miazgę. Żyje pan tylko dzięki Holly.

Holly wyszarpnęła z podręcznej apteczki opatrunek i zmiążdżyła go w palcach, by uaktywnić kryształki. Był to kolejny wynalazek Ogierka – okłady z lodu, nasyczone kryształkami leczniczymi. Choć nie mogły zastąpić czarów, działały o niebo skuteczniej niż pocałunek współczucia.

–Gdzie boli?

Bulwa kaszlnął i na jego mundur upadła kropla krwi.

–Ogólnie wszędzie. Chyba poszło kilka żeber.

Holly zagryzła wargi. Nie była lekarzem, a uzdrawianie w żadnym razie nie należało do czynności mechanicznych. Zbyt wiele było możliwości popełnienia błędu. Holly poznała kiedyś podporucznika, który złamał nogę i zemdłał, po czym ocknął się ze stopą skierowaną do tyłu. Oczywiście, Holly wykonała już co najmniej jeden ryzykowny zabieg – kiedy Artemis zapragnął, by uleczyć jego matkę z depresji. Pani Fowl znajdowała się w innej strefie czasowej, Holly uruchomiła zatem sygnał dodatni z dużą ilością magicznych iskierek, które miały wystarczyć jej na kilka dni. Coś w rodzaju ogólnego środka na wzmocnienie. I rzeczywiście – każdy, kto w ciągu następnego tygodnia wpadł choćby na chwilę do dworu Fowlów, opuszczał go ze śpiewem na ustach.

–Holly – wymamrotał Bulwa.

–Dobrze już, dobrze.

Położyła dłonie na piersi komendanta. Z jej palców popłynęła czarodziejska moc.

–Uzdrawiaj – szepnęła.

Kiedy komendant zemdłał, ukazując białka oczu – czary wyłączały zmysły, by przyspieszyć regenerację organizmu – Holly umocowała opatrunek na jego klatce piersiowej.

–Trzymaj – pouczyła Artemisa. – Ale tylko przez dziesięć minut. Inaczej dojdzie do uszkodzeń tkanki.

Artemis przycisnął opatrunek i natychmiast pobrudził sobie palce krwią. Nagle całkowicie opuściła go chęć wygłoszenia jakiejś błyskotliwej uwagi. Najpierw wysiłek fizyczny, potem uszczerbek na ciele, a teraz to! Doprawdy, ostatnie dni dały mu niezłą szkołę! Prawie zapragnął znów znaleźć się u świętego Bartleby'ego.

Tymczasem Holly pośpiesznie wróciła do kokpitu i przesunęła kamery ku ziejącemu w ścianie wlotowi tunelu dostawczego.

–No jak? – zapytał Butler, wciskając się w fotel drugiego pilota. – Co mamy?

–Mamy dużą dziurę – odrzekła Holly, szczerząc zęby w uśmiechu; Butler przysięgłby nawet, że przez chwilę jej mina przypominała mu Artemisa Fowla.

–Dobra. To chodźmy odwiedzić starego przyjaciela.

Kciuki Holly zawisły nad dźwigniami odrzutu.

–Tak – powiedziała. – Chodźmy. Wahadłowiec Atlantydów zniknął w tunelu dostawczym szybciej niż marchewka w przelyku Ogierka. Tych z was, którzy tego nie widzieli, informuję, że to naprawdę szybko.

Hotel Crowley, Beverly Hills, Los

Angeles

Mierzwa niepostrzeżenie dotarł do hotelu. Oczywiście, tym razem nie musiał wdrapywać się po ścianie, co zresztą byłoby zadaniem trudniejszym niż w wypadku budynku Maggie V. Tutejsze mury zbudowano z bardzo porowatej cegły i palce krasnala wyssałyby z nich wilgoć, tracąc w ten sposób całą przyczepność.

Nie, tym razem Mierzwa wszedł głównym wejściem. I czemużby nie? Dla recepcjonisty był Lance'em Kopaczem, milionerem samotnikiem, osobnikiem być może niskim, ale za to bogatym.

–Czołem, Art – rzekł Mierzwa, salutując recepcjoniście w drodze do windy.

Art wyrzwał zza marmurowego kontuaru.

–A, to pan, panie Kopacz – powiedział lekko zaskoczony. – Wydawało mi się, że przed chwilą pana widziałem. Coś mi mignęło poniżej linii wzroku.

–Nie – odparł Mierzwa, radośnie się uśmiechając. – Pierwszy raz dziś wychodziłem.

–Hmm. To pewnie nocny wiatr.

–Pewnie tak. Mogliby wreszcie zlikwidować przeciągi w budynku. Przy takich cenach...

–Rzeczywiście – zgodził się Art. Gość ma zawsze rację, oto polityka firmy.

Znalazłszy się w wykładanej lustrami windzie, Mierzwa wyjął składaną pałeczkę i nacisnął najwyższy przycisk z literą D – dach. Przez pierwszych kilka miesięcy skakał do guzika, w końcu jednak uznał, że to zachowanie niegodne milionera. A poza tym był przekonany, że Art za swoim kontuarem doskonale słyszy głuche odgłosy jego podskoków.

Lustrzana klatka wznosiła się ku dachowi, bezszelestnie mijając kolejne piętra. Mierzwa z trudem oparł się pokusie, by wyjąć z torby skradzionego Oskara. W każdej chwili ktoś mógł przecież wsiąść do windy, toteż krasnal zadowolił się długim łykiem irlandzkiej wody źródlanej, jedyne ludzkiego napoju, którego czystość choć trochę przypominała wodę wróżek. Zaraz będzie w domu, marzył, ukryje łup i zanurzy się w zimnej kąpieli. Musiał napić swoje pory, inaczej mógłby obudzić się rano przyklejony do łóżka.

Szyfrowy zamek do mieszkania Mierzwy otwierał się po wprowadzeniu czternastu

cyfr. Nie ma jak odrobina paranoi, by uniknąć więzienia. Albowiem choć w SKR sądzono, że Mierzwa nie żyje, on sam nigdy nie pozbył się wrażenia, iż któregoś dnia Juliusz Bulwa wykombinuje sobie, co się naprawdę zdarzyło, i w końcu go odnajdzie.

Apartament Mierzwy w ogóle był dość niezwykły. Przyozdobiony zwałami gliny, odłamkami skalnymi i źródłami bieżącej wody, bardziej przypominał wnętrze jaskini niż ekskluzywną rezydencję w Beverly Hills. Północna ściana wyglądała jak zrobiona z litego czarnego marmuru – ale było to tylko wrażenie. Uważny obserwator dostrzegłby na niej płaski ekran czterdziestocalowego telewizora, stację DVD i taflę przyciemnionego szkła.

Mierzwa dźwignął sterownik, większy od własnej nogi, i wprowadził doń kolejny skomplikowany szyfr. Ciemna szyba uniosła się, ukazując gablotę, w której załśniły zdobyte wcześniej nagrody Akademii, ustawione w trzech rzędach. Krasnal pieczołowicie ustawił statuetkę przyznaną Maggie V na przygotowanej wcześniej aksamitnej podkładce.

Udając, iż ociera łzę z oka, zachichotał:

–I chciałbym podziękować Akademii.

–Nader wzruszające – odezwał się głos za jego plecami.

Mierzwa zatrzaskał drzwiczki gabloty tak mocno, że szyba pękła.

W jego mieszkaniu, obok skalnego osypiska, stał nieznanymi młody człowiek. Nawet wedle ludzkich norm wyglądał dziwnie. Był nienaturalnie blady, kruczowłosy i szczupły; jego szkolny mundurek wyglądał, jakby wleczono go przez błoto dwóch kontynentów.

Włosy w brodzie Mierzwy zjeżyły się. Ten chłopak oznaczał kłopoty. Krasnalowa broda nigdy się nie myli.

–Masz zabawną instalację alarmową – ciągnął przybysz. – Jej pokonanie zajęło mi dobre parę sekund.

Mierzwa zrozumiał, że sprawa jest poważna. Ludzka policja nie włamuje się do cudzych mieszkań.

–Kim jesteś, czło... chłopcze?

–Sądzę, że należy raczej zapytać, kim ty jesteś? Nieuchwytnym milionerem, Lance'em Kopaczem?

A może osławionym Zwierzakiem? Czy też, jak podejrzewa Ogierek, zbiegłym

więźniem, Mierzwą Grzebaczkim?

Mierzwa rzucił się do ucieczki, korzystając z odrzutu resztek gazu. Nie miał pojęcia, kim jest ten Błotny Chłopiec, ale jeśli przysłał go Ogierek, musiał być jakimś łowcą nagród.

Pędem przebiegł przez salon, kierując się ku swemu tajnemu wyjściu. Mieszkanie w tym budynku wybrał właśnie ze względu na drogę ucieczki. Na początku dwudziestego stulecia przez całą wysokość gmachu prowadził szeroki przewód kominowy; firma zakładająca później centralne ogrzewanie po prostu zasypała go piachem i zalała od góry betonem. Kiedy agent nieruchomości otworzył drzwi frontowe, Mierzwa od razu wywęszył żyłę ziemną. Odsłonięcie starego kominka i wydłubanie zeń betonu było kwestią chwili – i *voilà*, tunel gotowy.

Krasnal w biegu odpiął klapę na zadku, lecz dziwny młodzieniec wcale go nie ścigał. Po co? Przecież nie było stąd wyjścia.

Mierzwa poświęcił chwilę, by rzucić na odchodnym:

–Nie weźmiesz mnie żywcem, człowieku. I zapytaj Ogiarka, od kiedy to Błotniaki wykonują za niego brudną robotę.

O rany, pomyślał Artemis, pocierając czoło. Hollywood naprawdę odpowiada za wiele głupich odzywek.

Wyciągnąwszy z kominka kosz suszonych kwiatów, Mierzwa dał nura do otworu i rozwierając szczęki, zanurzył się w stuletniej ziemi. Właściwie nie bardzo mu smakowała. Minerale i składniki odżywcze już dawno w niej wyschły, zawierała natomiast mnóstwo popiołu tytoniowego i spalonych śmieci. Niemniej, miał do czynienia z piachem – żywiołem, w którym krasnale czują się najlepiej. Mierzwa powoli się uspokajał. Żadna żywa istota nie mogła go już dogonić. Znajdował się w swoim królestwie.

Wędrował w dół, przegryzając się szybko przez kolejne piętra. Drogę, którą przeszedł, znaczyły liczne zawałone ściany, więc raczej nie liczył, że kiedykolwiek odzyska kaucję wpłaconą za mieszkanie. Oczywiście, jeżeli zdoła się po nią zgłosić.

Po niecałej minucie dotarł do podziemnego parkingu. Zwarł ponownie szczęki, potrząsnął zadkiem, by pozbyć się ewentualnych baniek gazu, po czym pchnął pokrywę wjazdu. W garażu czekał nań specjalnie przystosowany samochód z napędem na cztery koła, bakiem pełnym benzyny i zaciemnionymi szybami.

–Frajerzy – zaśmiał się z satysfakcją krasnal, wyciągając kluczyki przyczepione do łańcuszka na szyi.

Pół metra przed nim pojawiła się kapitan Holly Nieduża.

–Frajerzy, powiadasz? – zapytała, wyciągając elektryczną pałkę.

Mierzwa błyskawicznie ocenił sytuację. Podłogę garażu pokrywał asfalt – asfalt, substancja śmiertelna dla krasnali, która zatykała im wnętrzności jak klej. Rampę zjazdową blokował człowiek góra. Mierzwa spotkał go już we dworze Fowlów – a zatem chłopiec na górze musiał być złowrogim Artemisem Fowlem. Przed nim stała kapitan Nieduża, na której litość nie mógł liczyć. Miał tylko jedno wyjście. Z powrotem do komina, kilka pięter w górę i kryjówka w jakimś pustym mieszkaniu.

–No, Mierzwa – wyszczerzyła zęby Holly. – Ani się waż!

Lecz Mierzwa się ważył. Odwrócił się i rzucił z powrotem do przewodu, przez cały czas oczekując ostrego wstrząsu w zadku. Nie zawiódł się. Jakże Holly mogłaby chybić takiego celu?

Szyb El 16, Los Angeles

Port promowy Los Angeles znajdował się dziesięć kilometrów na południe od miasta, ukryty pod holograficznym obrazem piaszczystej wydmy. W wahadłowcu oczekiwał ich Bulwa, który wyzdrowiał już do tego stopnia, że nawet się uśmiechał.

–No, no – mruknął, zwlekając się z łóżka ze świeżym opatrunkiem na żebrach. – Mój ulubiony recydywista najwyraźniej zmartwychwstał!

Mierzwa otworzył osobistą lodówkę ambasadora i wyjął słoik pasztetu z ośmiornicy.

–Juliuszu, jak to jest, że nigdy nie odwiedzasz mnie towarzysko? W końcu to ja w Irlandii ocaliłem twoją karierę. Beze mnie nigdy byś się nie dowiedział, że Fowl ma egzemplarz Księgi.

Gdy Bulwa się wściekał, tak jak teraz, na jego policzkach można było piec grzanki.

–Mieliśmy umowę, skazany. Zerwaliście ją. Więc teraz ja was aresztuję.

Krasnal krótkimi paluchami wygrzebywał ze słoika duże kawałki pasztetu.

–Przydałby się sok z żuka – zauważył.

–Cieszcie się, póki możecie, Grzebaczek. Następny posiłek dostaniecie przez otwór w drzwiach.

–Wygodny – pochwalił Mierzwa, rozpierając się w wyściełanym fotelu.

–Też tak sędzę – zgodził się Artemis. – Jakieś hydrauliczne zawieszenie. Kosztowne, jak miemam.

–Znacznie lepsze niż prom więzienny – przyznał Mierzwa. – Pamiętam, jak mnie złapali, kiedy chciałem sprzedać van Gogha pewnemu Teksańczykowi. Przewozili mnie wahadłowcem wielkości mysiej dziury, a w sąsiedniej celi siedział troll. Strasznie śmierdziało.

–Troll też tak mówił – zaśmiała się Holly. Bulwa wiedział, że krasnal go prowokuje, ale i tak wybuchnął złością.

–Słuchajcie no, skazany. Nie po to jechałem taki kawał, żeby teraz słuchać waszych wspomnień z wojska. Więc zamknijcie jadaczkę, zanim ja wam ją zamknę.

Na Mierzwie ta przemowa nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

–A tak dla ciekawości, Juliuszu, po co właściwie jechałeś taki kawał? Wielki

komendant Bulwa rekwiruje prom ambasadora tylko po to, żeby zatrzymać takie nic jak ja? Co się dzieje? I o co chodzi z tymi Błotniakami? Zwłaszcza z nim – rzekł, kiwając głową w stronę Butlera.

–Pamiętasz mnie, maluchu? – wyszczerzył zęby służący. – Chyba jesteś mi coś winien?

Mierzwa przełknął ślinę ze zdenerwowania. Już kiedyś wszedł Butlerowi w drogę. Dla człowieka to spotkanie skończyło się fatalnie, gdyż krasnal opróżnił brzuch pełen gazów prosto w jego twarz. Bardzo to krępujące dla ochroniarza z opinią Butlera, nie mówiąc już o tym, że dość bolesne.

Bulwa roześmiał się, nie bacząc na połamane żebra.

–Dobra, Mierzwa. Macie rację. Coś się dzieje. Coś ważnego.

–Tak myślałem. I jak zwykle, potrzebujecie mnie do brudnej roboty. – Mierzwa potarł zadek. – Więc ci powiem, że siłą wiele nie wskóracie. Pani kapitan, nie musiałaś mnie tak mocno razić. Będę miał bliznę.

Holly przyłożyła dłoń do spiczastego ucha.

–Hej, Mierzwa, jak się porządnie skupisz, to może usłyszysz, że nikt nad tobą nie płacze. Z tego, co widziałam, nieźle się urządziłeś za złoto SKR.

–Wiesz, że ten apartament kosztował mnie fortunę? Sama kaucja wyniosła więcej, niż ty zarabiasz w cztery lata. Widziałaś, jaki stamtąd widok? Przedtem mieszkał tam jakiś reżyser.

–Miło mi, że pieniądze się przydały – rzekła Holly, szyderczo unosząc brew. – Niech cię ręka boska broni, żebyś miał je roztrwonić.

–Czego się czepiasz? – wzruszył ramionami Mierzwa. – W końcu jestem złodziejem. Spodziewałaś się, że założę schronisko dla ubogich?

–Nie, Mierzwa, może to dziwne, ale ani przez sekundę się tego nie spodziewałam.

Artemis odchrząknął.

–Wasze spotkanie po latach jest nader wzruszające, ale kiedy wy się przekomarzacie, mój ojciec zamarza na śmierć w Arktyce.

Krasnal zapiął kombinezon.

–Jego ojciec? Chcecie, żeby ratował ojca Artemisa Fowla? W Arktyce?

W jego głosie zabrzmiał prawdziwy lęk. Krasnale nienawidzą lodu prawie tak samo jak ognia.

–Chciałbym, żeby to było takie proste – potrząsnął głową Bulwa. – Za chwilę i ty tego zechcesz.

Włosy w brodzie Mierzwy skręciły się z niepokoju. Jak to mawiała jego babka? Ufaj brodzie, Mierzwa, ufaj brodzie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Chłopcy wracają

Boks operacyjny

Ogierek myślał. Myślał bez przerwy. Pomysły wyskakiwały z jego głowy niczym prażona kukurydza z kuchenki mikrofalowej. Ale nie mógł nic zrobić, nie mógł nawet zadzwonić do Juliusza, żeby zdręczać go jakimś niewydarzonym planem. Najwyraźniej jego jedyną bronią był laptop Fowla. Czuł się, jakby próbował walczyć z trollem za pomocą wykałaczki.

Oczywiście, ludzki komputer miał pewne archaiczne zalety. Poczta elektroniczna już okazała się użyteczna, oczywiście, jeśli ktoś odebrał list. W pokrywie laptopa zamontowano też małą kamerę do prowadzenia telekonferencji, niedawny „wynalazek” Błotnych Ludzi, którzy do tej pory porozumiewali się za pomocą tekstów lub fal dźwiękowych. Ależ barbarzyńcy, cmoknął Ogierek. Musiał jednak przyznać, że kamera, wyposażona w kilka filtrów, jest bardzo wysokiej jakości. Gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, mógłby wręcz przysiąc, iż ktoś przemycił na górę tajniki technologii wróżek.

Trącił kopytem laptop, kierując kamerę w stronę ekranów na ścianie. No, Pałka, chodź tutaj, uśmiechnij się, patrz, ptaszek leci.

Nie musiał długo czekać. Nie minęło kilka chwil, a ekran ożył i pojawiła się na nim postać Pałki, wymachującego białą flagą.

–Bardzo ładnie – zauważył centaur sarkastycznie.

–Też tak sędzę – odparł elf, teatralnie powiewając proporcem. – Przyda się na później. – I naciskając przycisk sterownika, zagadnął: – Może pokażę ci, co się dzieje na zewnątrz?

Szyby pojaśniały, ukazując kilka ekip technicznych gorączkowo próbujących przełamać system obronny boksu operacyjnego. Większość techników używała sensorów cyfrowych, bezskutecznie kierując je w stronę licznych interfejsów, w które wyposażył boks Ogierek. Niektórzy jednak wzięli się do dzieła w tradycyjny sposób i walili w interfejsy wielkimi młotami. Jak dotąd ani jednym, ani drugim się nie powiodło.

Ogierek przełknął ślinę. Czuł się jak szczur w pułapce.

–Może opowiesz mi o swoim planie, Wrzosiec? Czy nie tak zazwyczaj postępują

złoczyńcy, opętani żądzą władzy?

Pałka usadowił się w obrotowym fotelu.

–Jak sobie życzysz. Pamiętaj, że to nie jest jeden z twoich ukochanych ludzkich filmów. Żaden bohater nie wtargnie tu za pięć dwunasta. Nieduża i Bulwa już nie żyją. Ich ludzcy kumple też. Żadnego ratunku, żadnego ocalenia. Pewna śmierć.

Ogierek wiedział, że powinien odczuwać smutek, ale znalazł w sobie tylko nienawiść.

–W chwili – ciągnął Pałka – gdy sprawy przybiorą naprawdę rozpaczliwy obrót, nakażę Opal przywrócić SKR kontrolę nad bronią. Sprawimy, że członkowie B’wa Kell stracą przytomność, a wina za całe zajście spadnie na ciebie. Oczywiście, jeśli przeżyjesz, w co wątpię.

–Kiedy B’wa Kell się ockną, wskażą na ciebie jako winowajcę.

Pałka pomachał palcem.

–Tylko niewielu z nich wie o moim udziale. Nimi zajmę się osobiście. Już zostali wezwani do Laboratoriów Koboi, gdzie wkrótce zamierzam się udać. Armaty są skalibrowane w taki sposób, by odrzucać łańcuchy DNA goblinów. We właściwym czasie uruchomimy je i całe goblinie wojsko wypadnie z gry.

–I Opal Koboi pewnie zostanie imperatorową?

–Naturalnie – odparł głośno Pałka.

Po chwili jednak zaczął gmerać przy klawiaturze sterownika, upewniając się, że rozmawiają na bezpiecznym kanale.

–Imperatorową? – wysyczał. – Doprawdy, Ogierek! Naprawdę sądzisz, że zadawałbym sobie tyle trudu, by potem dzielić się władzą? O, nie! Kiedy skończy się ta zabawa, pannę Koboi spotka tragiczny wypadek. A może nawet kilka wypadków.

W Ogierku wezbrał gniew.

–Ryzykując banał, Wrzosiec, powiem, że nie ujdzie ci to na sucho.

Palec Pałki zawisł nad przyciskiem „Zakończ”.

–Jeśli nawet – oznajmił uprzejmie – to nie dożyjesz tej przyjemności.

I zniknął, pozostawiając centaura w boksie na pastwę losu. Przynajmniej tak mu się wydawało. Ogierek sięgnął pod biurko do laptopa.

–Kamera stop – mruknął. – Ludzie, ale ujęcie!

Szyb E 1

Holly przycumowała wahadłowiec do ściany nieużywanego szybu.

–Mamy około trzydziestu minut. Czujniki wewnętrzne prognozują wybuch magmy za mniej więcej pół godziny, a takiej temperatury nie wytrzyma żaden statek.

Siedzieli w klimatyzowanym salonie, usiłując wymyślić jakiś plan. Naturalnie, oczy wszystkich zwrócone były na Artemisa.

–Jak już mówiłem – rzekł komendant – musimy się włamać do Laboratoriów Kobi i odzyskać kontrolę nad uzbrojeniem SKR.

Mierzwa zerwał się z fotela i ruszył do drzwi.

–Nie ma mowy, Juliuszu. Od czasu, gdy tam byłem, unowocześnili zabezpieczenia. Słyszałem nawet, że mają armaty kodowane DNA.

Bulwa chwycił krasnała za kołnierz.

–Po pierwsze, skazany, nie mówcie do mnie Juliuszu. Czy wam się wydaje, że macie jakiś wybór?

–Mam wybór, Juliuszu – łypnął Mierzwa. – Mogę po prostu odsiedzieć wyrok w miłej, cichej celi. Wysyłanie mnie na linię ognia to pogwałcenie moich praw obywatelskich.

Twarz Bulwy jęła się mienić odcieniami purpury, od pastelworóżowej do ciemnofioletowej.

–Prawa obywatelskie! – ryknął. – I ty śmiesz mi mówić o prawach obywatelskich! To do ciebie podobne!

Lecz po chwili dziwnie się uspokoił. Właściwie, wręcz wyglądał na szczęśliwego. Jednak osoby dobrze znające komendanta wiedziały, że kiedy on był szczęśliwy, kogoś innego na ogół spotykało coś bardzo smutnego.

–Co? – zapytał Mierzwa podejrzliwie. Bulwa zapalił paskudne grzybowe cygaro.

–Nic, nic – odrzekł. – Po prostu, chyba masz rację.

–Ja mam rację? – przyjrzał mu się krasnał. – Przyznajesz przy świadkach, że ja mam rację?

–Pewnie. Wysyłając cię na pierwszą linię, złamałbym wszystkie przepisy w regulaminie. Trudno, zrezygnuję z fantastycznego układu, który miałem zamiar ci zaproponować, dołożę ze dwa stulecia do twojego wyroku i wsadzę cię do więzienia o zastrzonym rygorze. – Bulwa urwał i wydmuchał dym prosto w twarz Mierzwy. – Na Wzgórzu Wyjców.

Pod warstwą błota policzki Mierzwy poblady jak wosk.

–Wzgórze Wyjców? Ale to...

–...więzienie dla goblinów – dokończył komendant. – Wiem. Ale gdy osadzony stwarza tak duże ryzyko ucieczki, jak wy, nie sądzę, bym miał kłopoty z przekonaniem Rady, by uczyniła wyjątek.

Mierzwa opadł bezsilnie na wyściełany żyroskopowy fotel. Niedobrze. Jego ostatni pobyt w celi z goblinami bynajmniej nie należał do zabawnych, a to był zaledwie areszt w Komendzie Policji. Wśród ogółu więźniów nie przetrwałby nawet tygodnia.

–No dobra, co to za układ? – westchnął.

Artemis uśmiechnął się zafascynowany. Komendant Bulwa okazał się sprytniejszy, niż można by sądzić po jego wyglądzie. Chociaż, z drugiej strony, to chyba nic trudnego...

–Aaa, więc jednak jesteś zainteresowany?

–Może. Ale nic nie obiecuję.

–No, dobra. To jednorazowa oferta. Nawet nie próbuj się targować. Załatwisz nam wejście do Laboratoriów Koboï, a ja dam ci dwa dni wyprzedzenia, kiedy to wszystko się skończy.

Mierzwa przełknął ślinę. Propozycja istotnie była świetna. SKR musiały wpaść w niezłe tarapaty.

Komenda Policji, Oaza City

W Komendzie Policji robiło się coraz goręcej. Potwory stały u bram. Dosłownie. Kapitan Wodorost miotał się między stanowiskami, usiłując podnieść załogę na duchu.

–Nie martwcie się, Softnose’y nie dadzą rady tym drzwiom. Musieliby mieć bombę albo coś w tym rodzaju...

W tym momencie coś uderzyło w drzwi z ogromną siłą. Blacha wybrzuszyła się jak

torba nadmuchana przez dziecko. Drzwi jednak wytrzymały. Tym razem.

Z sali przygotowań taktycznych wypadł Pałka, na którego piersi polyskiwały żołądźcie komendanta. Przywrócony do obowiązków przez Radę, wszedł do historii jako jedyny oficer SKR dwukrotnie mianowany na funkcję naczelnego dowódcy.

–Co to było?

Kłopot wywołał na monitorach widok od frontu. Przed bramą Komendy stał goblin z wielką rurą na ramieniu.

–Jakiś miotacz. Chyba jeden z tych wielkokalibrowych Softnose'ów.

Pałka palnął się w czoło.

–Nie mów! Przecież miały być zniszczone! Przekleństwo z tym centaurem! Jak mu się udało wykraść nam całe żelastwo spod nosa?

–Nie osądzaj siebie tak surowo – rzekł Kłopot. – Wszyscy daliśmy się nabrać.

–Ile jeszcze wytrzymamy?

–Niewiele – wzruszył ramionami kapitan. – Jeszcze ze dwa wybuchy. Może mieli tylko jeden pocisk...

Słowa te należało zapisać w annałach, gdyż drzwi zatrzęśły się po raz drugi, a z kolumn zaczęły odpadać odłamki marmuru.

Kłopot podniósł się z ziemi. Magiczne moce błyskawicznie zamykały rozcięcie na jego czole.

–Sanitariusze, sprawdzić, czy są ranni. Broń naładowana?

Pędrak przykuśtykał do niego, uginając się pod ciężarem dwóch elektrycznych karabinów.

–Gotowe do akcji, kapitanie. Trzydzieści dwie sztuki, po dwadzieścia impulsów każdy.

–Świetnie. Wyznacz najlepszych strzelców. I niech nikt nie waży się otwierać ognia, dopóki nie dam znać.

Pędrak skinął głową. Był blady i ponury.

–Dobrze, kapralu. Zajmijcie pozycje – rzekł Kłopot, a gdy jego brat oddalił się poza zasięg głosu, zwrócił się cicho do Pałki: – Nie wiem, co panu powiedzieć,

komendancie. Wyszadzili tunel prowadzący do Atlantydy, więc pomoc stamtąd nie nadejdzie. Nie możemy zatrzymać czasu, gdyż nie da się wokół nich ustawić pentagramu. Jesteśmy całkowicie otoczeni, a B'wa Kell mają więcej ludzi i broni. Jeśli przerwą zaporę przeciwbombową, w ciągu kilku sekund będzie po nas. Musimy koniecznie dostać się do tego boksu operacyjnego. Jakież postępy?

Pałka pokręcił głową.

–Technicy wciąż pracują. Nasze sensory obserwują każdy centymetr kwadratowy powierzchni. Ale raczej nie znajdziemy kodu dostępu, chyba że przez przypadek.

Kłopot przetarł zmęczone oczy.

–Potrzebuję czasu. Trzeba ich jakoś powstrzymać. Pałka wyciągnął zza pazuchy białą flagę.

–Jest pewien sposób...

–Komendancie! Nie może pan do nich wyjść! To samobójstwo!

–Możliwe – przyznał komendant. – Lecz jeśli nie wyjdę, za kilka minut i tak wszyscy zginiemy. A tak przynajmniej zyskamy kilka minut, żeby popracować nad boksem operacyjnym.

Kłopot zastanowił się. Rzeczywiście, chyba innej drogi nie było.

–Co pan im zaproponuje?

–Zwolnienie więźniów ze Wzgórza Wyjców. Może uda się wynegocjować coś w rodzaju kontrolowanej amnestii.

–Rada nigdy na to nie pójdzie.

Pałka wyprostował się do pełnej wysokości.

–Nie pora na politykę, kapitanie. Pora działać! Szczerze mówiąc, Kłopot ogromnie się zdumiał.

Dotąd nie znał takiego Wrzośca Pałki. Ktoś najwyraźniej zrobił elfowi przeszczep kręgosłupa.

Ale teraz nowo mianowany komendant wyraźnie zamierzał zasłużyć na kiść żołędzi na klatce piersiowej. Kłopot poczuł, że w jego piersi wzbiera uczucie, którego nigdy przedtem nie doznawał wobec Pałki. Był to szacunek.

–Uchylcie odrobinę drzwi wejściowe – rozkazał komendant spiżowym głosem. W

przyszłości Ogierek miał uwielbiać to nagranie. – Wychodzę do tych gadów.

Kłopot przekazał polecenie. Jeśli kiedykolwiek się stąd wydostaną, pomyślał, osobiście dopilnuje, by komendant Pałka został pośmiertnie odznaczony orderem Złotej Żołędzi. Co najmniej.

Nieoznakowany szyb pod Laboratoriami

Koboi

Prom Atlantydów pędził w głąb ogromnego szybu. Holly prowadziła go tuż przy ścianie, niekiedy tak blisko, że farba niemal odpadała z kadłuba.

Artemis wyjrzał z kabiny pasażerskiej.

–Pani kapitan, czy to naprawdę konieczne? – zapytał, gdy po raz nty zaledwie kilka centymetrów dzieliło ich od śmierci. – Czy to kolejne popisy chłoptasiów-latasiów?

–A wyglądam na chłoptasia, Fowl? – puściła doń oko Holly.

Artemis musiał przyznać, że nie. Kapitan Nieduża była niezwykle ładna nader niebezpieczną urodą, mniej więcej tak ładna, jak czarna wdowa. Artemis przeczuwał, że gdy za jakieś osiem miesięcy zaatakują go hormony dojrzewania, spojrzy na Holly innym okiem. Może to i dobrze, że miała osiemdziesiąt lat.

–Lecę blisko ściany, bo szukam szczeliny, która według Mierzwy rzekomo znajduje się gdzieś w tej okolicy – wyjaśniła elficzka.

Artemis skinął głową. Teoria krasnala – tak niewiarygodna, że mogła być prawdziwa. Wrócił na rufę, gdzie odbywała się narada – w wersji Mierzwy.

Na podświetlonej ścianie widniał nagryzmołony przez krasnala rysunek. Prawdę mówiąc, nawet niektóre szympany były bardziej uzdolnione artystycznie. I z pewnością mniej... wonne. Jako wskazówki Mierzwa używał marchewki, a raczej kolejnych marchewek. Marchewka to przysmak krasnali.

–To są Laboratoria Koboi – wymamrotał ustami pełnymi warzywa.

–To? – wykrzyknął Bulwa.

–Juliuszu, zdaję sobie sprawę, że schemat nie jest precyzyjny.

Komendant aż wyskoczył z fotela. Gdyby to nie było niemożliwe, można by wręcz przysiąc, że padł ofiarą krasnalowych gazów.

–Nieprecyzyjny? Przecież to zwykły prostokąt, na litość boską!

–Nieważne – Mierzwa pozostał niewzruszony. – Ważny jest tylko ten kawałek.

–Ta krzywa kreska?

–To szczelina – zaprotestował krasnal. – Przecież widać.

–Może w przedszkolu. I co z tego, że szczelina?

–Na tym polega cała chytryść. Widzicie, tej szczeliny na ogół nie ma.

Bulwa znowu zdusił w sobie powietrze, co ostatnio czynił coraz częściej. Jednak Artemis nagle się zainteresował.

–A kiedy się pojawia?

Lecz Mierzwa nie zamierzał udzielić prostej odpowiedzi.

–My, krasnale, wiemy co nieco o skałach. Od wieków je kopujemy.

Palce Bulwy jęły wybijać rytm na pałce elektrycznej.

–Wróżki nie zdają sobie sprawy, że skała żyje – ciągnął Mierzwa. – Oddycha.

–Oczywiście – przytaknął Artemis. – Rozszerza się od gorąca.

Mierzwa triumfalnie ugryzł marchewkę.

–Właśnie. I oczywiście, kurczy się, kiedy stygnie.

–Teraz nawet Bulwa zaczął słuchać. – Laboratoria Koboï zbudowano na płaszczu Ziemi. To dwa kilometry litej skały. Nic się tamtędy nie przedostanie, z wyjątkiem głowic naddźwiękowych, a śmiem twierdzić, że Opal Koboï by je zauważyła.

–I co z tego wynika?

–Kiedy skała stygnie, otwiera się w niej szczelina, która prowadzi wprost pod laboratoria. Wiem, bo pracowałem przy fundamentach, gdy je budowano. Stamtąd jest jeszcze kawał drogi, ale przynajmniej już na terenie zakładów.

Komendant nadal okazywał sceptycyzm.

–Dlaczego Opal Koboï nie zauważyła tak wielkiej szczeliny?

–Kto mówił, że jest wielka?

–A jaka?

–Nie wiem – Mierzwa znów wzruszył ramionami. – Może pięć metrów. W najszerszym miejscu.

–To i tak dużo, jak na szczelinę, która całymi dniami stoi otworem.

–Tyle że ona na ogół nie stoi otworem – wtrącił Artemis. – Prawda, Mierzwa?

–Całymi dniami? Akurat. Zgadując, tak na oko, powiedziałbym, oczywiście to tylko przybliżenie...

Bulwa tracił cierpliwość. Bardzo źle znosił fakt, że jakoś nie nadała za tokiem rozmowy.

–Gadajcie, osadzony, bo znowu przypalę wam tyłek!

–Przestań wrzeszczeć, Juliuszu, bo broda mi się kręci – powiedział urażony Mierzwa.

Bulwa otworzył lodówkę i wystawił policzki na lodowaty powiew.

–No dobra, Mierzwa. Na jak długo ta szczelina się otwiera?

–Najwyżej na trzy minuty. Ostatnim razem miałem zestaw skrzydeł i kombinezon ciśnieniowy, a i tak nieomal zostałem zgnieciony i usmażony.

–Usmażony?

–Niech zgadnę – wtrącił Artemis. – Szczelina otwiera się tylko wtedy, gdy skała dostatecznie się schłodzi. Jeśli więc szczelina znajduje się w ścianie szybu, to najzimniejszy okres przypada tuż przed kolejną flarą.

–Sprytnie, Błotny Chłopaczku – mrugnął doń Mierzwa. – Czego skała nie zgniecie, to zaleje magma.

W głośnikach zazgrzytał głos Holly.

–Mam coś na wizji. Może to cień, a może pęknięcie w ścianie szybu.

Mierzwa wykonał mały taniec, bardzo z siebie zadowolony.

–No, Juliuszu, teraz przyznaj, że znowu miałem rację! Jesteś mi coś winien, Juliuszu, jesteś mi coś winien!

Komendant potarł grzbiet nosa. Przysiągł sobie, że jeśli uda mu się wyjść cało z tej awantury, już nigdy nie opuści posterunku.

Laboratoria Koboï

Laboratoria Koboï otaczał pierścień B'wa Kell, uzbrojonych po zęby i pałających żądzą krwi. Pałka przedarł się przez niechętnie szeregi goblinów, brutalnie poszturchiwany tuzinem luf. Chwilowo nieczynne armaty DNA tkwiły w swoich wieżach, smętnie opuściwszy lufy. Nie szkodzi, pomyślał Pałka – wystarczy, by uznał, że przydatność B'wa Kell się skończyła, a armaty zostaną natychmiast uruchomione.

Żołnierze doprowadzili komendanta do gabinetu Opal i zmusili, by klęknął przed chochliczką oraz trójką generałów. Lecz gdy tylko zniknęli za drzwiami, Pałka poderwał się na równe nogi i przejął dowodzenie.

–Wszystko idzie zgodnie z planem – oznajmił, podchodząc do Opal i gładząc ją po policzku. – Za godzinę Oaza będzie nasza.

Generał Łuskoń nie był przekonany.

–Byłaby nasza znacznie szybciej, gdybyśmy mieli blastery Koboï.

Pałka westchnął.

–Już to przerabialiśmy, generale – rzekł cierpliwie.

–Sygnał zakłócający blokuje działanie wszelkiej broni neutrinowej. Jeśli wy odzyskacie blastery, to SKR także.

Łuskoń poczłapał do kąta, liżąc swe gałki oczne.

Oczywiście, nie był to jedyny powód, dla którego Pałka odmawiał goblinom broni. Nie mógł przecież zbroić grupy, którą zamierzał zdradzić. Opal czekała tylko, by B'wa Kell uporały się z Radą, potem miała zamiar zwrócić władzę w ręce SKR.

–Co u was?

Zwinięta w fotelu Opal odwróciła się do niego.

–Rozkosznie. Główne wejście padło tuż po tym, jak wyszedłeś na... negocjacje.

–To dobrze, że wyszedłem – uśmiechnął się Pałka.

–Mógłbym zostać ranny.

–Kapitan Wodorost zebrał pozostałe siły w sali operacyjnej wokół boksu. Rada też się tam ukryła.

–Doskonale – rzekł Pałka.

Pluja, drugi generał B’wa Kell, uderzył w stół konferencyjny. – Nie, Pałka. Wcale nie doskonale. Nasi bracia marnieją zamknięci na Wzgórzu Wyjców.

–Cierpliwości, generale Pluja – odparł Pałka uspokajająco i nawet położył dłoń na ramieniu goblina. – Kiedy Komenda Policji zostanie zdobyta, bez trudu otworzymy cele na Wzgórzu.

Jednak w środku Pałka aż się gotował. Co za kreatury! Jakże ich nienawidził! Odrażające gady, odziane w stroje uszyte z własnej, zrzuconej skóry! Marzył, by uruchomić wreszcie armaty DNA i uciszyć ich jazgot choćby na kilka upojnych godzin.

Napotkał wzrok Opal. Wiedziała, o czym myśli, i z niecierpliwości aż obnażyła ząbki. Cóż za rozkosznie okrutna istota! Oczywiście, dlatego właśnie musiał się jej pozbyć. Opal Koboi nigdy nie zgodzi się grać drugich skrzypiec.

Puścił do niej oko.

–Niedługo – wyszeptał bezgłośnie. – Już niedługo.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Raz jeszcze wyłom

Poniżej Laboratoriów Koboï

Wahadłowiec SKR ma kształt łzy – odrzutowe silniki mieszczą się na ciężkiej rufie, a dziobem można by ciąć stal. Niestety, nasi bohaterowie nie znajdowali się na statku SKR, lecz w luksusowym promie ambasadora o dziobie szerokim jak zadek gнома, z kosztowną kratką wentylacyjną, na której można by upiec bawołu.

–Więc powiadasz, że kiedy ta szczelina na chwilę się otworzy, ja muszę w nią trafić. I na tym polega twój plan? – zapytała Holly.

–Nic lepszego nie wymyśliłem – odparł ponuro Bulwa.

–No, to przynajmniej będzie nam wygodnie, kiedy nas zgniecie. Ta skorupa zachowuje się jak nosorożec na trzech nogach.

–Skąd miałem wiedzieć? – obruszył się Bulwa. – To miał być rutynowy lot. Statek ma świetne stereo.

Butler podniósł rękę.

–Słuchajcie! Co to za dźwięk?

Holly spojrzała w kamerę, zamontowaną na kilu.

–Flara – oznajmiła. – Duże bydlę. Zaraz osmali nam ogon.

Skalna ściana przed nimi trzeszczała i jęczała, nieustannie rozszerzając się i kurcząc. Pęknięcia szczyrzyły się do nich niczym uśmiechnięte paszcze, uzbrojone w czarne zęby.

–Już! Lećmy! – ponaglał Mierzwa. – Szczelina zamknie się szybciej niż glizdowa...

–Wciąż za mało miejsca – warknęła Holly. – To wahadłowiec, nie jakiś krasnal na kradzionych skrzydłach!

Mierzwa był zbyt przestraszony, żeby się obrazić.

–Prędzej! Ruszaj! Dalej robi się szerzej!

Tym razem Holly nie czekała, aż Bulwa da jej zielone światło. Była w swoim żywiole.

Gdy kapitan Holly Nieduża zasiadała przy sterach promu, nikt nie ośmiewał się z nią kłócić.

Wlot szczeliny z dygotem poszerzył się o kolejny metr.

Holly zacisnęła zęby.

–Trzymajcie się za uszy! – zawołała, maksymalnie zwiększając odrzut.

Pasażerowie statku chwycili poręcze foteli, niejeden też zamknął oczy. Ale nie Artemis. Po prostu nie mógł. Ów szalony lot przez nieznaną, nieoznakowany tunel miał w sobie coś chorobliwie fascynującego, na to zaś, co czekało na jego końcu, mieli tylko słowo krasnala kleptomana.

Holly skoncentrowała się na przyrządach. Umieszczone na kadłubie kamery i czujniki przekazywały informację do ekranów i głośników. Pikanie oszalałej echosondy stało się tak częste, że z głośników dobiegał jeden przeciągły wizg. Halogenowe reflektory odsłaniały przed kamerami przerażające widoki, radar laserowy rysował na monitorze zielony, trójwymiarowy koszmar. Oczywiście, statek miał także kwarcową przednią szybę, ale chmury kurzu i kawałki skał na zewnątrz czyniły nagie oko niemal bezużytecznym.

–Temperatura wzrasta – mruknęła elficzka, patrząc we wsteczny monitor. Wejście do szczeliny zasłoniła pomarańczowa kolumna magmy, wlewającej się w tunel.

Rozpaczliwy wyścig trwał. Szczelina zamykała się za nimi, w miarę jak otwierała się przed dziobem statku. Ogłuszający hałas brzmiał niczym grzmot w szklance.

Mierzwa zakrył uszy.

–Następnym razem wybiorę Wzgórze Wyjców.

–Milczeć, osadzony – warknął Bulwa. – To wszystko twój pomysł.

Ich sprzeczkę przerwał straszliwy zgrzyt kadłuba o skałę, krzeszący za szybą pióropusz iskier.

–Sorry – przeprosiła kapitan Nieduża. – Właśnie załatwiło nam antenę komunikacyjną.

Kładąc statek na bok, prześliznęła się między dwiema ruchomymi płytami, które zderzyły się za rufą z trzaskiem przypominającym klaśnięcie olbrzyma. Ściany pęknięcia, rozgrzewane gorącą magmą, nieubłaganie zbliżały się ku sobie. Ostry skalny kant ściał rufę wahadłowca. Butler przytulił do siebie sig sauera. Znajdował w nim pewną pociechę.

I nagle wszystko się skończyło. Statek spiralnym lotem wypadł ze szczeliny i znalazł się w ogromnej pieczarze. Przed nim widniały trzy tytanowe filary.

–Proszę – stęknął Mierzwa. – Pręty mocujące fundament.

–Co ty powiesz – jęknęła Holly, przewracając oczami, i wystrzeliła chwytaki magnetyczne.

Kolejny schemat Mierzwy wyglądał jak kręty wąż.

–Dajemy się prowadzić idiocie z ołówkiem – rzekł Bulwa ze złudnym spokojem.

–Doprowadziłem was aż tutaj, nieprawdaż, Juliuszu? – nadał się Mierzwa.

Holly kończyła ostatnią butelkę wody mineralnej. Ponad jedną trzecią zdążyła już wylać sobie na głowę.

–Ani się waż dąsać, krasnalu – powiedziała. – Z tego, co widzę, utknęliśmy w środku Ziemi pozbawieni wyjścia i komunikacji.

Mierzwa cofnął się o krok.

–Eee, chyba jeszcze przeżywasz ten lot. Ochłońmy trochę, co?

Wszyscy czuli się nieswojo. Nawet Artemis robił wrażenie wstrząśniętego ostatnimi przejściami, a Butler wciąż tulił sig sauera.

–Najgorszy kawałek mamy już za sobą. Jesteśmy przy fundamentach. Jedyne dróg prowadzi w górę.

–Ach, tak, skazany, doprawdy? – sarknął Bulwa. – A jak, twoim zdaniem, mamy wydostać się na tę górę?

Mierzwa sięgnął do spiżarki po marchewkę i machnął nią w stronę rysunku.

–To jest... – Wąż?

–Nie, Juliuszu. To filar fundamentowy.

–Filar fundamentowy z litego tytanu, zatopiony w litej skale?

–Właśnie. Tyle że jeden z tych filarów nie jest lity. Nie całkiem.

Artemis kiwnął głową.

–Tak myślałem. Trochę oszczędziliście na tej budowie, co, Mierzwa?

–Wiecie, jakie są przepisy budowlane – odparł Mierzwa bez najmniejszej skruchy. – Filary z tytanu? Macie pojęcie, ile to kosztuje? Przekroczylibyśmy wszystkie kosztorysy. Więc kuzyn Nord i ja postanowiliśmy darować sobie tytanowe wypełnienie.

–No, ale musieliście czymś te filary wypełnić? – przerwał komendant. – Koboi przecież wykonali skanowanie.

Mierzwa przytaknął z miną winowajcy.

–Na kilka dni przyłączyliśmy rury kanalizacyjne. Sonografy nie wykazały żadnej różnicy.

Holly poczuła, że coś ściska ją w krtani.

–Rury kanalizacyjne?! Chcesz powiedzieć...?

–Nie. Już nie. To przecież było sto lat temu. Teraz to glina. I w dodatku bardzo dobrej jakości.

Twarz Bulwy zagotowałaaby spory kocioł wody.

–Uważasz, że będziemy się przedzierać w górę przez dwadzieścia metrów... nawozu?

–A co mnie to obchodzi? – wzruszył ramionami krasnal. – Jak chcecie, możecie tu sobie zostać. Ja idę.

Ten obrót spraw nie spodobał się Artemisowi. Biegi, skoki, kontuzje. W porządku. Ale ścieki?

–I to jest twój plan? – wymamrotał z trudem.

–O co chodzi, Błotny Chłopaczku? – zapytał szyderczo Mierzwa. – Boisz się pobrudzić sobie rączki?

To było jedynie pytanie retoryczne, o czym Artemis dobrze wiedział. Niemniej Mierzwa mówił prawdę. Artemis spojrział na swoje szczupłe palce. Wczoraj rano miał dłonie pianisty o wypielęgnowanych paznokciach. Dzisiaj nie powstydziliby się ich robotnik budowlany.

Holly klepnęła go w ramię.

–Dobra – oznajmiła. – Do roboty. Kiedy już ocalimy Niższą Krainę, możemy wrócić, by uratować twego ojca.

Zauważyła, że Artemis zmienił się na twarzy, zupełnie jakby nie bardzo wiedział, jaką zrobić minę. Zastanowiła się. Dla niej były to niezobowiązujące słowa otuchy, jakie funkcjonariusze SKR wygłaszali do siebie codziennie. Najwyraźniej jednak Artemis nie był przyzwyczajony do tego, że jest częścią zespołu.

–Tylko nie myśl sobie, że się zaprzyjaźniam albo co. Po prostu, kiedy dam słowo, to go dotrzymuję.

Artemis uznał, że lepiej nie odpowiadać. Już raz dzisiaj oberwał pięścią.

Po trapie wyszli z wahadłowca. Artemis ruszył przed siebie, ostrożnie stąpając między ostrymi kamieniami i odpadkami budowlanymi, które Mierzwa i jego kuzyn porzucili sto lat wcześniej. Rozejrzał się. Grotę oświetlała jedynie gwiazdziście połyskująca fosforescencja skalna.

–To miejsce to geologiczny cud! – wykrzyknął. – Na tej głębokości ciśnienie powinno nas zmiążdżyć, a przecież żyjemy. – Przyklęknął, by obejrzeć grzyb, wyrastający z rdzewiejącej puszki po farbie. – Tu nawet jest życie!

Mierzwa wyszarpnął spomiędzy dwóch kamieni resztki młotka.

–Aaa, tu się podział. Trochę przesadziliśmy ze środkami wybuchowymi, kiedy robiliśmy wykop pod te filary. Śmieci musiały upaść aż tutaj.

Holly była zgorziona. Zanieczyszczanie środowiska napełnia Mały Lud abominacją.

–Mierzwa, złamaliście tyle przepisów, że nie starczy mi palców, by je policzyć. Lepiej szybko zwiewajcie, kiedy dostaniecie te swoje dwa dni wyprzedzenia, bo ja na pewno was pogonię.

–To tutaj – rzekł Mierzwa, nie zwracając uwagi na ostrzeżenie. Słyszał w życiu tyle pogrózek, że po prostu spływały po nim jak po kacze.

W jednym z filarów ujrzeli wywiercony otwór. Mierzwa z lubością potarł jego krawędź.

–Laserowy przecinak diamentowy. Mała bateria jądrowa. Maleństwo, a przetnie wszystko.

–Pamiętam – wspomniał Bulwa. – Kiedyś nieomal obcięliście mi nim głowę.

Mierzwa westchnął:

–Ach, to były szczęśliwe czasy, co, Juliuszu?

W odpowiedzi Bulwa wymierzył mu szybkiego kopniaka w tyłek.

–Mniej gadania, więcej żarcia ziemi, skazany. Holly wsunęła dłoń do otworu.

–Prądy powietrzne. Pole ciśnieniowe z miasta musiało przez te lata wyrównać ciśnienie w pieczarze. To dlatego jeszcze nie zamieniliśmy się w płaszczki.

–Rozumiem – powiedzieli jednocześnie Bulwa i Butler. Znowu kłamstwo.

Mierzwa odpiął klapkę na zadku.

–Przekopię się na górę i zaczekam na was. Usuńcie tyle odpadów, ile zdołacie. Ja spróbuję rozproszyć przetworzone błoto, żeby nie zatkać tunelu.

Artemis jęknął. Sama myśl o czołganiu się w błocie przetworzonym przez Mierzwę była dlań nieznośna. Tylko wspomnienie ojca pchało go naprzód.

–Odsunąć się – ostrzegł Mierzwa, wchodząc do otworu, po czym rozwarł szczęki.

Butler natychmiast go posłuchał; nie miał zamiaru narażać się ponownie na wybuch krasnalowych gazów.

Zanurzony wewnątrz tytanowego filara, Mierzwa po chwili zniknął zupełnie. W rurze rozległy się dziwne, nieapetyczne odgłosy, kawały gliny stuknęły o metalowe ściany, a z otworu zaczął się dobywać strumień odpadków i sprężonego powietrza.

–Zdumiewające! – zawołał Artemis. – Ach, gdybym miał dziesięciu takich jak on! Fort Knox to byłaby pestka!

–Nawet o tym nie myśl! – pogroził mu Bulwa i zwrócił się do Butlera. – Co mamy?

–Jednego sig sauera z dwunastostrzałowym magazynkiem – odparł służący, wyciągając broń. – I to wszystko. Ja go wezmę, gdyż tylko ja zdołam go udźwignąć. Wy dostaniecie to, co uda wam się zdobyć z marszu.

–A ja? – zapytał Artemis, choć wiedział, co usłyszy. Butler spojrzał chlebodawcy prosto w oczy.

–Chcę, żebyś tu został. To operacja wojskowa. Niewiele zdziałasz, po prostu dasz się zabić.

–Ale...

–Moim zadaniem jest cię chronić, Artemisie, a niewykluczone, że tu jest najbezpieczniejsze miejsce na ziemi.

Artemis nie spierał się. Prawdę mówiąc, wszystkie te argumenty i jemu przyszyły do głowy. Czasem geniusz stanowi nie lada brzemię.

–Bardzo dobrze, Butler. Zostanę tutaj. Chyba że...

–Chyba że co? – oczy Butlera zwęziły się w szparki. Na ustach Artemisa wykwił niebezpieczny uśmiech.

–Chyba że wpadnę na jakiś pomysł.

Komenda Policji

Sytuacja w Komendzie Policji przedstawiała się rozpaczliwie. Kapitan Wodorost zgromadził niedobitki swoich ludzi za kręgiem przewróconych stanowisk roboczych. Gobliny strzelały do nich na oślep przez drzwi, a żaden z czarodziejów nie miał już w sobie ani odrobiny magii. Każdy, kto teraz zostałby ranny, musiałby obyć się bez pomocy.

Członkowie Rady skulili się za murem funkcjonariuszy – wszyscy, z wyjątkiem dowódcy dywizjonu Vinyai, która zażądała, by dać jej zdobyczny laser Softnose, i jeszcze ani razu nie chybiła.

Przykucnięci za biurkami technicy wypróbowali chyba każdą kombinację w książce kodowej, aby dostać się do boksu operacyjnego. Kłopot nie liczył na sukces w tym względzie. Kiedy Ogierek zamykał drzwi, zostawały zamknięte na zawsze.

Tymczasem uwięziony w boksie centaur mógł jedynie walić pięściami w bezsilnej złości. Okrucieństwo Pałki przejawiało się między innymi w tym, że pozwolił Ogierkowi patrzeć na bitwę rozgrywającą się za pancernymi szybami.

Sprawa wyglądała beznadziejnie. Nawet jeśli Juliusz i Holly otrzymali wiadomość centaury, było już za późno na cokolwiek. Zawiodło go wszystko – komputer, intelekt, gładki sarkazm. Wszystko.

Poniżej Laboratoriów Kobi

Coś mokrego chlapnęło Butlerowi na głowę.

–Co to było? – syknął do Holly, która zamykała pochód.

–Nie pytaj – zaskrzeczała kapitan Nieduża. Nawet przez kask zapach był okropny.

Po stuletniej fermentacji zawartość filara cuchnęła równie odrażająco, jak w dniu, gdy się tu znalazła. A może i gorzej. Przynajmniej, pomyślał ochroniarz, nie muszę jeść tej... substancji.

Prowadził Bulwa. Światła jego kasku wycinały z mroku jasne półkole, ukazując wnętrze nachylonego pod kątem czterdziestu pięciu stopni filara. Regularne rowki na ścianach zapewne miały utrzymać w miejscu tytanowe wypełnienie, przewidziane w planach.

Zmiękczając zawartość rury, Mierzwa wykonał świetną robotę, jednakże przetworzony materiał musiał gdzieś się podziać. Trzeba jednak przyznać, że krasnal, by pozbyć się grudek, starannie przeżuł każdy kęs.

Członkowie drużyny parli zawzięcie do przodu, usiłując nie myśleć o tym, co robią. Wkrótce dogonili krasnala, który z twarzą wykrzywioną z bólu trzymał się kurczowo występu skalnego.

–Mierzwa, co się stało? – zapytał Bulwa, nieopatrznie pozwalając, by do jego głosu zakradła się nuta troski.

–Dogóy – jęknął Mierzwa. – Dogóy, aaz!

Bulwa otworzył szeroko oczy. Ogarnęło go uczucie bardzo zbliżone do paniki.

–Do góry! – syknął. – Natychmiast do góry! Pośpiesznie stłoczyli się w ciasnym kącie nad głową krasnala. Ani o sekundę za wcześnie – Mierzwa rozluźnił się i uwolnił chmurę gazów, która zdołałaby wypełnić namiot cyrkowy.

–Już lepiej – westchnął z ulgą, zwierając szczęki. – Mnóstwo powietrza w tej glebie. A teraz może bądź uprzejmy nie świecić mi prosto w twarz. Wiesz, jak się czuję w jaskrawym oświetleniu.

Komendant uprzejmie posłuchał i przełączył reflektory na podczerwień.

–Dobra, skoro już tu jesteśmy, jak się stąd wydostaniemy? O ile pamiętam, nie wzięłeś ze sobą przecinaka.

–Nie ma problemu – krasnal wyszczerzył szeroko zęby. – Dobry złodziej zawsze przewiduje powrót na miejsce przestępstwa. Patrzcie – tu Mierzwa wskazał kawałek tytanowej ściany, niczym nie różniący się od reszty. – Położyłem tę łątę zeszłym razem. To po prostu klej uniwersalny.

–Ty niepoprawny chytrusie. – Bulwa musiał się uśmiechnąć. – W jaki sposób w ogóle udało się nam ciebie złapać?

–Szczęście – odparł krasnal, z całej siły waląc łokciem we wskazany fragment. W ścianie filaru ukazał się okrągły stuletni otwór. – Witajcie w Laboratoriach Koboï.

Jedno po drugim wydostali się do słabo oświetlonego korytarza. Pod ścianami tłoczyły się wyładowane wózki poduszkowe, często po cztery w rzędzie. Nad nimi niewyraźnie mżyły świetlówki.

–Znam to miejsce – oświadczył Bulwa. – Byłem tu z inspekcją, kiedy wystąpili o zgodę na broń specjalnego zastosowania. Od ośrodka komputerowego dzielą nas dwa korytarze. Spróbujemy się tam dostać.

–A ogłuszające armaty DNA? – zapytał Butler.

–Fatalna sprawa – przyznał Bulwa. – Jeśli procesor armaty nie rozpozna twojego kodu genetycznego, zginiesz. Można je zaprogramować w taki sposób, że będą odrzucać całe gatunki.

–Rzeczywiście, fatalna sprawa – zgodził się służący.

–Ale mogę się założyć, że nie są aktywne – ciągnął Bulwa. – Po pierwsze, roi się tutaj od goblinów, a przecież nie wpuszczono ich frontowymi drzwiami. Po drugie, jeśli Ogierek ma być uznany za winnego tych zajść, to Koboï będzie chciała udawać, że jej ludzie, tak jak SKR, nie mieli broni.

–Mamy jakąś strategię? – zapytał Butler.

–Nic specjalnego – przyznał ponuro komendant. – Za rogiem znajdziemy się na wizji. Wtedy po prostu biegniemy korytarzem ile sił w nogach i walimy do wszystkiego, co stanie nam na drodze. Jeśli to coś ma broń, konfiskujemy ją. Mierzwa zostaje tutaj i poszerza tunel. Być może będzie trzeba szybko się wynosić. Gotowi?

Holly wyciągnęła rękę.

–Panowie, było mi bardzo przyjemnie. Komendant i służący położyli ręce na jej dłoni.

–Nam również.

Ruszyli korytarzem – troje bohaterów, praktycznie bez broni, przeciwko dwustu goblinom. Zapowiadała się niezła zabawa.

Wewnętrzny gabinet, Laboratoria Koboï.

–Ktoś wtargnął! – pisnęła zachwycona Opal Koboï. – Do budynku!

Pałka podszedł do plazmowego ekranu nadzoru.

–Coś podobnego, to chyba Juliusz! Zdumiewające! Najwyraźniej pańscy zabójcy przesadzili w raporcie, generale Plują.

Plują ją wściekle lizać swe gałki oczne. Porucznik Nyle zapewne straci skórę jeszcze przed porą linienia.

–Możemy uruchomić armaty DNA? – szepnął Pałka do Opal.

Chochliczka pokręciła głową.

–Nie od razu. Zostały zaprogramowane, by odrzucać DNA goblinów. Zmiana zajmie nam kilka chwil.

Pałka zwrócił się do czterech goblińskich generałów.

–Niech jeden opancerzony oddział zajdzie intruzów z tyłu, a drugi z flanki. Przyłapiemy ich przy drzwiach. Nie będą mieli wyjścia.

Wpatrzył się z przejęciem w ekran plazmowy.

–Jest nawet lepiej, niż sobie wymyśliłem. Juliuszu, drogi przyjacielu, teraz ja ciebie upokorzę.

Artemis rozmyślał. Nareszcie miał czas, by się zastanowić. Siedząc po turecku na kamieniu, zaczął wyobrażać sobie wszystkie strategie ratunkowe, jakie mógłby zastosować, kiedy drużyna wróci do Arktyki. Jeśli mafia zdoła przenieść więźnia do punktu wymiany, zanim dotrze doń Artemis, zostanie już jedna możliwość, i to bardzo ryzykowna. Artemis sięgnął do głębszych pokładów mózgu. Musiał wymyślić coś innego.

Z zadumy wyrwał go głęboki, orkiestrowy ton, wydobywający się z tytanowej rury, jakby ktoś przeciągle grał na fagocie. Krasnalowe gazy, domyślił się po chwili. Kolumna miała niezłą akustykę.

Potrzebował olśnienia, jednej krystalicznej myśli, co przeniknęłaby bagno, w którym uwiązał, i uratowałaby sytuację.

Po ośmiu minutach znów coś mu przeszkodziło. Tym razem nie granie gazu, lecz wołanie o pomoc. Mierzwa miał kłopoty i krzyczał z bólu.

Artemis chciał właśnie zaproponować, by Butler zajął się tym problemem, gdy zdał sobie sprawę, że służący go opuścił, udając się z misją ocalenia Niższej Krainy. Teraz wszystko zależało od niego, Artemisa.

Wsadził głowę do otworu w kolumnie. Panowały tu ciemności jak w starym bucie, cuchnęło natomiast dwa razy paskudniej. Artemis zrozumiał, że przede wszystkim potrzebuje kasku SKR. Wrócił do wahadłowca po zapasowe nakrycie głowy i po chwili wewnątrz filara zapłonęły reflektory.

–Mierzwa, jesteś tam?

Nie było odpowiedzi. Czyżby to była pułapka? Czy to możliwe, że on, Artemis Fowl, dał się nabrać na najstarszy fortel pod słońcem? Całkiem możliwe, pomyślał. Nie mógł jednak narażać życia owej kudłatej istoty. Wbrew wszystkim obyczajom i ocenom Artemisa od czasu spotkania w Los Angeles pomiędzy nim a Mierzwą Grzebaczkiem niepostrzeżenie zrodziło się pewne powinowactwo. Chłopiec wzdrygnął się.

Od czasu powrotu matki do zdrowia psychicznego takie rzeczy zdarzały mu się coraz częściej.

Wszedł do rury i zaczął się wspinać ku kręgowi światła nad głową. Smród był przeraźliwy. Przyszło mu do głowy, że zapewne całkowicie zniszczy buty, a marynarki szkoły świętego Bartleby'ego nie zdoła uratować żadna pralnia chemiczna. Lepiej, żeby Mierzwę naprawdę coś bolało.

Lecz gdy dotarł do otworu, ujrzał krasnala wijącego się na podłodze korytarza z twarzą wykrzywioną autentycznym cierpieniem.

–Co się stało? – zapytał, zdejmując kask i klękając u jego boku.

–Zablokowane jelito – stęknął Mierzwa. Po brodzie spływały mu krople potu. – Coś twardego. Nie mogę strawić...

–Co mam zrobić? – dopytywał się Artemis, choć ewentualna odpowiedź napawała go przerażeniem.

–Lewy but. Zdejmij.

–But? Powiedziałaś but?

–Tak! – zawył krasnal, cały sztywniejąc z bólu. – Zdejmij mi!

Artemis nie zdołał powstrzymać westchnienia ulgi. Obawiał się czegoś znacznie gorszego. Oparł sobie nogę krasnala na kolanach i pociągnął za wspinaczkowy trzewik.

–Doskonałe buty – zauważył.

–Rodeo Drive – jęknął Mierzwa. – Może jednak byłbyś tak uprzejmy...

–Przepraszam.

But zsunął się ze stopy Mierzwy, ukazując znacznie mniej wytworną skarpetkę z dziurami na palcach i cerami na pięcie.

–Mały palec – rzekł Mierzwa, zaciskając z bólu powieki.

–Co mały palec?

–Ściśnij staw. Mocno.

Ścisnąć staw. Pewnie jakieś zjawisko refleksologiczne. Każdej części ciała odpowiada fragment stopy, która stanowi jakby klawiaturę organizmu. Praktyka od

stuleci uprawiana w krajach Orientu.

–Bardzo dobrze. Skoro nalegasz.

Artemis mocno ujął włochaty palec krasnala. Być może zwiodła go wyobraźnia, lecz odniósł wrażenie, że włosy rozstały się, by umożliwić mu lepszy dostęp.

–Ściśnij – błagał krasnal. – Dlaczego nie ściskasz? Artemis nie ścisnął, gdyż lufa lasera, wycelowana w jego czoło, niemal przyprawiła go o zez.

Trzymający broń porucznik Nyle nie dowierzał swemu szczęściu. W pojedynkę pojmał dwóch intruzów oraz odkrył lukę w zabezpieczeniach! Kto powiedział, że dekowanie się przed walką nie przynosi żadnych korzyści? Ta rewolucja okazała się dlań wyjątkowo łaskawa. Zostanie pułkownikiem, zanim zdąży zrzucić trzecią skórę!

–Wstawać – rozkazał, dysząc niebieskim płomieniem. Nawet przez translator jego głos miał w sobie coś gadziego.

Artemis podniósł się powoli, ciągnąc za sobą nogę krasnala. Klapka na zadku Mierzwy otworzyła się.

–A w ogóle, to co mu jest? – zapytał Nyle, schylając się, by lepiej się przyjrzeć.

–Coś zjadł – odparł Artemis i nacisnął staw. Eksplozja, która nastąpiła, zwała goblina z nóg i rzuciła go w głąb korytarza. Zaiste, widok był niecodzienny.

Mierzwa podskoczył i wstał.

–Dzięki, mały. Myślałem, że już po mnie. To musiało być coś twardego. Kawalek granitu albo może diament.

Artemis skinął głową. Język nadal odmawiał mu posłuszeństwa.

–Ale kretyny z tych goblinów. Widziałeś, jaką miał minę?

Artemis przecząco pokręcił głową. Nadal nie mógł mówić.

–Chcesz zobaczyć?

Nietaktowny dowcip wyrwał Artemisa z osłupienia.

–Ten goblin. Wątpię, żeby był sam – powiedział.

–Nie był – rzucił Mierzwa, zapinając klapkę. – Przed chwilą minął mnie cały oddział. Ten osobnik się ościagał, pewnie żeby uniknąć walki. Typowe.

Artemis potarł skronie. Musiał wymyślić coś, żeby pomóc swoim towarzyszom. Na litość boską, w końcu miał najwyższe IQ w Europie.

–Mierzwa, chcę ci zadać ważne pytanie.

–Pewnie jestem ci to winien za uratowanie mi skóry.

Artemis otoczył krasną ramieniem.

–Wiem, jak dostałeś się potajemnie do Laboratoriów Kobi. Ale nie mogłeś wyjść tą samą drogą ze względu na flary. Więc jak ci się udało wydostać?

–To proste – Mierzwa uśmiechnął się szeroko. – Uruchomiłem alarm i wybiegłem w tym samym mundurze SKR, w którym wszedłem.

Artemis zasępił się.

–To na nic. Musi istnieć jakiś inny sposób. Musi.

Armaty DNA najwyraźniej były nieczynne. Bulwa nabrał nieco otuchy, gdy wtem za rogiem rozległ się łoskot zbliżających się wielu par butów.

–D’Arvit! Nakryli nas. Wy idźcie dalej, a ja ich powstrzymam, jak długo zdołam.

–Nie, komendancie – rzekł Butler. – Z całym szacunkiem, ale mamy tylko jedną sztukę broni, z której ja ustrzelę znacznie więcej niż pan. Załatwię ich, jak skręcą za róg, a wy tymczasem spróbujcie otworzyć te drzwi.

Holly otworzyła usta, żeby zaprotestować. Ale któż by się kłócił z człowiekiem wzrostu Butlera?

–Okej – powiedziała. – Powodzenia. Jeśli zostaniesz ranny, postaraj się leżeć bez ruchu, dopóki nie wrócę. Cztery minuty, pamiętaj.

–Pamiętam – skinął głową służący.

–Aha, Butler?

–Tak, pani kapitan?

–To małe nieporozumienie w zeszłym roku. Kiedy porwaliście mnie z Artemisem.

Butler intensywnie wpatrzył się w sufit. Gapiłby się na czubki swych butów, ale zasłaniała je Holly.

–No, owszem. Miałem zamiar o tym porozmawiać...

–Nie ma sprawy. Po tym, co zaszło, jesteśmy kwita.

–Holly, ruszaj się – rozkazał Bulwa. – Butler, nie daj im zbyt blisko się zbliżyć.

Butler ścisnął profilowaną kolbę pistoletu. Przypominał uzbrojonego niedźwiedzia.

–Lepiej, żeby się nie zbliżali. Dla własnego dobra.

Stojąc na poduszkowym wózku, Artemis stuknął w rurę biegnącą wzdłuż sufitu korytarza.

–Wygląda na to, że ten przewód idzie przez wszystkie pomieszczenia. Co to jest, system wentylacyjny?

–Chciałbyś – parsknął Mierzwa. – Tędy płynie plazma do armat DNA.

–Więc czemu nie wszedłeś tą drogą?

–Ze względu na taki drobiazg, że ładunek w jednej kropli plazmy wystarczy, aby upiec trolla.

Artemis dotknął metalowej powierzchni.

–A kiedy armaty nie działają?

–Kiedy armaty są nieaktywne, plazma to tylko kupa promieniotwórczych pomyj.

–Promieniotwórczych? Mierzwa w zadumie szarpnął brodę.

–Zasadniczo Juliusz był przekonany, że armaty wyłączono.

–Można się jakoś upewnić?

–Moglibyśmy otworzyć tę nieotwieralną klapkę.

–Mierzwa przeciągnął palcami po rurze. – Popatrz tutaj. Mikrodziurka od klucza. Wejście dla obsługi armat. Nawet plazma czasem wymaga doładowania.

–Wskazał otwór w metalu niewiekszy od drobinki kurzu. – Zobaczysz, jak pracuje mistrz.

Krasnal najpierw wsunął włos z brody do dziurki, po czym wyciągnął go i szybko wyrwał wraz z cebulką z podbródka. Martwy włos natychmiast zeszywniał, zachowując dokładny kształt zamka.

Wstrzymując oddech, Mierzwa zaczął manipulować prowizorycznym wytrychem. Po

chwili klapka była otwarta.

–Po prostu talent, drogi chłopcze.

Wewnątrz rury lekko pulsowała pomarańczowa galareta, w której głębiach od czasu do czasu coś iskrzyło. Plazma, zbyt gęsta, by wylać się przez otwór, zachowywała swój walcowaty kształt.

Mierzwa wpatrzył się w drgający żel i w końcu oświadczył:

–Rzeczywiście, nieaktywna. Gdyby była pod prądem, mielibyśmy już na twarzach niezłą opaleniznę.

–A te iskierki?

–Ładunki rezydualne. Trochę cię polaskoczą, ale to nic poważnego.

Artemis kiwnął głową.

–Dobra – rzucił, zapinając kask. Mierzwa pobladł.

–Oszalałeś, błotny szczeniaku? Czy masz pojęcie, co się stanie, kiedy uruchomią te armaty?

–Staram się o tym nie myśleć.

–Chyba masz rację. – Krasnal, wstrząśnięty, pokręcił głową. – Okej. Musisz przejść trzydzieści metrów, a powietrza w kasku starczy na jakieś dziesięć minut. Nie otwieraj filtrów; po pewnym czasie powietrze może być trochę stęchłe, lecz lepsze to niż wdychanie plazmy. Aha, i weź kluczyk. – Wyciągnął z dziurki zeszywniały włos.

–Po co?

–Zapewne będziesz chciał wyjść na drugim końcu. Nie pomyślałeś o tym, co, mały geniuszku?

Artemis przełknął ślinę. Fakt, nie pomyślał. Bohaterstwo to najwyraźniej coś więcej niż szarża na oślepa.

–Wsuwaj go delikatnie. Pamiętaj, to włos, nie metal.

–Wsuwać delikatnie. Rozumiem.

–I nie używaj świateł. Halogeny mogą uaktywnić plazmę.

Artemis poczuł, że kręci mu się w głowie.

–A kiedy wyjdiesz, koniecznie jak najprędzej polej się pianką przeciwpromienną. Niebieskie kanistry. W tym budynku wszędzie ich pełno.

–Niebieskie kanistry. Jeszcze coś, panie Grzebaczek?

–No, trzeba uważać na węże plazmowe... Pod Artemisem ugięły się kolana.

–Mówisz poważnie?

–Nie – przyznał Mierzwa. – Nie całkiem. A teraz, do rzeczy. Twoje ręce mają zasięg około pół metra, więc podciągnij się sześćdziesiąt razy i jak najszybciej stamtąd uciekaj.

–Powiedziałbym, że niecałe pół metra. Raczej sześćdziesiąt trzy razy – poprawił go Artemis, wkładając włos do kieszonki na piersi.

–Jak tam sobie chcesz, mały – wzruszył ramionami krasnal. – To twoja skóra. No, to leć!

Artemis stanął na splecionych dłoniach krasnala jak w strzemionach i zawahał się. Może jednak zmienić zdanie? Nie zdążył – pan Grzebaczek po prostu wepchnął go do rury, a pomarańczowy żel natychmiast go wessał, dokładnie oblepiając całe ciało.

Plazma wiła się wokół niczym żywa istota, wypychając pęcherzyki powietrza spod jego ubrania. O nogę otarła mu się zabłąkana iskierka i ostry skurcz bólu przeszył go na wylot. Łaskotki?

Zmrużył oczy i spróbował coś dojrzeć przez galaretę, lecz zobaczył tylko Mierzwę, zachęcająco unoszącego kciuk. Artemis zaśmiał się obłąkańczo.

Doprawdy, jeżeli wyjdzie cało z tej awantury, zatrudni krasnala na pełnym etacie!

Zaczął pełznąć na oślep. Podciągnął się raz, drugi...

Liczba sześćdziesiąt trzy wydawała się bardzo odległa.

Butler odbezpieczył sig sauera. Ogłuszający odgłos zbliżających się kroków odbijał się echem od metalowych ścian. Zza rogu wychynęły cienie, wyprzedzające swoich właścicieli. Służący wycelował.

W polu widzenia pojawiła się głowa – żabowata, liżąca się po gałkach ocznych. Butler nacisnął spust, wybijając dziurę wielkości melona w ścianie nad goblinem. Głowa schowała się pośpiesznie. Oczywiście, Butler chybił celowo. Wystraszyć to zawsze lepiej niż zabić. Ale to nie mogło trwać nieskończenie. Dokładnie mówiąc, miał jeszcze tylko dwanaście strzałów.

Gobliny coraz śmielej wysuwały się z za węgła. Butler wiedział, że w końcu będzie musiał któregoś zastrzelić.

Uznał, że pora skrócić dystans. Bezszelestnie jak pantera podniósł się z kucek i ruszył korytarzem na wroga.

Na całym globie istniało tylko dwóch ludzi lepiej wyszkolonych w sztukach walki wręcz. Jeden z nich był krewnym Butlera. Drugi mieszkał na wyspie na Morzu Południowochińskim, gdzie pędził swe dni na medytacjach oraz na waleniu pięścią w drzewa palmowe. Doprawdy, gobliny zasługiwały na współczucie.

Przy drzwiach do gabinetu Opal stało dwóch strażników B'wa Kell. Obaj byli uzbrojeni po zęby i tępi jak kłody, obaj też, mimo wielokrotnych upomnień, zabierali się do drzemki pod osłoną hełmów, kiedy z za zakrętu korytarza wypadły biegiem elfy.

–Patrz – mruknął jeden goblin. – Elfy.

–Ee? – powiedział drugi, tępszy.

–To nic – wymamrotał numer jeden. – SKR nie mają karabinów.

Numer dwa polizał się po oczach.

–No tak, ale łatwo wpadają w złość.

W tym momencie but Holly uderzył go w klatkę piersiową i rzucił z impetem na ścianę.

–Hej! – zaprotestował pierwszy, unosząc broń. – To nie fair.

Bulwa nie zawracał sobie głowy wymyślnymi kopnięciami z półobrotu – po prostu całym ciałem wgniótł wartownika w tytanowe drzwi.

–No proszę – sapnęła Holly. – O dwóch mniej. Nie takie to trudne.

Niestety, cieszyła się przedwcześnie. Reszta dwuosobowego oddziału B'wa Kell wybrała ten moment, by z łomotem ruszyć na nich.

–„Nie takie to trudne” – szyderczo powtórzył komendant i zacisnął pięści.

Artemis tracił zdolność koncentracji. Wydawało mu się, że coraz częściej przesywają go iskry i każdy wstrząs zakłóca jego ostrość widzenia. Dwukrotnie pomylił się w rachubie. Czy podciągnął się pięćdziesiąt cztery, czy pięćdziesiąt sześć razy? Oto różnica między życiem a śmiercią.

Płynął przez wzburzone morze galarety, wyciągając przed siebie to jedno ramię, to drugie. Wzrok nie na wiele mu się przydawał. Wszystko i tak wydawało się pomarańczowe. Wiedział, że istotnie posuwa się do przodu tylko dzięki temu, że jego kolana raz po raz zapadały się w otwory odprowadzające plazmę do dział.

Po raz ostatni zanurzył ramię w żelu i napełnił płuca zatęchłym powietrzem. Sześćdziesiąt trzy podciągnięcia. To już. Wkrótce filtry powietrza w jego kasku całkiem przestaną działać, on zaś zacznie oddychać dwutlenkiem węgla.

Przeciągnął palcami po wewnętrznej stronie rury, szukając dziurki. I tym razem wzrok okazał się bezużyteczny. Nie mógł nawet włączyć reflektorów z obawy przed zapłonem plazmowej rzeki.

Nic. Nie wyczuwał żadnego wgłębienia. Umrze w samotności, nigdy nie wyrośnie na wielkiego człowieka. Poczul, że umysł odmawia mu posłuszeństwa i oddała się po spirali w głąb czarnego tunelu. Skup się, powiedział sobie. Skoncentruj. Zbliżała się iskra. Srebrzysta gwiazdka o zachodzie słońca, która, leniwie polatując wzdłuż rury, oświetlała po kolei wszystkie jej fragmenty.

Tam! Dziurka! Ta dziurka! Dzięki iskrze dostrzegł wreszcie maleńki otwór. Ruchem pijanego pływaka sięgnął do kieszeni i wyjął krasnalowy włos. Czy zadziała? Chyba ten otwór konserwacyjny ma taki sam mechanizm zamykający jak poprzedni?

Artemis delikatnie wsunął włos do zamka, usiłując dostrzec coś przez pomarańczową maź. Wchodzi czy nie? Na sześćdziesiąt procent – tak. To musiało wystarczyć.

Przekręcił wytrych i klapka się otworzyła. Przed oczyma stanął mu uśmiechnięty Mierzwa. „Po prostu talent, mój mały”.

Choćby wszyscy wrogowie, jakich Artemis miał w podziemnym świecie, czekali nań pod klapą, mierząc w jego głowę z wielkich, paskudnych karabinów, w tej chwili niewiele by go to obeszło. Nie zniósłby więcej ani jednego dławiącego oddechu, ani jednego elektrycznego wstrząsu.

Wystawił głowę na zewnątrz i, otworzywszy przyłbicę, rozejrzał się, smakując tchnienie świeżego powietrza, które mogło być jego ostatnim. Miał szczęście. Osoby w pomieszczeniu gapiły się w ekran, patrząc, jak jego, Artemisa, przyjaciele walczą o życie. Jego przyjaciele, którzy nie mieli tyle szczęścia co on.

Jest ich zbyt wielu, pomyślał Butler, skręcając za róg i widząc, jak armia B'wa Kell ładuje broń świeżymi bateriami.

Na widok Butlera niejedyn goblin pomyślał: O bogowie, przecież to troll w ubraniu! Albo: Czemu nie posłuchałem mamusi i przyłączyłem się do tego gangu?

Lecz Butler już był przy nich. Uderzył niczym przysłowiowy grom, lecz o wiele dokładniej. Trzy gobliny straciły przytomność, zanim w ogóle się zorientowały, co je spotkało. Jeden z pozostałych przestrzelił sobie stopę, kilku innych padło na podłogę, udając nieprzytomnych.

Artemis obejrzał całe zajście na plazmowym ekranie w sali dowodzenia. Inni tam obecni potraktowali je jak telewizyjną rozrywkę – goblinscy generałowie na przemian chichotali i wzdrygali się, kiedy Butler dziesiątkował ich żołnierzy. To wszystko jednak nie miało znaczenia. Ważne były dwie rzeczy: w budynku przebywały setki goblinów, a pomieszczenie dowództwa było niedostępne.

Artemis dysponował tylko kilkoma sekundami, żeby obmyślić plan działania. Kilkoma sekundami! Ale zarazem nie miał pojęcia, jak wykorzystać otaczające go wytwory techniki. Rozejrzał się po sali, wypatrując czegoś, czym mógłby się posłużyć. Czegokolwiek.

Tam! W małym okienku w rogu monitora, stojącego z dala od głównego pulpitu, widniała głowa Ogierka, uwięzionego w boksie operacyjnym. Centaur na pewno coś wymyślił, miał na to dość czasu. Artemis wiedział, że gdy wynurzy się z plazmowego przewodu, zostanie natychmiast wzięty na cel. Zabiją go bez wahania.

Wygramolił się z rury i z plaśnięciem spadł na podłogę. Przesiąknięte plazmą ubranie krępowало mu ruchy, uniemożliwiało szybkie dotarcie do monitorów. Kątem oka dostrzegł, że kilka głów odwróciło się ku niemu. Jakieś postacie biegły w jego stronę, ale nie wiedział, ile ich jest.

Pod ekranem z głową Ogierka zobaczył mikrofon na stojaku. Nacisnął guzik.

–Ogierek! – wychrypiał, ochlapując żelem konsolę. – Słyszysz mnie?

Centaur zareagował natychmiast.

–Fowl! Co ci się stało?

–Mamy pięć sekund, Ogierek. Wymyśl coś albo wszyscy zginiemy.

Centaur skinął głową.

–Jestem gotowy. Daj mój obraz na wszystkie ekrany.

–W jaki sposób?

–Naciśnij przycisk telekonferencji. Żółty, z rozchodzącymi się liniami, jak słoneczko. Widzisz go?

Artemis widział. I nacisnął. Po czym coś nacisnęło jego. Bardzo boleśnie.

Generał Łuskoń pierwszy zauważył dziwną istotę, wynurzającą się z plazmowego przewodu. Co to mogło być? Duszek? Nie, nie, na bogów, to miało ludzki kształt!

–Patrzcie! – zarechotał. – Błotny Człowiek! Pozostali, pochłonięci spektaklem rozgrywającym się na ekranie, nie zwrócili nań uwagi.

Usłyszał go jedynie Pałka. Jak to? Człowiek w wewnętrznym gabinecie? Niemożliwe!

–Zabij go! – zawył komendant, chwytając Łuskonia za ramię.

Teraz już wszystkie gobliny zwróciły się ku Artemisowi. Można było coś zabić, i to bez żadnego zagrożenia dla siebie! Zrobią to po staroświecku, za pomocą pazurów i kul ognistych.

Człowiek, potykając się, dobrnął do jednego z pulpity. Gobliny otoczyły go, wywiesiwszy jęzory z podniecenia. Plują obrócić obcego ku sobie, aby spojrzeć w twarz przeznaczeniu.

Jeden po drugim generałowie wyczarowali w dłoniach kule ogniste i zacieśnili śmiertelny krąg. Lecz wówczas coś kazało im całkowicie zapomnieć o pojmanym człowieku. Na wszystkich ekranach pojawiła się twarz Pałki, a to, co mówił, bynajmniej nie spodobało się dowódcy B'wa Kell:

–„...gdy sprawy przybiorą naprawdę rozpaczliwy obrót, nakażę Opal przywrócić SKR kontrolę nad bronią. Sprawimy, że członkowie B'wa Kell stracą przytomność, a cała wina spadnie na ciebie. Oczywiście, jeśli przeżyjesz, w co wątpię...”

Plują rzucił się na byłego sojusznika.

–Pałka! Co to ma znaczyć?

Generałowie otoczyli komendanta, plując i sycząc:

–Zdrada! Zdrada!

Jednak komendant niezbyt się przejął.

–Niech będzie – powiedział. – Zdrada.

Przez chwilę Pałka zastanawiał się, co zaszło. To sprawa Ogierka – pewnie zdołał jakoś nagrać ich rozmowę. Utrapienie. Z drugiej strony, musiał przyznać, że centaur okazał się bardzo pomysłowy.

Szybko podszedł do głównego pulpitu i wyłączył przekaz Ogierka. Nie byłoby

dobrze, gdyby Opal usłyszała jego dalsze słowa, zwłaszcza fragment o mającym ją spotkać nieszczęśliwym wypadku. Chyba będzie musiał skończyć z przemówieniami. No, trudno. Poza tym wszystko szło jak z płatka.

–Zdrada! – syczał Łuskoń.

–Owszem – przyznał Pałka. – Zdrada. – Po czym natychmiast powiedział: – Komputer, uruchomić armaty DNA. Upoważniony W. Pałka. Alfa alfa dwa dwa.

Opal radośnie okręciła się na poduszkowym fotelu i z zachwytem klasnęła w dłoń. Jaki ten Wrzosiec jest brzydki, a jaki zły!

Wzdłuż i wszerz Laboratoriów Koboï armaty DNA uniosły się w łożyskach i przeprowadziły szybkie testy autodiagnostyczne. Nie licząc niewielkiego wycieku w pomieszczeniu dowództwa, wszystko było w porządku. A zatem bezzwłocznie zastosowały się do parametrów programu i w tempie dziesięciu wybuchów na sekundę wzięły na cel wszystkie istoty z gobliniskim DNA.

Akcja przebiegła szybko i sprawnie, jak wszystko w firmie Koboï. Po niespełna dziesięciu sekundach armaty ponownie osiadły na łożyskach. Zadanie wykonano, a w całym budynku pozostało około dwustu nieprzytomnych goblinów.

–Uff – rzekła Holly, przekraczając rzędy chrapiących wrogów. – Ledwie się nam udało.

–Mnie to mówisz? – przytaknął Bulwa.

Pałka kopnął śpiącego Pluję w odwłok.

–No i widzisz, Artemisie Fowl, twoje wysiłki na nic się nie zdały – powiedział, wyjmując Redboya. – Twój przyjaciele są tam, a ty tutaj. Gobliny straciły przytomność, a ich pamięć zostanie wkrótce zatarta za pomocą bardzo niestabilnych substancji chemicznych. Dokładnie tak, jak sobie zaplanowałem. – Uśmiechnął się do unoszącej się w górze Opal. – Dokładnie tak, jak my to zaplanowaliśmy.

Opal odwzajemniła uśmiech.

W innych okolicznościach Artemis nie powstrzymałaby się od szyderczej uwagi. Lecz obecnie jego umysł zaprzętała myśl o nadchodzącej śmierci.

–Teraz – ciągnął Pałka – po prostu przeprogramuję działa, by uwzględniły twoich przyjaciół, przywrócę działanie broni SKR i przejmę władzę nad światem. I nikt mnie nie powstrzyma.

Rzecz jasna, nikt nigdy nie powinien mówić takich rzeczy, a już zwłaszcza

arcyprzestępca. To po prostu kuszenie ciała.

Spiesznie idąc korytarzem, Butler dogonił pozostałych przed drzwiami wewnętrznego gabinetu. Jedno spojrzenie przez kwarcową szybę wystarczyło, by zrozumiał, w jakich opałach znalazł się Artemis. A więc pomimo ostrzeżeń jego chlebodawca znów naraził się na śmiertelne niebezpieczeństwo! Jak ochroniarz ma pełnić swe obowiązki, gdy jego podopieczny, metaforycznie mówiąc, bezustannie pcha się w paszczę lwa?

Służący poczuł, jak wzbiera w nim testosteron. Od Artemisa dzieliły go tylko drzwi – jedno marne drzwi, zbudowane, by powstrzymać wróżki z promiennikami. Cofnął się o kilka kroków.

Holly domyśliła się, co chodzi Butlerowi po głowie.

–Szkoda zachodu. Te drzwi zostały wzmocnione.

Nie odpowiedział. Już nie mógł. Prawdziwy Butler zniknął, pozostała tylko adrenalina i brutalna siła.

Z rykiem rzucił się na drzwi, koncentrując całą swą ogromną moc w trójkącie ramienia. Drzwi, mające powstrzymać wybuchy plazmy i akty umiarkowanej przemocy, nie mogły się oprzeć komuś takiemu jak Butler. Pod ciosem, który powaliłby średniej wielkości hipopotama, metalowy portal pękł niczym arkusik aluminiowej folii.

Siła rozpędu rzuciła służącego daleko w głąb gabinetu. Holly i Bulwa ruszyli w ślad za nim po gumowej posadzce, przystając jedynie, by zabrać poległym goblinom lasery Softnose.

Pałka jednak był szybszy. Chwycił Artemisa w pól i zawołał:

–Nie ruszać się! Inaczej zabiję Błotniaka!

Lecz Butler nie zatrzymał się. Kiedy jeszcze myślał racjonalnie, chciał po prostu obezwładnić Pałkę. Teraz za wszelką cenę pragnął go zniszczyć i gnał przed siebie z wyciągniętymi ramionami.

Holly rozpaczliwie chwyciła się jego pasa, usiłując go powstrzymać, lecz on powlókł ją za sobą, podobnie jak samochód nowożeńców ciągnie serpentyny i wstążki.

–Butler, stój! – jęknęła elficzka.

Ochroniarz nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Holly nie puszczała, rozpaczliwie hamując obcasami.

–Stój!!! – powtórzyła i tym razem nasyciła głos mesmeryczną mocą.

Butler ocknął się. Jaskiniowiec w nim trochę osłabł.

–Właśnie, Błotny Człowieku – powiedział Pałka.

–Słuchaj kapitan Niedużej. Przecież możemy się jakoś dogadać.

–Żadnych układów, Wrzosiec – oznajmił Bulwa.

–Wszystko skończone. Puść Błotnego Chłopaka.

Pałka odbezpieczył Redboya.

–Akurat!

Przed oczami Butlera rozgrywał się jego najgorszy koszmar. Powierzony mu chłopiec znalazł się w rękach gotowego na wszystko psychopaty. I on, ochroniarz, nie mógł nic na to poradzić.

Zadzwoił telefon.

–To chyba do mnie – rzekł Artemis odruchowo. Rozległ się kolejny dzwonek. Tak jest, to była jego komórka. Niesłychane, że w ogóle działała, zważywszy, przez co przeszła. Artemis szarpnięciem otworzył futerał.

–Tak?

Czas jakby się zatrzymał. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać.

Artemis rzucił telefon ku Opal Kobi.

–To do ciebie.

Chochliczka spłynęła w dół na fotelu i chwyciła urządzenie. Pałka odetchnął głęboko. Instynktem pojął, co nastąpi, choć jego mózg jeszcze tego nie wykombinował.

Opal przyłożyła małą słuchawkę do spiczastego ucha.

–„...doprawdy, Ogierek! Naprawdę sądzisz, że zadawałbym sobie tyle trudu, by potem dzielić się władzą? O, nie! Kiedy skończy się ta zabawa, pannę Kobi spotka tragiczny wypadek. A może nawet kilka wypadków...”

Z twarzy Opal odpłynęła wszelka krew.

–Ty! – zaskrzeczała.

–To podstęp! – zawołał Pałka. – Próbują poszczuć nas na siebie nawzajem!

Lecz jego oczy powiedziały jej prawdę.

Mimo niewielkich rozmiarów chochliczki to krewkie istoty. Wytrzymują wiele, by potem eksplodować z tym większą siłą. I dla Opal Koboi nadszedł czas eksplozji. Ujęła sterownik fotela i wprowadziła go w ostry lot nurkujący.

Pałka nawet się nie zawahał. Władował w fotel dwie serie, jednak wybuchy powstrzymała gruba poduszka.

Opal runęła na byłego współnika, który obronnym gestem uniósł ramiona. Artemis upadł na podłogę. Pałka, niefortunnie zaplątany w poręcz fotela, wzleciał do góry, unoszony przez chochliczkę rozwścieczoną jak dzika kotka. Przez chwilę wirowali po pomieszczeniu, odbijając się z hukiem od ścian, po czym gruchnęli prosto w otwartą klapę przewodu plazmowego.

Niestety, plazma była aktywna. Pałka sam ją uaktywnił. Lecz nie zdołał już docenić ironii tej chwili – spowity milionem promieniotwórczych błysków po prostu się usmażył.

Panna Koboi miała więcej szczęścia. Zderzenie wyrzuciło ją z fotela i teraz leżała, jęcząc, na gumowej posadzce.

Butler poderwał się, zanim jeszcze zginął Pałka. Odwrócił Artemisa na wznak i starannie go obejrzał. Nic groźnego nie znalazł. Powierzchowne zadrapania. Błękitne iskierki z łatwością sobie z nimi poradzą.

Holly przyklęła przy Opal Koboi.

–Przytomna? – zapytał komendant Bulwa. Powieki Koboi uniosły się. Holly zamknęła je szybkim ciosem pięści między oczy.

–Nie – odparła tonem niewiniątka. – Całkiem bez czucia.

Jeden rzut oka na Pałkę powiedział Bulwie, że sprawdzanie jego funkcji życiowych nie ma sensu. Być może lepiej się stało. Byłego komendanta czekałoby co najmniej dwieście lat odsiadki na Wzgórzu Wyjców.

Artemis zauważył przy drzwiach jakiś ruch. Mierzwa z uśmiechem machał do nich ręką – zapewne na pożegnanie, na wypadek, gdyby Juliusz zapomniał o obiecany

dwudniowym wyprzedzeniu. Krasnal wskazał jeszcze wiszący na ścianie niebieski kanister, po czym zniknął.

–Butler – wykrztusił Artemis absolutną resztką sił. – Czy ktoś mógłby mnie polecić pianą? A potem, bardzo proszę, czy moglibyśmy wreszcie pojechać do Murmańska?

Butler zdumiał się.

–Pianą? Jaką pianą?

Holly zdjęła z haka pojemnik z pianą przeciwradiacyjną i zerwała plombę.

–Pan pozwoli – rzekła, szczerząc zęby. – To dla mnie przyjemność.

Po czym skierowała strumień cuchnącej piany na Artemisa, który po chwili zaczął przypominać na pół stopionego bałwana. Holly roześmiała się. Kto powiedział, że praca w organach ścigania nie dostarcza żadnych radości?

Boks operacyjny, Komenda Policji

Z chwilą, gdy plazma spowodowała zwarcie w sterowniku Pałki, do boks operacyjnego powróciła energia elektryczna. Ogierek nie tracił czasu. Natychmiast uruchomił środki usypiające, umieszczone pod skórą tych goblinów, które popełniły jakieś wykroczenia, co skutecznie wykluczyło z akcji połowę B'wa Kell. Następnie przeprogramował armaty DNA w Komendzie Policji na działanie niezagrażające życiu. W kilka sekund było po wszystkim.

Kapitan Wodorost przede wszystkim pomyślał o podwładnych.

–Cisza! – zawołał, przekrzykując chaos. – Mamy jakieś straty?

Zgłaszający się po kolei dowódcy drużyn potwierdzili, że nie ma ofiar w ludziach.

–Szczęście nam sprzyjało – powiedział czarownik sanitariusz. – W całym budynku nie znajdzie się już ani kropli czarodziejskiej mocy. Ani nawet apteczki. Kolejny poległy funkcjonariusz pozostałby poległy na zawsze.

Następnie Kłopot zwrócił się w stronę boks operacyjnego. Bynajmniej nie był rozbawiony.

Ogierek zdepolaryzował kwarcowe szyby i otworzył jeden z kanałów komunikacyjnych.

–Hej, chłopaki – zawołał. – Nie miałem z tym nic wspólnego. To Pałka. Właśnie wszystkich uratowałem. Wysłałem nagranie dźwiękowe do telefonu komórkowego, a to wcale nie było łatwe. Powinniście dać mi medal.

Kłopot zacisnął pięść.

–Dobra, dobra. Tylko stamtąd wyjdź, Ogierek! Już ja dam ci medal!

Być może Ogierek nie był szczególnie obyty towarzysko, ale umiał rozpoznać słabo zawałowane groźby.

–O nie, nie ma mowy. Zostanę tutaj, dopóki nie wróci komendant Bulwa. On wam wszystko wyjaśni.

I, ponownie zaciemniwszy okna, centaur zabrał się do wykrywania urządzeń szpiegowskich. Miał zamiar odszukać wszystkie pozostałości po Opal Kobi i wyrzucić je z systemu. Paranoik, co? I kto teraz jest paranoikiem, Holly? I kto tu jest paranoikiem?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dzień ojca

Murmańsk, za kręgiem polarnym

W ostatnich latach arktyczne morze pomiędzy Murmańskiem i Siewieromorskiem stało się cmentarzyskiem okrętów ongiś potężnej podwodnej floty rosyjskiej. W licznych zatokach i fiordach wybrzeża leży ponad sto łodzi podwodnych z nuklearnym napędem, o których tylko z rzadka uprzedzają ciekawskich znaki ostrzegawcze i wodne patrole. Nocami nie trzeba zbytnio natężyć wzroku, by dostrzec poświatę, ani słuchu – by dosłyszeć szum.

Jednym z tych okrętów był „Nikodem”, dwudziestoletnia łódź klasy Tajfun z pordzewiałymi rurami i ciekącym reaktorem, co stanowiło dość niezdrową kombinację. I to właśnie tutaj mafijny król Brzytwa nakazał swym pacholkom dokonać zamiany Artemisa Fowla seniora na walizkę z okupem.

Michaił Wasikin i Komar nie byli zachwyceni sytuacją. Już od dwóch dni gnieździli się w kapitańskiej kajucie, przekonani, że z każdą minutą ich życie niepokojąco się skraca.

–Tylko posłuchaj – zakaszłał Wasikin. – Bebechy mi gniją. Mówię ci, to przez promieniowanie.

–Cały ten pomysł to kompletny idiotyzm – warknął Komar. – Chłopak Fowla ma trzynaście lat. Trzynaście lat! Skąd taki dzieciak weźmie pięć milionów dolarów? To jakiś obłąd!

Wasikin usiadł na koi.

–Może i nie. Krążą o nim różne historie. Podobno posiada moc.

–Moc? – parsknął Komar. – Może czarodziejską? Ech, Miszka, idź i wsadź łeb do reaktora. Gadasz jak stara baba.

–Nie, posłuchaj! Mój znajomy pracuje w Interpolu i mówi, że ten chłopak ma u nich otwartą kartotekę. Rozumiesz? Otworzyli trzynastolatкови kartotekę! Ja mam trzydzieści siedem lat, a nigdy nie miałem kartoteki w Interpolu! – Rosjanin wydawał się rozczarowany.

–Otwarta kartoteka. No i co z tego? Gdzie tu czary?

–Mój człowiek powiada, że tego chłopaka Fowla widywano w różnych miejscach na

świecie tego samego dnia, nawet o tej samej godzinie.

Komar pozostał niewzruszony.

–Ten twój informator to jeszcze większy tchórz niż ty.

–Nie chcesz, to nie wierz. Ale będę szczęśliwy, jeśli zejdem żywy z tego przeklętego okrętu. Dowolnym sposobem.

Komar naciągnął na uszy futrzaną czapę.

–Dobra. Pora iść.

–Nareszcie – westchnął Wasikin.

Ruszyli do wyjścia, po drodze zabierając więźnia z sąsiedniej kajuty. Nie musieli się obawiać, że im ucieknie. Bez jednej nogi, z głową nakrytą kapturem? Wasikin przerzucił Fowla seniora przez ramię i wspiął się po stalowej drabince na kiosk.

Komar przez radio sprawdził ubezpieczenie. Wśród zasp i zamarzniętych krzaków na brzegu kryła się ponad setka kryminalistów, których żarzące się papierosy migotały w nocy jak świetliki.

–Zgasić te pety, idioci – wysyczał Komar na ogólnodostępnej częstotliwości. – Już prawie północ. Za kilka sekund będzie tu Fowl. Pamiętajcie, niech nikt nie strzela, póki nie wydam rozkazu. Potem mogą strzelać wszyscy.

Niemal dało się słyszeć syknięcie setki papierosów, zgaszonych na śniegu. Stu ludzi. Operacja niemało Komara kosztowała. Ale była to zaledwie kropla w morzu w porównaniu z dwudziestoma procentami, które obiecał im Brzytwa.

Bez względu na to, skąd przyjdzie Fowl, zostanie schwytany w śmiertelny krzyżowy ogień. Ani on, ani jego ojciec nie wydadzą się stąd żywi. On, Komar, oraz Wasikin ukryją się bezpiecznie za stalowym kioskiem okrętu.

Komar uśmiechnął się szeroko. Zobaczymy te twoje czary, Irlandczyku.

Jak przystało na doświadczonego funkcjonariusza SKRZAT, Holly uważnie badała sytuację przez wysokiej rozdzielczości noktowizor, zamontowany na kasku. Butler musiał się zadowolić zwykłą starą lornetką.

–Ile papierosów naliczyłaś?

–Ponad osiemdziesiąt – odparła pani kapitan. – Prawie setka ludzi. Kto tam wejdzie, tego wyniosą nogami do przodu.

Bulwa przytaknął skinieniem głowy. Taktyczny koszmar.

Obóz założyli po przeciwnej stronie fiordu, wysoko na zboczu lodowca. Ze względu na niedawne zasługi Artemisa Rada nawet zezwoliła na zabranie skrzydeł.

W poczcie, którą Ogierek odzyskał z laptopa chłopca, znajdował się e-mail: „Pięć milionów USD. Nikodem. Murmańsk. Północ czternastego”. Krótko i węzłowato. O czym tu mówić? Bezpowrotnie utracili szansę przechwycenia ojca Artemisa, zanim zostanie przewieziony na miejsce wymiany. Teraz mafia miała przewagę.

Zgromadzili się wokół Butlera, który laserową końcówką nakreślił szkic na śniegu.

–Zgaduję, że zakładnika przetrzymują tutaj, w kiosku. Żeby się tam dostać, trzeba przejść wzdłuż całej burty okrętu. W okolicy ukrywa się około stu ludzi. Brak nam wsparcia z powietrza oraz informacji satelitarnej, ponadto jesteśmy marnie uzbrojeni. – Służący westchnął. – Przykro mi, Artemisie, ale po prostu nie widzę, jak to zrobić.

Holly przyklękała, by przyjrzeć się rysunkowi.

–Przygotowanie zatrzymania czasu zajmie kilka dni. Z powodu promieniowania nie możemy użyć tarcz ochronnych. Mesmeryzacja też odpada, bo nie damy rady podejść tak blisko.

–A broń SKR? – zapytał Artemis, chociaż znał odpowiedź.

Bulwa jął żuć niezapalone cygaro.

–Omawialiśmy już to, Artemisie. Możemy użyć tyle siły ognia, ile zechcesz, ale kiedy zaczniemy do nich walić, pierwszą ofiarą padnie twój ojciec. To rutynowe postępowanie w wypadkach porwań.

Artemis otulił się ciasniej kurtką SKR i ponownie przyjrzał się szkicowi.

–A gdybyśmy dali im pieniądze?

Ogierek wyprodukował na jednej ze swoich starych drukarek pięć milionów banknotów w małych nominałach. Kazał nawet oddziałowi duszków trochę je pognieść.

Butler potrząsnął głową.

–Ci ludzie nie prowadzą interesów w ten sposób, Artemisie. Pan Fowl żywy stanowi dla nich potencjalne zagrożenie. Musi umrzeć.

Artemis przytaknął z wahaniem. Tak, najwyraźniej nie było innej drogi. Będzie musiał zastosować plan, który wymyślił dawno temu, siedząc w arktycznym

terminalu wahadłowców.

–Bardzo dobrze, słuchajcie – powiedział. – Mam plan. Ale jest odrobinę drastyczny.

Arktyczną ciszę rozdarł dzwonek telefonu komórkowego. Michaił Wasikin z wrażenia nieomal wpadł do luku.

–Da? O co chodzi? Jestem zajęty.

–Mówi Fowl – nienaganną ruszczyzną odezwał się głos, zimniejszy niż arktyczną kra. – Wybiła północ. Jestem.

Michaił obrócił się gwałtownie, lustrując okolicę przez lornetkę.

–Gdzie? Nic nie widzę!

–Blisko.

–Skąd masz ten numer?

Ze słuchawki dobiegł chichot, od którego Wasikinowi ścierpły plomby.

–Jest taki jeden. On zna wszystkie numery. Michaił zaczerpnął głęboko tchu, by się uspokoić.

–Masz pieniądze?

–Oczywiście. A przesyłka?

–Mam ją tutaj.

Znów ten lodowaty chichot.

–Widzę tylko tłustego kretyna, jakiegoś szczurkowatego typa i kogoś z kapturem na głowie. Ten ktoś to może być każdy. Nie zapłacę pięciu milionów dolarów za twego kuzyna Jurę.

Wasikin dał nura za barierkę kiosku.

–Fowl nas widzi! – syknął do Komara. – Schyl się! Komar przekradł się na drugą stronę kiosku i połączył ze swymi ludźmi.

–Fowl już jest! Przeszukać teren!

Wasikin ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

–To chodź i sprawdź. Sam się przekonasz.

–Widzę doskonale. Po prostu zdejmij mu kaptur. Michaił zakrył telefon dłonią.

–Chce, żebym zdjął kaptur. Co robić?

Komar westchnął. Coraz wyraźniej było widać, kto ma rozum w tym interesie.

–No to zdejmij. Co za różnica? I tak obaj za pięć minut zginą.

–Dobra, Fowl! Zdejmuję kaptur! Zaraz zobaczysz twarz swojego ojca.

Wielki Rosjanin podtrzymał więźnia i postawił go w miejscu widocznym nad krawędzią kiosku, po czym sięgnął wolną ręką i zdarł mu z głowy grube, workowate płótno kaptura.

W słuchawce rozległ się odgłos gwałtownie wciąganego powietrza.

Kiosk łodzi podwodnej widziany przez filtry powiększające kasku SKR wydawał się Artemisowi bliski jak na wyciągnięcie ręki. Gdy z głowy zakładnika ściągnięto kaptur, nie zdołał zapanować nad oddechem.

To był jego ojciec. Zmieniony, rzecz jasna, lecz nadal dający się rozpoznać. Artemis Fowl senior, bez cienia wątpliwości.

–No? – odezwał się rosyjski głos w jego uchu. – To on?

Artemis z trudem opanował drżenie głosu.

–Tak – odparł. – To on. Moje gratulacje. Macie cenny towar.

Na kiosku Wasikin uniósł kciuk do współnika.

–To on – syknął. – Szmal jest nasz.

Komar nie podzielał tej pewności. Nie pora świętować, dopóki nie mają forsę w ręku.

Butler ustawił na stojaku karabin wróżek Farshoot, który osobiście wybrał ze zbrojowni SKR. Tysiąc pięćset metrów. Trudny strzał. Ale nie było wiatru, ponadto Ogierek wyposażył go w teleobiektyw, który niemalże sam trafiał do celu. Na celowniku rysował się tułów Artemisa Fowla seniora.

Odetchnął głęboko.

–Jesteś pewien, Artemisie? – zapytał. – To bardzo ryzykowne.

Artemis nie odpowiedział. Po raz setny sprawdzał, czy Holly znajduje się na stanowisku. Oczywiście, że nie był pewien. Milion rzeczy mogło się nie udać, ale czy miał jakieś inne wyjście?

Skinął głową. Tylko raz.

Butler strzelił.

Kula trafiła Artemisa seniora w bark. Pod wpływem uderzenia zakładnik obrócił się i bezwładnie padł na zdumionego Wasikina.

Rosjanin zawył z obrzydzenia i wypchnął krwawiącego jeńca za barierkę kiosku. Ciało Irlandczyka ześliznęło się po kadłubie do morza, rozbijając przymarzniałe do blachy kruche płyty lodu.

–Zastrzelił go! – wrzasnęli mafiosi. – Ten diabeł zabił własnego ojca!

Komar osłupiał.

–Kretynie! – ryknął wreszcie. – Właśnie wyrzuciłeś za burtę naszego zakładnika!

Wyjrzał w ciemność, ale po Irlandczyku zostały tylko kręgi na arktycznych wodach.

–To skocz i wyciągnij go sobie – odął się Wasikin.

–Już nie żył?

Michaił wzruszył ramionami.

–Chyba nie. Mocno krwawił. Zresztą, jeśli kula go nie zabiła, to woda go wykończy. A w ogóle, to nie nasza wina.

Komar zaklął siarczyście.

–Oj, Brzytwa będzie innego zdania!

–Brzytwa! – przypomniał sobie wstrząśnięty Wasikin. Pieniądze były jedyną rzeczą, jaką rozumiał *menajdżer*. – Rany boskie! Już po nas!

Leżąca na pokładzie komórka zaterkotała. Artemis jeszcze się nie *rozłączył*.

Michaił podniósł aparat, jakby miał do czynienia z odbezpieczonym granatem.

–Fowl? Jesteś tam?

–Tak – padła odpowiedź.

–Ty wściekły diable! Coś ty zrobił! Twój ojciec na pewno nie żyje! Myślałem, że mamy umowę!

–Bo mamy. Nową umowę. Wciąż możecie zarobić trochę pieniędzy.

Michaił przestał histeryzować i zaczął uważniej słuchać. Czyżby istniało jakieś wyjście z tego koszmaru?

–Słucham.

–Nie życzyłem sobie, żeby ojciec wrócił i zniszczył to, co zbudowałem przez ostatnie dwa lata.

Michaił kiwnął głową. Argument wydał mu się całkiem rozsądny.

–Więc ojciec musiał umrzeć. Chciałem tego dopilnować osobiście, żeby mieć pewność. Ale nadal mogę wam zostawić małe co nieco.

Michaił ledwie oddychał.

–Małe co nieco?

–Okup. Pięć milionów.

–Dlaczego miałbyś to zrobić?

–Wy bierzecie pieniądze, ja bezpiecznie wracam do domu. To chyba uczciwe?

–Chyba tak.

–Bardzo dobrze. To spójrzcie na drugą stronę zatoki, nad fiordem.

Michaił odwrócił głowę. Na krańcu lodowca płonęła flara.

–Do tej flary przywiązana jest walizka. Za dziesięć minut flara zgaśnie. Na waszym miejscu postarałbym się dotrzeć tam wcześniej. Inaczej będziecie latami szukać pieniędzy.

Michaił nawet się nie pofatygował, by się rozłączyć. Po prostu rzucił telefon i puścił się pędem do burty.

–Forsa! – zawołał do Komara. – Tam! Flara! Komar w ułamku sekundy znalazł się przy nim, w biegu wykrzykując przez radio instrukcje. Musieli odnaleźć pieniądze. Kogo obchodzi tonący Irlandczyk, kiedy można zdobyć pięć milionów dolarów?

Kiedy kula ugodziła Artemisa seniora, Bulwa krzyknął do Holly:

–Ruszaj!

Kapitan Nieduża uruchomiła skrzydła i wzbiła się do góry. Oczywiście, ich postępowanie urągało wszelkim przepisom, ale Rada, która ongiś niemalże skazała Ogierka za zdradę stanu, ostatnio dawała mu dużo swobody. Zażądano jedynie, by centaur miał stały kontakt z ekspedycją oraz by wszyscy jej członkowie zostali wyposażeni w zdalnie sterowane ładunki zapalające, które niszczyły ludzi i wytwory wróżkowej technologii, kiedy jakiś funkcjonariusz został ranny lub wzięty do niewoli.

Spuściwszy przyłbicę, Holly uważnie obserwowała wydarzenia na łodzi podwodnej. Widziała, jak kula trafia Artemisa seniora w ramię, a impet rzuca go na większego Rosjanina. W jej polu widzenia pojawiła się krew, dostatecznie ciepła, by rozpoznać ją termowykrywacz. Holly musiała przyznać – wybieg wyglądał nader przekonująco. Czyżby plan Artemisa istotnie miał się powieść? Czyżby Rosjanie dali się oszukać? W końcu ludzie zazwyczaj widzą to, co chcą zobaczyć.

Lecz wówczas zdarzyło się coś strasznego.

–Wpadł do wody! – krzyknęła Holly do mikrofonu w kasku, równocześnie maksymalnie otwierając przepustnicę skrzydeł. – Żyje, ale nie wytrzyma długo, jeśli go zaraz nie wyciągniemy!

Bezszelestnie prześliznęła się nad połyskliwym lodem, dla większej prędkości krzyżując ręce na piersi. Poruszała się zbyt szybko, by dostrzegło ją ludzkie oko; mogłaby uchodzić za cień ptaka lub fokę, na moment wynurzającą się z fal. Wkrótce zamajaczył przed nią okręt podwodny.

Tymczasem Rosjanie pośpiesznie opuszczali pokład Tajfuna, łomocząc butami i ślizgając się na drabinkach. Na łodzi działo się to samo – ludzie wyskakiwali z ukrycia i pędzili z chrzęstem przez zamarznąłą tundrę. Pewnie komendant wystrzelił flarę, pomyślała Holly. Teraz Błotniaki jak szalone rzucą się szukać swoich cennych pieniędzy, które i tak rozplyną się po upływie siedemdziesięciu dwóch godzin. Akurat zdążą je dostarczyć szefowi. O co zakład, że znikające pieniądze nie dadzą mu zadowolenia?

Holly przeleciała tuż ponad kadłubem okrętu, chroniona przed promieniotwórczością przez kombinezon i kask. Wreszcie dotarła do kiosku, który osłaniał ją od północnego brzegu, wzbiła się do góry i, dodając gazu, zawisała nad dziurą w lodzie, do której wpadł człowiek. Komendant coś mówił jej do ucha, lecz nie odpowiedziała. Miała mnóstwo roboty i ani chwili do stracenia.

Wróżki nie znoszą chłodu. Po prostu go nienawidzą. Niektóre z nich czują taką odrazę do niskich temperatur, że nie chcą nawet jeść lodów. Holly zrobiłaby wszystko, by uniknąć zanurzenia choćby palca w lodowatej, promieniotwórczej

wodzie, ale jakie miała wyjście?

–D’Arvit – zaklęła i dała nura do morza.

Mikrowłókna w jej kombinezonie częściowo izolowały ją od zimna, ale nie potrafiły całkowicie go wyeliminować. Holly wiedziała, że ma tylko kilka sekund, zanim spadek temperatury spowolni jej reakcje i spowoduje wstrząs termiczny.

Pod sobą dostrzegła nieprzytomnego człowieka, bladego niczym duch. Dodała gazu z trudem manewrując skrzydłami – zbyt wielki odrzut, a popłynie zbyt głęboko, zbyt mały, a nie zdoła dotrzeć do tonącego. Przy tej temperaturze miała tylko jedną szansę.

Otworzyła przepustnicę. Silnik zabrzączał i pchnął ją dwadzieścia metrów w głąb. Doskonale. Chwyciła bezwładnego Fowla seniora w pól i szybko przypięła go do pasa Moonbelt. Pilnie potrzebował zastrzyku czarodziejskiej mocy, im prędzej, tym lepiej.

Holly spojrzała w górę i odniosła wrażenie, że dziura w lodzie się zamyka. Kolejna przeszkoda? Komendant wrzeszczał jej coś do ucha, ale nie słuchała go, skupiona na powrocie na suchy ląd.

Pajęczyna kryształków lodu zasnuwała dziurę wzdłuż i w poprzek. Ocean uparł się, by ich nie wypuścić.

Nic z tego, pomyślała Holly, kierując ku powierzchni spiczasty czubek kasku. Dodała maksymalnie gazu, aż odrzut wyniósł ją nad lód. Wraz z ładunkiem zatoczyła łuk w powietrzu i ciężko upadła na rowkowany przedni pokład okrętu.

Twarz człowieka miała barwę otaczającego ich pejzażu. Holly jak drapieżny stwór wskoczyła na jego pierś i odsłoniła rzekomą ranę. Po pokładzie rozlała się krew. Była to jednak krew Artemisa juniora pobrana z jego ręki, a następnie sprężona w kapsułce Hydrozji. Przy uderzeniu pocisk pękł, tryskając wokół szkarłatnym płynem i robiąc wielce przekonujące wrażenie. Niestety, nasi bohaterowie nie przewidzieli, że zakładnik zostanie wrzucony do lodowatych wód Arktyki.

Mimo że kapsułka nie przebiła skóry, stan pana Fowla wciąż był groźny. Termowykrywacz Holly wskazywał niepokojąco wolne i słabe tętno. Elficzka położyła dłonie na klatce piersiowej człowieka.

–Uzdrowiaj – szepnęła. – Uzdrowiaj.

I z jej palców popłynęła czarodziejska moc.

Artemis, który nie widział ratunkowej akcji Holly, nie przestawał się zadrećcać. Czy postąpił właściwie? A jeśli kapsułka Hydrozji zraniła ojca? Jakże spojrzy matce w

oczy?

–Och, nie – szepnął Butler.

Artemis w okamgnieniu znalazł się przy jego boku.

–Co się stało?

–Twój ojciec wpadł do wody. Rosjanin go wypchnął.

Chłopiec jęknął. Tutaj woda była równie śmiertelna jak kula. Właśnie czegoś w tym rodzaju się obawiał.

Bulwa, który śledził manewry kapitan Niedużej, oznajmił:

–Dobrze, Holly jest już nad wodą. Holly, widzisz go?

Zamiast odpowiedzi w słuchawkach rozległ się jedynie szum.

–Kapitan Nieduża, jaka jest sytuacja? Odpowiadaj! Nic.

–Holly?

Nie odpowiada, bo jest już za późno, pomyślał Artemis. Nie może nic zrobić, by ocalić ojca, a to wszystko moja wina.

Jego rozmyślenia przerwał Bulwa.

–Rosjanie się wynoszą. Holly jest przy okręcie, tuż nad dziurą w lodzie. Zanurzyła się. Holly, masz coś? No, Holly!

Nic. Przez całą wieczność nic.

Wtem Holly wyskoczyła z wody jak mechaniczny delfin i zatoczywszy łuk przez arktyczną noc, runęła na pokład Tajfunu.

–Ma twojego ojca – powiedział komendant. Artemis czym prędzej wsadził na głowę zapasowy kask SKR, siłą woli starając się zmusić elficzkę, by coś powiedziała. Maksymalnie powiększył ukazywany przez przyłbicę obraz, zda się, niemal dotknął ojca, i w napięciu obserwował, jak Holly pochyla się nad rannym, strzelając z palców snopami iskier.

Po kilku chwilach Holly podniosła głowę i spojrzała wprost na Artemisa, jakby czując na sobie jego wzrok.

–W porządku – rzekła z wysiłkiem. – Żywy Błotny Człowiek, jedna sztuka. Nie

wygląda ładnie, ale oddycha.

Artemis opadł na kolana, a jego chude ciało zatrzęsło się od szlochu. Płakał przez całą minutę, po czym znów stał się sobą.

–Dobra robota, pani kapitan. A teraz wyośmy się stąd, zanim Ogierek przez pomyłkę zdetonuje któryś ładunek zapalający.

We wnętrzu Ziemi centaur wstał od konsoli komunikacyjnej.

–Nie kuś mnie – zachichotał.

Epilog lub dwa

Tara

Artemis wracał do szkoły św. Bartleby'ego. Właśnie tam powinien się znajdować, kiedy służby medyczne w Helsinkach ustalą tożsamość jego ojca na podstawie należycie wyświechtanego paszportu, który skombinował dlań Ogierek.

Holly zrobiła dla rannego, co mogła – wygoiła skaleczenie klatki piersiowej, a nawet przywróciła wzrok w niewidzącym oku. Ale na przyszybie nogi było za późno, a poza tym i tak nie mogli jej znaleźć. Tak, Artemis senior wymagał długotrwałej opieki lekarskiej, a ta musiała zacząć się w miejscu, gdzie jego pobyt dałoby się racjonalnie uzasadnić. A zatem Holly udała się na południowy zachód, do Helsinek, i złożyła nieprzytomnego człowieka pod bramą kliniki uniwersyteckiej. Co prawda, jeden z woźnych zauważył latającego pacjenta, ale elfy zdołały zatrzeć mu pamięć.

Kiedy Artemis senior odzyska przytomność, minione dwa lata utoną we mgłę, ostatnim zaś wyraźnym wspomnieniem będzie czułe pożegnanie z rodziną w dublińskim porcie. Kolejne podziękowania dla Ogierka i jego technologii zacierania pamięci.

–Może powinienem zamieszkać u ciebie na stałe? – zakpił centaur, kiedy grupa wróciła do Komendy Policji. – Przy okazji zrobiłbym ci prasowanie.

Artemis uśmiechnął się. Ostatnio często to robił. Nawet pożegnanie z Holly wypadło lepiej, niż się spodziewał, zważywszy, że była świadkiem, jak kazał strzelać do własnego ojca. Wzdrygnął się. Przewidywał, że to wspomnienie przyprawi go jeszcze o wiele bezsennych nocy.

Pani kapitan eskortowała ich aż do Tary i wypuściła na powierzchnię przez holograficzny żywopłot. Chcąc zatrzeć wszelkie ślady wróżek, postarała się nawet o hologram krowy, żującej wirtualne liście.

Artemis znów miał na sobie szkolny mundurek, cudownie odnowiony dzięki technologii Małego Ludu.

–Dziwnie pachnie – powiedział, wachając klapę marynarki. – Przyjemnie, ale dziwnie.

–Po prostu jest absolutnie czysty – odparła z uśmiechem Holly. – Ogierek musiał przepuścić go przez trzy cykle prania, by się pozbyć...

–By się z niego pozbyć Błotnego Człowieka – dokończył Artemis.

–Właśnie.

Nad nimi świecił księżyc w pełni, jasny i ospowaty niczym piłeczka golfowa. Holly wręcz słyszała, jak śpiewa do niej jego czarodziejska moc.

–Ogierek powiedział, że ze względu na przysługi, jakie nam oddałeś, zdejmuję nadzór z dworu Fowlów.

–Dobrze wiedzieć – rzekł Artemis.

–Dobrze postąpił? Chłopiec zastanowił się.

–Tak. Małemu Ludowi nic z mojej strony nie grozi.

–Świetnie. Bo spora część Rady chciała, żeby ci wymazać pamięć. A przy tak wielu wspomnieniach twoje IQ mogłoby się znacznie obniżyć.

Butler wyciągnął rękę.

–No, pani kapitan. Pewnie się już nie zobaczymy. Holly serdecznie uścisnęła dłoń służącego.

–Jeśli mnie ujrzysz, będzie za późno – rzekła, odwracając się w stronę kurhanu wrózek. – Muszę już iść. Niedługo zrobi się jasno. Nie chcę, żeby jakiś szpiegowski satelita przyłapał mnie bez tarczy. Tylko tego brakowało, by moje zdjęcie ukazało się w Internecie, w dodatku teraz, gdy przywrócili mnie do służby w SKRZAT.

Butler lekko szturchnął łokciem chlebodawcę.

–Och, Holly... ee, kapitan Nieduża – bąknął Artemis.

Nie mógł uwierzyć, że naprawdę powiedział ee. Przecież to nawet nie jest wyraz!

–Słucham, Błotny Ch... znaczy, Artemisie? Artemis spojrzał Holly w oczy tak, jak polecił mu Butler. Te wszystkie uprzejmości były trudniejsze, niż sądził.

–Chciałbym... znaczy... Znaczy, chodzi o to... Kolejne szturchnięcie Butlera.

–Dziękuję. Wszystko zawdzięczam tobie. Dzięki tobie znów mam oboje rodziców. I pilotowałaś ten prom po prostu wspaniale. A w pociągu... Ja nigdy nie dałbym rady...

Trzeci szturchaniec. Tym razem, żeby przestał paplać.

–Przepraszam. Rozumiesz, o co mi chodzi.

Na elfiej twarzą Holly odmalował się dziwny wyraz, ni to zażenowania, ni to – czy to możliwe? – zachwytu. Ale szybko się opanowała.

–Może ja też jestem ci coś winna, człowieku – rzekła, wyciągając pistolet.

Butler już miał zareagować, lecz w ostatniej chwili postanowił zaufać Holly.

Kapitan Nieduża wyciągnęła zza paska złotą monetę i podrzuciła ją piętnaście metrów w księżycowe niebo. Następnie płynnym ruchem podniosła broń i wystrzeliła jeden, jedyny raz. Moneta wzbiła się o kolejne dziesięć metrów, po czym opadła, wirując. Artemisowi cudem udało się ją pochwycić, nim dotknęła ziemi – pierwszy supermoment jego młodego życia.

–Niezły strzał – powiedział.

W monecie, poprzednio nietkniętej, widniała teraz mała dziurka.

Holly wyciągnęła dłoń, ukazując jeszcze świeżą bliznę na palcu.

–Gdyby nie ty, na pewno bym chybiła. Żadna proteza nie zapewnia takiej dokładności. Więc chyba ja też ci dziękuję.

Artemis podał jej monetę.

–Nie – rzekła elficzka. – Zatrzymaj ją.

–Jako przypomnienie? Holly spojrzała nań otwarcie.

–Jako przypomnienie faktu, że głęboko pod warstwami sprytu tli się iskierka przyzwoitości. Mógłbyś czasem na nią podmuchać.

Artemis zacisnął palce na monecie. Poczul w dłoni ciepło.

–Pewnie mógłbym...

W górze zabrzączał silnik małego dwuosobowego samolotu. Artemis zerknął na niebo. Gdy opuścił wzrok, Holly zniknęła. Tylko nad trawą unosiła się delikatna mgiełka.

–Do widzenia, Holly – powiedział cicho.

Bentley zapalił przy pierwszym obrocie kluczyka. Po niecałej godzinie dotarli pod główną bramę szkoły św. Bartleby'ego.

–Upewnij się, czy masz włączony telefon – rzekł Butler, przytrzymując ciężkie skrzydło bramy. – Urzędnicy w Helsinkach zapewne wkrótce dostaną odpowiedź z Interpolu. Kartoteka twego ojca została odtworzona w ich głównym komputerze, znów dzięki Ogierkowi.

Artemis skinął głową i sprawdził telefon.

–Spróbuj odnaleźć mamę i Julię, zanim otrzymamy oficjalną wiadomość. Nie mam ochoty ich szukać we wszystkich kurortach na południu Francji.

–Tak, Artemisie.

–I zadbaj o ukrycie moich kont. Lepiej, żeby ojciec się nie domyślił, co porabiałem przez ostatnie dwa lata.

Butler uśmiechnął się.

–Tak, Artemisie.

Chłopiec zrobił krok w stronę wejścia do szkoły, po czym odwrócił się.

–Aha, Butler, jeszcze jedno. Tam, w Arktyce... Nie wiedział, jak zadać to pytanie, lecz służący i tak znał odpowiedź.

–Artemisie, nie mogłeś zrobić nic innego.

Artemis skinął głową i zaczekał przy bramie, dopóki Bentley nie zniknął w alei. Od tej chwili życie będzie wyglądać zupełnie inaczej. Mając w domu oboje rodziców, zostanie zmuszony do znacznie staranniejszego obmyślenia swoich przedsięwzięć. Owszem, wdzięczność nakazywała na razie zostawić Mały Lud w spokoju, ale Mierzwa Grzebaczek... to całkiem co innego. Tyle niedostępnych miejsc i tak mało czasu...

Pokój psychologa.

Szkoła dla młodych dżentelmenów.

Św. Bartleby'ego

Nie dość, że doktor Po nadal pracował w szkole im. św. Bartleby'ego, to rozłąka z Artemisem najwyraźniej dodała mu sił. Przypadki innych jego pacjentów bywały relatywnie proste – ataki złości, stres egzaminacyjny, chroniczna nieśmiałość. Mowa oczywiście o nauczycielach.

Artemis ostrożnie usiadł na kanapie, uważając, by przypadkiem nie wyłączyć telefonu komórkowego.

Doktor Po zerknął na komputer.

–Dyrektor Guiney przekazał mi twój e-mail. Uroczy.

–Przepraszam – wymamrotał Artemis, ze zdumieniem stwierdzając, że istotnie jest mu przykro. Na ogół nie denerwował się, kiedy denerwował innych. – Miałem fazę odrzucenia. Więc przenieśliem swoje niepokoje na pana.

Po niemal się roześmiał.

–Bardzo dobrze. Dokładnie tak, jak piszą w podręcznikach.

–Wiem – odparł Artemis. I rzeczywiście wiedział. Jeden z rozdziałów w podręczniku, który czytał, został napisany przez doktora F. Roya Deana Schlippe.

Doktor Po odłożył pióro, czego nigdy wcześniej nie robił.

–Wiesz, wciąż nie rozstrzygnęliśmy pewnej kwestii.

–Jakiej, doktorze?

–Tej, którą poruszyliśmy podczas ostatniej sesji. Kwestii szacunku dla innych.

–Aa, tej.

Po złożył dłonie w trójkąt.

–Chciałbym, żebyś przez chwilę wyobraził sobie, że jestem równie inteligentny jak ty, i udzielił mi uczciwej odpowiedzi.

Artemis pomyślał o swoim ojcu, leżącym w helsińskim szpitalu, o kapitan Holly

Niedużej, która ryzykowała życie, by mu pomóc, oraz o Butlerze, bez którego nigdy nie wydostałby się z Laboratoriów Kobi. Podniósł oczy i ujrzał, że doktor Po uśmiecha się do niego.

–Cóż, młody człowieku, znalazłeś kogoś, kto byłby godzien twego szacunku?

Artemis odwzajemnił uśmiech.

–Tak – odparł. – Sądzę.

Spis treści

TOC \o "1-2" \z \u ARTEMIS Fowl: OCENA PSYCHOLOGICZNA... PAGEREF

_Toc178124370 \h 2

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

Prolog. PAGEREF _Toc178124371 \h 4

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ PIERWSZY Więzi Rodzinne. PAGEREF _Toc178124372 \h 7

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ DRUGI Patrol z Chixem... PAGEREF _Toc178124373 \h 11

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ TRZECI Zejście pod ziemię. PAGEREF _Toc178124374 \h 27

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ CZWARTY Fowl gra fair. PAGEREF _Toc178124375 \h 40

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ PIĄTY Córeczka tatusia. PAGEREF _Toc178124376 \h 46

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ SZÓSTY Fotookazja. PAGEREF _Toc178124377 \h 50

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ SIÓDMY Układanie łamigłówek PAGEREF _Toc178124378 \h 64

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ ÓSMY Pozdrowienia dla Rosji PAGEREF _Toc178124379 \h 72

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Niebezpieczna Oaza. PAGEREF _Toc178124380 \h 91

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY Kłopoty i zawierucha. PAGEREF _Toc178124381 \h 104

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

Rozdział JEDENASTY Wiele hałasu o Mierzwę. PAGEREF _Toc178124382 \h 116

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ DWUNASTY Chłopcy wracają. PAGEREF _Toc178124383 \h 133

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ TRZYNASTY Raz jeszcze wyłom... PAGEREF _Toc178124384 \h 142

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

ROZDZIAŁ CZTERNASTY Dzień ojca. PAGEREF _Toc178124385 \h 164

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Epilog lub dwa. PAGEREF _Toc178124386 \h 173

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

Tara. PAGEREF _Toc178124387 \h 173

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/